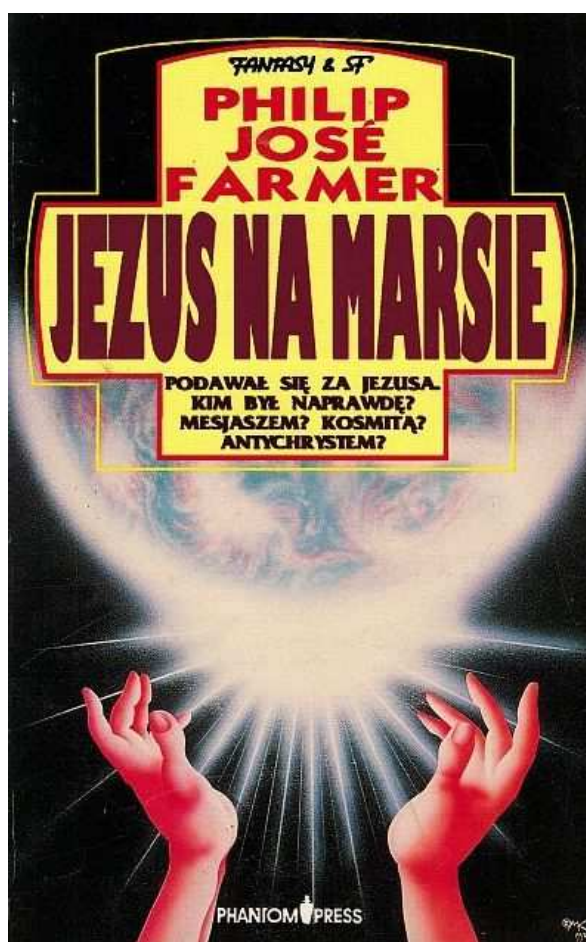


**PHILIP JOSÉ FARMER**

# **JEZUS NA MARSIE**

TYTUŁ ORYGINAŁU: JESUS OF MARS  
PRZEKŁAD: MICHAŁ JAKUSZEWSKI



PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK 1992

## 1.

Wielki kompleks kanionów Vallis Marineris wyglądał niczym czarna rana na czerwonym ciele planety. Ciągnął się trzy tysiące mil ze wschodu na zachód, wzdłuż równika Marsa. W najszerszym miejscu miał pięćdziesiąt mil, w najgłębszym kilka. Przypominał głębokie rozcięcie na skórze zwłok albo też olbrzymią stonogę, której odnóża stanowiły rowy przecinające wyżynę z obu stron wielkiej rozpadliny; ich drobniejsze odgałęzienia wyglądały jak szczecinka na jej nogach.

Richard Orme spoglądał z pokładu *Ariesa*, statku znajdującego się na orbicie stacjonarnej, jak ze szczytu niewiarygodnie wysokiej góry. Słabnący wiatr przeganiał wysoko ponad kanionami ostatnie obłoki z kryształów lodu oraz zawieszzone nieco niżej chmury czerwonego pyłu. Zaslaniały one punkt, który był celem trwającej już cztery miesiące ekspedycji. Orme odwrócił się od luku i unosząc się w powietrzu, popłynął w stronę Madeleine Danton, która siedziała przed ekranem, przypasana do fotela pokładowego. Za jej plecami zawisnęli w powietrzu Nadir Shirazi i Avram Bronski. Trzymając się rękoma oparcia fotela, spoglądali ponad głową kobiety na ekran.

Orme złapał Shiraziego za barki, okręcił się wokół niego i znieruchomiał. Na ekranie widoczny był odsłonięty tunel, który satelita sfotografował przed pięciu laty. Sklepienie, które tworzyła niegdyś cienka skorupa skał, zapadło się, ujawniając przejście o szerokości dziesięciu, wysokości dwudziestu i długości osiemdziesięciu stóp.

Burza pyłowa uniemożliwiała zobaczenie czegokolwiek przez luki statku, a z obrazów przekazywanych przez automatyczną sondę, która wylądowała przed dwoma laty, wystarczająco wyraźne były tylko te w zasięgu pięćdziesięciu stóp. Dalej widać było tylko czerwoną mgiełkę.

Dno tunelu powlekała warstwa pyłu. Wylot był ukryty pod tą częścią sklepienia, która się nie zapadła. Na przeciwległym końcu znajdowały się drzwi, ledwie widoczne pod osadem. Wykonano je z jakiegoś ciemnego materiału, który równie dobrze mógł być metalem, jak kamieniem. Ich gładkość wskazywała na to, że były skonstruowane maszynowo.

Na czarnej powierzchni drzwi widniały dwa wielkie pomarańczowe znaki. Były to greckie litery: wielkie *tau* i wielka *omega*. Owalna twarz Madeleine Danton nie wyrażała żadnych uczuć. Wyostrzone rysy Shiraziego zdradzały napięcie, przywodząc Orme'owi na myśl jastrzębia, który właśnie spostrzegł królika. Na śniadej, urodziwej twarzy Bronskiego pojawił się uśmiezek.

Na jego własnym czarnym obliczu można było, jak podejrzewał, dostrzec wyraz lekkiej ekscytacji.

Serce waliło mu jak młot. Gdyby miał podłączone sensory, wówczas w Houston w ciągu jedenastu i pół minuty odebrano by informację o nagłym przyspieszeniu jego akcji. Miał jednak na sobie kombinezon.

Do startu zostały jeszcze dwie godziny. Do tego czasu wichura na dole powinna przejść w łagodny zefirek.

- Popatrzmy na statek - zaproponował.

Danton nacisnęła odpowiednie guziki na niewielkiej, znajdującej się przed nią konsolce. Obraz przesunął się, ukazując słabo widoczną poprzez pył powierzchnię głębokiej na milę rozpadliny, a następnie olbrzymi przedmiot... a raczej jego niewyraźne rysy, nieomalże widmo.

Sonda posuwała się w jego kierunku. Minęło parę minut, zanim łagodna krzywizna stała się lepiej widoczna. Danton wydała robotowi ustny rozkaz zatrzymania się. Mogli teraz zobaczyć wyraźniej wielki owalny przedmiot. Po raz pierwszy dostrzegł go satelita zwiadowczy przed sześciu laty. Odkrycie to wywołało na całej Ziemi szok i podniecenie, doprowadzając w rezultacie do pierwszej załogowej wyprawy na Czerwoną Planetę.

- Widziałem to już ze sto razy na Ziemi - stwierdził Orme - i wciąż nie mogę uwierzyć. Statek kosmiczny!

Nikt mu nie odpowiedział. Było oczywiste, że odezwał się tylko po to, aby złagodzić napięcie.

Jak dawno temu ten statek wylądował lub rozbił się tutaj? Sto lat? Tysiąc? Ile czasu minęło, odkąd pokryła go lawina piasku i kamieni? Ile lat temu część zalegającej go warstwy obsunęła się, odkrywając niewielki fragment kolosa? A może został on celowo ukryty w ten sposób przez członków załogi?

Gdyby nie ciekawość pewnego australijskiego uczonego, „przeczcucie”, które kazało mu zwrócić uwagę na niewyraźny przedmiot na fotografii, gdyby nie wrodzona podejrzliwość i gdyby nie jego upór, wreszcie, statek pozostałby nie zauważony. Być może nie odkryto by go nigdy. Z czasem dostrzeżono również wylot tunelu, a po upływie trzech lat wysłano automatyczną sondę, żeby móc przyjrzeć się temu z bliska. Cały świat ogarnęło podniecenie.

Richard Orme, urodzony w roku 1979 w Toronto, w Kanadzie, miał trzydzieści lat, gdy IASA przyznała, nie bez oporów, że tajemniczy obiekt nie jest rzeczywiście dziełem natury. Orme przewidział, jaki obrót sprawy wezmą. Żył i pracował z myślą o tym, by zostać jednym z członków ekspedycji. Rzut monetą zadecydował o tym, że to właśnie on, a nie australijski astronauta, został kapitanem i czwartym członkiem załogi *Ariesa*. Pechowy konkurent uśmiechnął się i pogratulował mu, lecz tej samej nocy upił się i został ciężko okaleczony w wypadku samochodowym. Choć wiedział, że to irracjonalne, Kanadyjczyk czuł się winny, wezbrała w nim duma i radość, a fakt, iż stało się to w chwili, gdy los okazał się jego sprzymierzeńcem, wzmagają jeszcze bardziej poczucie winy.

Orme spojrzął na chronometr.

- Pora rozpocząć następną fazę - oznajmił.

Danton została za konsolką. Bronski i Shirazi pomogli Orme'owi włożyć skafander. Następnie kapitan wraz z Irańczykiem zakuli Bronskiego w jego „zbroję”. Jednocześnie Danton, mówiąca po angielsku z lekkim akcentem francuskim, nieustannie podawała dane dotyczące panujących na zewnątrz warunków oraz stanu przygotowań. Nie było to łatwe, ponieważ z uwagi na znaczne opóźnienie transmisji musiała pamiętać, co mówiła wcześniej, gdy była zmuszona odpowiadać na pytania nadsyłane z Ziemi za pośrednictwem satelity znajdującego się nad Houston.

Słuchał jej cały świat. Miało się to powtarzać przy każdej stosownej okazji. Spodziewano się, że operacja przebiegnie gładko, choćby z uwagi na to, że członkowie załogi nabrali dużej wprawy w tego rodzaju akcjach podczas ćwiczebnych lądowań na Księżycu. Zawsze jednak istniała możliwość awarii sprzętu.

Na koniec Orme i Bronski wśliznęli się przez właz do ładownika, który nosił nazwę *Barsoom*. Przewodniczący IASA był w dzieciństwie entuzjastą Edgara Rice'a Burroughsa. Nazywał się John Carter, podobnie jak bohater wczesnych opowieści Burroughsa o Marsie, nazywanym przez jego fikcyjnych mieszkańców - Barsoom. Carter od razu zaproponował tę nazwę i na skutek pewnej manipulacji z jego strony została ona zaakceptowana. Ci, którzy chcieli nazwać ładownik *Tau Omega*, ze względu na dwie litery umieszczone na drzwiach tunelu, przegrali niewielką różnicą głosów.

Po półgodzinnej kontroli sprzętu Orme wydał rozkaz startu.

Barsoom zaczął oddalać się powoli od macierzystego statku, poruszając się na małym ciągu. Orme poczuł ciepło w okolicy pępka, jak gdyby psychiczna pepowina, łącząca go z

macierzystą planetą, została przecięta. Nie było jednak czasu na introspekcję. Musiał skoncentrować swą uwagę na celu, pozycji lądownika w stosunku do powierzchni planety oraz nieustannie napływających danych. Musiał teraz działać bezbłędnie jak maszyna. Czas na podziw i zachwyty oraz satysfakcję z tego, czego dokonał, nadejdzie po wylądowaniu na Marsie. O ile nie pojawią się żadne nowe, wymagające natychmiastowej reakcji problemy.

Na Ziemi załoga ćwiczyła lądowanie w znacznie potężniejszej maszynie, przystosowanej do silniejszego przyciągania oraz gęstej atmosfery; trening odbywał się również na Księżycu, gdzie przyciąganie było znacznie słabsze niż na Ziemi, a atmosfera praktycznie nie istniała. Tutaj jednak powłoka gazowa, choć rzadka, stanowiła znaczący czynnik. Niemniej lądowanie na Marsie zostało rozpracowane teoretycznie i członkowie ekspedycji ćwiczyli je wielokrotnie w warunkach symulacji, tak więc nie spodziewano się żadnych kłopotów.

Przez cztery dni załoga *Ariosa* czekała, aż wiatr się uspokoi. Wreszcie, zarówno wysoko przepływające chmury lodowe, jak i unoszące się nad gruntem obłoki pyłu, zaczęły opadać. Pod dnem statku sunęło już tylko kilka rzadkich cirrusów i nic nie wskazywało na to, żeby warunki panujące na powierzchni planety miały sprawić badaczom jakiegokolwiek trudności.

Czerwony glob stawał się coraz większy. Szczyt wulkanu Olympus Mons, zajmującego powierzchnię równą obszarowi stanu Nowy Meksyk i wysokiego na piętnaście i pół mili, zniknął z pola widzenia.

Pasma gór Tharsis, przypominające wyglądem grzbiet olbrzymiego dinozaura, pokryty płytami kostnymi - zdawało się rozszerzać, po czym również zniknęło.

Rów tektoniczny o nazwie Tithonius Chasma, mający ponad czterdzieści sześć mil szerokości i kilka mil głębokości, stanowiący część zespołu kanionów Vallis Marineris, rozszerzał się z każdą chwilą.

Na dwadzieścia sekund pochłonęła ich biel, jak gdyby przechodzili przez długi i gęsty obłok lodowy. Na wschodzie zaległ cień. Marsjański zmierzch nadciągał niemal w takim tempie, jak to bywało na Ziemi. Ciemności i straszliwy chłód wypełniły przestworza w okamgnieniu. Nie znaczy to wcale, że na powierzchni było ciepło. Gdy wylądują, zetkną się z temperaturą bliską dwudziestu stopni Celsjusza.

Orme skierował lądownik na zachód, ponieważ prąd atmosferyczny zaczął ich znosić w przeciwną stronę. Ustalił ciąg silników tak, aby zrównoważyć siłę wiatru. *Barsoom* schodził coraz niżej. Orme zauważył, że chociaż atmosfera stawała się gęstsza, wiatr wiał coraz słabiej. Zmniejszył ciąg. Instrumenty wskazywały, że *Barsoom* schodzi do lądowania pod stałym kątem. Linia prosta wyznaczała miejsce lądowania na dnie Tithonius Chasma.

Orme systematycznie przekazywał dane, tworząc w ten sposób komentarz do transmitowanego za sprawą nadajnika obrazu powierzchni Marsa.

Zaczęli pogrążyć się w rozpadlinie jak w gardzieli. Olbrzymie kratery wulkanów zniknęły z pola widzenia. Po chwili statek był już poniżej krawędzi przepaści. Wciąż oświetlały ich ostatnie promienie słońca.

Orme spoglądał od czasu do czasu przez luk. Metaliczny połysk obiektu, którego fragment wystawał spod stosu kamieni, przykuwał jego uwagę. Wiatr był słaby, co ułatwiało Orme'owi zadanie.

Bronski z wrażenia zapomniał się i zamiast po angielsku zaczął mówić w swoim ojczystym języku, czyli po polsku. Francuskiego nauczył się dopiero w wieku lat dziesięciu, gdy jego rodzice uciekli do Szwecji, a stamtąd do Paryża. Po chwili zreflektował się.

- To rzeczywiście sztuczny obiekt! Statek! - wykrzyknął.

Orme pomyślał, że należało najpierw dowieść, iż był to statek kosmiczny, nie miał jednak czasu na dyskusję. Poza tym przeczuwał, że Bronski ma rację.

Lądownik stanął pewnie na swych sześciu teleskopowych podpórkach, które ugięły się nieco, amortyzując wstrząs. Kapitan wyłączył silnik. Przez chwilę siedział bez ruchu, wczuwając się w słabe marsjańskie przyciąganie i wsłuchując się w ciszę.

- Marsjanie. Oto jesteśmy! - powiedział po chwili z dumą.  
Przygotował kilka krótkich mów - mniej lub bardziej patetycznych - ostatecznie jednak postanowił dać sobie z tym spokój. Powie to, co przyjdzie mu do głowy.  
Ciszę przerwał głos Danton.  
- Gratuluję, kapitanie.  
Tymczasem Bronski objął go niespodziewanie ramieniem i ryknął mu do ucha.  
- Na Boga, udało nam się!  
- A jakże, ON też na pewno jest z nami - powiedział Orme i naprawdę tak sądził. - Nawet jeśli to miejsce wygląda jak pracownia diabła.

## 2.

Kapitan odpiął pasy i powoli wstał z miejsca. Pamiętał, że tutejsze przyciąganie nie mogło równać się z ziemskim. Spojrzał przez luk i w kilku słowach opisał to, co zobaczył. Lądownik stał w odległości kilometra od osuwiska skalnego. Spoczął na dnie kanionu, w miejscu, które dostrzegli już wcześniej z pokładu *Ariesa*. Było ono wyjątkowe, jak gdyby uprzątnięto stąd głązy i skalny miał. Stanął na skale, którą wiatr oczyścił z wszelkiego pyłu. Przez górny luk widać było niebo - jasny błękit powleczoney kilkoma pasmami bieli. W stronę przybyszów zbliżała się sonda RED II, która jako pierwsza zarejestrowała dwie pierwsze litery na drzwiach tunelu. To Danton poleciła jej skierować się do lądownika i obrazy wysiadających z niego marsonautów przekazać na *Ariesa*, skąd miały być, za pośrednictwem satelity, przetransmitowane na Ziemię.

Dwa i pół kilometra za sondą znajdował się tunel. Orme i Bronski wzięli się do roboty. Po włożeniu skafandrów i hełmów oraz sprawdzeniu ich weszli do ciasnej komory dekompresyjnej, zamykając za sobą właz prowadzący do wnętrza lądownika. Kapitan ustawił wskaźnik na pożądanej wartości i nacisnął guzik. Po trzech minutach ciśnienie w komorze zrównoważyło się z tym na zewnątrz. Orme otworzył właz i rozłożył metalową drabinę. Mógł, co prawda, z łatwością zeskoczyć, jako że grunt znajdował się cztery i pół metra pod nim, było to jednak zabronione. Nie wolno im było podejmować nawet najmniejszego ryzyka.

Zszedł na dół po drabinie i rozejrzał się wokoło. Poczł z zawrót głowy, lecz wcale nie wywołało go mniejsze przyciąganie. On, Richard Orme, czarnoskóry Kanadyjczyk, zrobił pierwszy krok na powierzchni Czerwonej Planety. Cokolwiek by się miało jeszcze wydarzyć, on przeszedł już do historii jako pierwszy człowiek na Marsie. Sonda - przypominająca z wyglądu dużego metalowego owada - cały czas przekazywała relację z tego wiekopomnego wydarzenia. On, Richard Orme, jako pierwszy Ziemianin postawił stopę na prastarych skałach obcej planety.

- Kolumbie, szkoda, że cię tu nie ma! - powiedział, zdając sobie sprawę z tego, że po upływie niecałych dwunastu minut miliardy ludzi usłyszą jego słowa. Nie zwerbalizował jednak swojej następnej myśli: „Narobiłbyś w portki z wrażenia!” Starodawny podróżnik nie mógłby nawet śnić o czymś takim.

— Przebyliśmy szmat drogi przez te pięćset dwadzieścia trzy lata! - dodał, nie wdając się w szczegóły. Na Ziemi jest dostatecznie wielu ludzi, którzy zrozumieją, co miał na myśli, i wyjaśnią to telewizjom.

Bronski zszedł po drabinie jako drugi. Przez chwilę rozglądał się po okolicy, po czym przywołany gestem przez Orme'a podszedł do niego, aby pomóc mu w pracy. Ze skrytki w kadłubie lądownika wyjęli linę, wiertarkę i sonar, dzięki któremu przekonali się wnet, iż grubość skalnego podłoża wystarczy do zakotwiczenia. Bronski wwiercił się w bazalt, a następnie odłączył wiertarkę od źródła zasilania. Do wystającej ponad powierzchnię części urzą-

dzenia przytwierdzony był jeden z końców liny. Orme przygotował cement i wlał go w wyborowany otwór z zamiarem unieruchomienia wiertarki. Czekał, aż szybko schnący materiał stwardnieje, podszli do metalowego obiektu połyskującego srebrzyście spod skalnych odłamów. Orme nie mógł wyjść z podziwu. Jeśli miał przed sobą pojazd kosmiczny, a tak z pewnością było, to jego rozmiary musiały odpowiadać wielkości dawnego statku pasażerskiego, na przykład *Queen Mary* albo sterowca, jak choćby *Hindenburg*. Ktokolwiek go skonstruował, musiał dysponować źródłami energii nieznanymi na Ziemi. Aby wzbić tego potwora w przestworza, poprowadzić go w przestrzeni międzygwiazdnej i wylądować tutaj, potrzebna była moc, którą strach było sobie wyobrazić.

Ile czasu przeleżał na dnie tego olbrzymiego kanionu? Z pewnością wystarczająco długo, aby skalny miał opadający z wietrzejących ścian przykrył go w całości: a potem jakaś siła, być może bardzo mocne wiatry wiejące przez długi czas, odkryły z kolei ten fragment jego powłoki.

Możliwe jednak, że ów segment nigdy nie był zakryty. Satelita zwiadowczy fotografował to miejsce wielokrotnie, lecz żaden z areografów nic nie zauważył, zanim Lackley, ten Australijczyk, nie objawił swoich „przeczuć”.

Niewykluczone też, że jakieś istoty zaczęły odkopywać wehikuł, lecz coś przerwało ich pracę. Orme aż się wzdrygnął na tę myśl. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Mimo woli zerknął za siebie. Rzecz jasna, żadna grupa Marsjan nie zachodziła go bezgłośnie od tyłu. Roześmiał się.

- Co cię tak bawi? - zapytał go Bronski.

- Nic szczególnego. Zaśmiałem się, bo... zresztą, nieważne. Może z radości. Chodź i wyjmij zestaw.

Odwrócił się plecami do Bronskiego, żeby ten mógł wydobyć z przypiętego do nich cylindra niewielką skrzynkę. Było to mini-laboratorium, służące do przeprowadzania testów fizyko-chemicznych. Bronski postawił skrzynkę na ziemi i otworzył pokrywę. Następnie obaj z Orme'em przeprowadzili wszystkie niezbędne badania. Sprawność w ich wykonaniu zawdzięczali długim ćwiczeniom. Gdy skończyli, Orme przekazał swój raport.

- Drzwi są chyba metalowe. Jak słyszycie w audiometrze, przestrzeń za nimi jest pusta. Uderzone stalowym młotkiem wydają metaliczny dźwięk. Nawet diamentem nie sposób ich zarysować. Kwas azotowy nie zostawia na nich żadnego śladu. Nie chcę używać lasera, ponieważ dostęp powietrza mógłby - przy założeniu, że w środku cokolwiek jest - spowodować nieodwracalne uszkodzenia. Nie wiem, z jakiego materiału je wykonano; w każdym razie ziemskiej nauce jest on nieznan.

Bronski włożył skrzynkę z powrotem do cylindra. Obaj mężczyźni zawrócili w stronę ładownika. Cement już stwardniał. Tutaj, gdzie ciśnienie atmosferyczne było równe panującemu na wysokości dziesięciu mil nad powierzchnią Ziemi, wilgoć ulatniała się szybko.

Orme, przy pomocy małego kołowrotka, mocno naciągnął luźną linę. Teraz nawet wiatr wiejący z prędkością dwustu pięćdziesięciu mil na godzinę - co zresztą nie było prawdopodobne na dnie kanionu - nie zdoła ruszyć ładownika z miejsca.

Nadir Shirazi, który w tej chwili zastępował Danton, zapytał:

- Jak się czujecie? Czy chcecie odpocząć przed wejściem do tunelu?

- Jestem zbyt podekscytowany, aby zwlekać - odpowiedział Bronski. - Wolałbym wyruszyć już teraz.

Ze schowka, w którym trzymali przedmioty użyte do zakotwiczenia, wyjęli aluminiową teleskopową drabinę oraz skrzynkę materiałów wybuchowych. Podeszli do wlotu tunelu. Skrzynkę niósł Orme. Robot podążał za nimi. Jego kamery przekazywały obraz dwojgu ludziom na pokładzie *Ariesa* oraz miliardom na Ziemi. Kapitan postawił pakunek i otworzył go. Bronski opuścił drabinę do tunelu. Używając silnej lampy, Orme oświetlił wnętrze korytarza. Na lewo od obu mężczyzn stał robot. Skierował swe czujniki tam, gdzie padał blask.

Orme oglądał już wielokrotnie wnętrze tunelu, korzystając z uprzejmości robota. Teraz jednak, kiedy widział je wreszcie na własne oczy, poczuł taki sam dreszcz, jak wtedy, gdy zobaczył je po raz pierwszy w laboratorium, w Houston.

Na końcu korytarza spostrzegli stos ułożony z kamieni. Pochodziły zapewne z zawalonego sklepienia. Za nimi kryły się prawdopodobnie następne drzwi. Odłamki skalne, małe i duże, zalegały zresztą całą podłogę w tunelu. Drzwi w jego drugim końcu były również częściowo zasypane. Wszystko pokrywał czerwony pył, lecz zalegał cienką warstwą, toteż nasuwał się wniosek, że sklepienie uległo zniszczeniu stosunkowo niedawno.

Cóż mogło spowodować jego zapadnięcie? Nikt nie potrafił przedstawić wiarygodnej teorii. Tunel znajdował się zbyt daleko od urwiska, aby mogła runąć na niego lawina kamieni. Poza tym ani w tunelu, ani w jego okolicy nie było żadnych wielkich odprysków. Co prawda niedaleko leżało kilka potężnych głazów, musiały zostać jednak przyniesione przez wodę w odległej przeszłości.

Jeden z naukowców wysunął hipotezę, że sklepienie zostało strzaskane przez niewielki meteoryt. Jednakże wokół nie dostrzeżono najmniejszego nawet krateru. Byłby to zresztą niezwykły zbieg okoliczności, gdyby tak rzadkie zjawisko, jak upadek meteorytu, wydarzyło się akurat w tym miejscu, ujawniając to, co w przeciwnym razie nigdy nie zostałoby odkryte.

Orme skierował snop światła na pomarańczowe litery widniejące na czarnej, matowej powierzchni drzwi. Były to wielkie litery T i Ω. Czy jednak ten, kto je tu umieścił, musiał znać grekę? Czyż te znaki nie były na tyle proste, że mogły ich używać również inne istoty rozumne? Symbole Tau i Omega mogły przyjść do głowy każdemu, kto zamierzał stworzyć alfabet O ile owe znaki rzeczywiście stanowiły litery alfabetu. Równie dobrze mogły to być litery pisma sylabicznego lub ideogramy podobne do tych, jakich używali Chińczycy, a nawet symbole arytmetyczne.

Orme gestem nakazał Bronskiemu, aby zszedł po drabinie w dół. Skoro nie mógł być pierwszym człowiekiem, który stanął na powierzchni Marsa, niech chociaż będzie tym, który pierwszy dotknie stopą dna tego tunelu.

Robot znajdował się przy samym wejściu. Jedna z jego kamer skierowana była na Orme'a, druga wodziła za Francuzem. Gdy Orme spostrzegł, że Bronski zszedł już z drabiny, rzucił mu skrzynkę. Francuz złapał ją z łatwością.

Wkrótce kapitan dołączył do Bronskiego. Francuz wdrapał się na niewielki stos gruzu, aby lepiej przyjrzeć się drzwiom. Orme podniósł kamień, mniej więcej wielkości swej głowy, i wyrzucił go z tunelu, upewniając się przedtem, że nie uderzy w sondę. Bronski zszedł z usypiska, aby mu pomóc. Po około pięciu minutach drzwi zostały odsłonięte. W świetle lampy ustawionej na skale Bronski ponownie sięgnął do cylindrycznego pojemnika przytroczonego do pleców Orme'a. Testy wykazały, że drzwi wykonano ze stali.

- Są bardzo szczelne - powiedział kapitan. - Z pewnością jest to śluza zapobiegająca uchodzeniu powietrza. Przypuszczalnie zamontowano ją na wypadek tego, co faktycznie miało miejsce, to jest zawalenia się części tunelu.

W przeciwieństwie do tego, co uważali za pancierz statku kosmicznego, drzwi były znacznej grubości. Uderzenie młotkiem wywołało głuchy odgłos.

- Moglibyśmy je wysadzić - powiedział Orme - ale myślę, że lepiej będzie wyjść na powierzchnię i dostać się do następnego odcinka tunelu z góry.

Wyszli zatem i wrócili do ładowni. Orme zaczął odczuwać zmęczenie, co powinno oznaczać, że Bronski ma już dość. Murzyn miał tylko pięć stóp i osiem cali wzrostu, lecz był nadzwyczaj mocno zbudowany. Na Ziemi ważył sto dziewięćdziesiąt funtów, bez odrobiny zbytecznego tłuszczu. Szczupły Bronski poruszał się szybko, lecz nie mógł nadążyć za swym kapitanem.

Orme zaproponował, aby zjedli coś i odpoczęli trochę, a może nawet przespali się chwilkę, lecz Francuz odmówił.

- Wciąż jestem naładowany - powiedział.

Jednakże Carter, ze swojego stanowiska dowodzenia w Houston, rozkazał im podłączyć aparaturę kontrolną i odczytawszy wskaźniki, rzekł:

- Musicie naładować baterie, chłopaki. Jesteście naprawdę wykończeni.

Zanim wiadomość nadeszła, zdążyli skończyć posiłek. Następnie przez godzinę odpoczywali na rozłożonych fotelach. Orme skoncentrował się, aby wywołać w mózgu rytm alfa, co zazwyczaj ułatwiało zaśnięcie, lecz i tak, jak pokazywały monitory, zajęło mu to dwadzieścia minut. Mógłby przysiąc, że nie spał ani przez chwilę.

Dwadzieścia minut później ponownie znaleźli się u wejścia do tunelu. W odległości osiemnastu cali od drzwi Orme, posługując się wiertarką laserową, wyciął niewielki otwór w sklepieniu. Gdy przebił się na drugą stronę, eksplozja uwięzionego w środku powietrza wyrzuciła narzędzie w górę. Spodziewając się tego, Orme odsunął się na bok, lecz i tak o mały włos wiertarka nie wypadła mu z rąk.

Wziął się natychmiast do roboty. Wywiercił pięć dalszych otworów, tworząc krąg o średnicy trzech stóp. Mógłby je połączyć, wycinając całą bryłę przy pomocy lasera, musiał jednak oszczędzać energię. Umieścił więc w otworach ładunki gelignitu i zdetonował je z odległości przy użyciu baterii. Okrągła skalna płytką wyleciała w górę wśród dymu i deszczu odłamków. Wzniosły się wyżej, niż miałyby to miejsce na rodzinnej planecie mężczyzn. Dym rozwiął się łatwiej, a pył opadł szybciej.

- Jeśli jest tam automatyczny system zamykający i jeśli nadal działa, to drzwi na końcu tego odcinka zatrzasną się - powiedział Orme. - Będziemy musieli je otworzyć, lecz wtedy zamkną się drzwi w następnym przedziale. Brak nam materiałów wybuchowych i przyrządów, aby przebić się przez kilka takich przegród.

Jeżeli tunel biegł w linii prostej, musiał prowadzić do ściany kanionu i może dalej, w głąb. Było coraz chłodniej, jednak marsonauci czuli się całkiem dobrze w swoich skafandrach, choć były one niezgrabne i obciążone znacznym ekwipunkiem. Wewnątrz znajdował się pojemnik z wodą, którą mogli ssać przez rurkę, pochylając nieco głowę ku jednemu z boków. Została im jeszcze połowa zapasu. Zbiornik na mocz przytwierdzony był z przodu jednej z nóg.

Mimo to John Carter rozkazał im na noc przerwać pracę - ale dopiero po tym, jak ustala, czy tunel ma dalszy ciąg pod ścianą kanionu.

- Pracując za dnia, zaoszczędzicie baterie w waszych lampach. Poza tym będziemy mogli was uważniej obserwować.

Kapitan nie był zadowolony, lecz musiał się podporządkować. Po wysłaniu potwierdzenia, że tunel istotnie prowadzi w głąb skalnej ściany, powiedział Bronskiemu, że muszą wracać.

- Jutro poświęcimy na to cały dzień. Będziemy wypoczęci. Łądowanie naprawdę nas wyczerpało. Mimo że ćwiczyliśmy przez cały czas lotu *Ariesa*, nie jesteśmy w pełni formy. Nieważkość to podstępna bestia. Osłabia organizm, gdy spędza się w niej dłuższy czas.

- Jasne - odrzekł Bronski. Jego ton wskazywał, że wiedział o tym i Orme wiedział, że on wie. Lepiej jednak było powtarzać w kółko te same banały, niż wsłuchiwać się w ciszę.

Pojawiły się już gwiazdy. Świeciły tu jaśniej aniżeli poprzez gęstą atmosferę Ziemi. Przebywali na dnie kanionu, co dawało podobny efekt, jak gdyby znaleźli się w studni. Gwiazdy wyglądały złowrogo. Mogłoby się wydawać, że nie podobała im się obecność tych dwóch intruzów.

Orme zdawał sobie sprawę z tego, że to zmęczenie daje znać o sobie. Pomiędzy gigantycznymi ścianami kanionu wrażenie, że istoty żyjące gdzieś w dole mogą okazać się niebezpieczne, zdawało się potęgować. Nie wiedział, co prawda, dlaczego miałyby tak być, skoro mieszkańcy Ziemi nie stanowili żadnego zagrożenia dla Marsjan - jeśli oni w ogóle istnieli. Nie potrafił też znaleźć żadnego powodu, dla którego mieliby oni uznać dwóch przybyszów



za wrogów.

Jednakże pogrzebany w rumowisku statek był tworem bardzo zaawansowanej techniki, a tunel najprawdopodobniej świadczył o tym, że ci, którzy przybyli tym pojazdem, ukryli się pod powierzchnią Marsa. Jeśli zdołali tam przeżyć, dlaczego nie wyszli na zewnątrz, aby usunąć uszkodzenia? Musieli przecież przebywać tu od dawna. O ile statek rzeczywiście uległ awarii.

Nie było sensu zaprzętać sobie tym zbytnio głowy. Jutro, pojutrze albo za tydzień czy dwa poznają odpowiedzi na wszystkie te pytania.

Orme cieszył się jednak, że znalazł się z powrotem w ładowniku. Choć nie był to najwygodniejszy ani najbardziej przestronny z domów, stanowił jednak, w pewnym sensie, część Ziemi. Mężczyzna zasnął z łatwością, lecz w środku nocy obudził się nagle. Wydało mu się, że słyszy jakieś stukanie w podwójny pancerz ładownika. Zerwał się i spojrzął przez luk, lecz nie dostrzegł nic oprócz ogarniającej wszystko ciemności. Jedyne gwiazdy migotały wciąż ponad kanionem. Sonda była zaledwie niewyraźnym kształtem. Gdyby nie wiedział, że tam jest, wziąłby ją za głaz.

Gdy tak patrzył w tamtą stronę, ujrzał nagle snop światła, który padł na tunel, a następnie podniósł się w górę, zataczając koło. Po dwóch minutach reflektor zgasł. Co godzina, zgodnie z poleceniem Danton, sonda ożywała i omiatała okolicę wiązką światła widzialnego, podczerwieni i fal radarowych. Jeśli cokolwiek w promieniu kilku mil by się poruszyło, w ładowniku i na *Ariesie* nastąpiłby alarm.

Resztę nocy Orme przespał bez problemów. Na dźwięk budzika, włączonego drogą radiową z *Ariesa*, oprzytomniał natychmiast. Wciąż jeszcze było ciemno, lecz powoli niebo ponad kanionem zaczynało się przejaśniać. Po złożeniu niezbędnych raportów, sprawdzeniu ekwipunku i zjedzeniu śniadania wyszli z Bronskim na zewnątrz. Gdy zbliżyli się do jednej ze ścian, ujrzeni fragment szarego poszycia wystającego spod gruzu. Jeśli tunel skończy się ślepo, zaczną odkopywać statek spod głazów. Gdyby po wielu dniach pracy nie odnaleźli luku czy innego sposobu na łatwe dostanie się do środka, spróbują utorować sobie drogę przy pomocy lasera.

Na Ziemi usunięcie tych głazów - a niektóre z nich miały imponujące rozmiary - byłoby niemożliwe bez użycia dźwięku lub dużej ilości materiału wybuchowego. Tutaj dwóch mężczyzn powinno podnieść każdy z kamieni, które tworzyły stosy. W razie czego Shirazi i Danton mogli przybyć im z pomocą.

Gdy Orme przechodził obok robota, pomachał do niego ręką. Chód tamten wyglądał jak Marsjanin z filmu *science fiction*, to jednak miał w sobie coś swojskiego, budził więc zaufanie. Bądź co bądź pozwalał utrzymywać więź z ojczystą planetą.

Kapitan obejrzał się. Robot podążał za nim jak pies za panem. Danton, która pełniła dyżur, rozkazała mu, aby im towarzyszył. Gdy zeszli razem z Bronskim do tunelu przez otwór, który wykonali poprzedniego dnia, robot wsunął za nimi swoje giętkie ramie, na końcu którego znajdowały się reflektor i kamera. Będzie miał oko na wszystko, aby dwójka w *Ariesie* i miliony ludzi na Ziemi mogły obserwować ich postępy - lub brak takowych.

Orme pokręcił głową. Ponure myśli kłębiły się w jego głowie. Zawsze sądził, że jest tak wielkim optymistą, jak tylko można być, wciąż pozostając normalnym. W każdym jednak kryją się mroczne pokłady, których nie zdołają odkryć nawet najdoskonalsze testy psychologiczne. Tkwią one tak głęboko, że nawet właściciel nie ma o nich pojęcia, zanim sprzyjające okoliczności nie wydobędą ich na wierzch. Właśnie zaistniała jedna z takich okoliczności. Orme nie zamierzał jednak pozwolić, aby ów nastrój nad nim zapanował. Gdy tylko zabierze się do roboty, na pewno mu przejdzie.

Kapitan, który szedł przodem, znalazł się już niemal na wyciągnięcie ręki od drzwi, za którymi - jak się spodziewali — miał się znajdować następny odcinek tunelu. Gdyby stał choćby o krok bliżej, zostałby zwalony z nóg, być może doznałby ciężkich obrażeń lub nawet

stracił życie, bowiem nagle drzwi otworzyły się z impetem.

Wyglądało to tak, jakby w sąsiednim pomieszczeniu nastąpiła eksplozja. Fala uderzeniowa uniosła Orme'a w górę i obróciła go o sto osiemdziesiąt stopni. Zdołał tylko dostrzec światło i niewyraźny kształt jakiejś kopulastej maszyny, po czym runął na ziemię.

Oszołomiony leżał bez ruchu przez minutę lub dłużej. Nie wiedział, gdzie się dokładnie znajduje, ani nawet kim jest. Zanim odzyskał panowanie nad zmysłami, ujęli go jacyś osobnicy w skafandrach. Ich twarze były ukryte pod maskami hełmów. Byli przeciętnego dla ludzi wzrostu, mieli dwie ręce, dwie nogi i po pięć palców u dłoni. Dwóch z nich uniosło Orme'a i powlokło go w stronę wielkiej maszyny na kołach.

Danton lamentowała Orme'owi prosto w ucho:

- Co się dzieje, Richard? Richard?! Słyszysz mnie?

„Widzisz mnie, prawda?” - pomyślał, gdy zaczął wracać do siebie. Przez minutę jednak nie odpowiadał. Wreszcie wymamrotał:

- Nic mi nie jest. To coś... tak jakby ludzie...

Został wepchnięty przez otwarte drzwi pojazdu i brutalnie umieszczony w fotelu. Poczuł, że zapinają mu coś na piersi. Po chwili zdał sobie sprawę, że jest to metalowa taśma, która krępuje mu ramiona. Następnie wciągnięto opierającego się Bronskiego i posadzono go przed Orme'em. Oprócz foteli ustawionych rzędem wzdłuż pojazdu, na przedzie, obok deski rozdzielczej, znajdowały się dwa siedzenia. Było tam miejsce dla kierowcy oraz jeszcze jednej osoby. Półokrągła przednia szyba umożliwiała obserwowanie pola w zakresie stu pięćdziesięciu stopni, dzięki czemu Orme mógł obserwować poczynania niektórych napastników.

- Madeleine, oni umieszczają w poprzek tunelu sześć metalowych prętów - relacjonował. - Teraz dołączają do poziomych sześć takich samych pionowych. Tak jakby je przyklepiały. W tej chwili... przyklejają do nich siatkę.

Ramię robota wciąż pozostawało w otworze, jednak poprzez gęstą siatkę było ledwie widoczne.

- Coś na tej siatce rozpylają. Wydaje mi się, że instalują coś w rodzaju prowizorycznej zapory, aby móc z powrotem wpompować powietrze do tej części korytarza. Czy słyszysz mnie, Madeleine?

Nie było odpowiedzi. Przegroda blokowała również fale radiowe.

Robotnicy podeszli do tyłu pojazdu, gdzie - jak Orme przypuszczał - schowali narzędzia. Następnie wdrapali się do środka i zajęli swoje miejsca. Zamknięto drzwi. Maszyna zawróciła i skierowała się ku następnym drzwiom, gdzie czekali około dziesięciu minut. Gdy zostały otwarte i pojazd ruszył ponownie, mogli podziwiać kolejny odcinek korytarza, różniący się od poprzednich jedynie tym, że pod sklepieniem były zainstalowane światła.

Orme pomyślał, że Nadir i Madeleine musieli właśnie zacząć odchodzić od zmysłów. Również na Ziemi, gdzie wkrótce dotrą pierwsze obrazy oraz nagrania jego głosu, ludzi ogarnie szaleństwo.

- Boże spraw... aby oni... byli przyjaźnie nastawieni - powiedział. - I aby przychodzili od Ciebie.

### 3.

- Możliwe, że to najbardziej luksusowa cela więzienna w całym układzie słonecznym - rzekł Bronski.

Znajdowali się w czteropokojowym, wykutym w skale apartamencie, wysoko na jednej ze ścian gigantycznej groty. Pomieszczenia wyłożone były jasnym, czerwonawobrazowym tworzywem imitującym drewno. Kamienny sufit pokryty był malowidłami przedstawiającymi

zwierzęta domowe. Nie mogli dopatrzeć się na nich żadnych „Marsjan”. Podobnie jak na zdobiących ściany, oprawionych w ramy obrazach. Wisiały tam dzieła abstrakcyjne, martwe natury, wizerunki budynków oraz stworzeń, które albo istniały tu naprawdę, albo - co bardziej prawdopodobne - miały charakter mitologiczny. Niektóre z nich przywodziły na myśl smoki. Na jednym z płócien widniało monstrum przypominające wieloryba o siedmiu rogach, wynurające się z morskich fal.

Bronski miał oczywiście swoją prywatną hipotezę. Wyraził przekonanie, że obowiązujące tu wcześniej prawo, które zakazywało przedstawienia istot żywych na obrazach, w rzeźbach czy jakichkolwiek innych formach sztuki, zostało złagodzone; przypuszczał jednak, że wyobrażanie istot rozumnych było nadal zabronione.

- Jednakże nie w łączności holograficznej - dodał. - Poza tym, ponieważ ich wiedza medyczna wydaje się bardzo zaawansowana, muszą pokazywać ciało ludzkie w podręcznikach czy też sporządzać kopie narządów na użytek studentów i tak dalej. Nie mam zielonego pojęcia, czy stosują sekcję zwłok.

Holograficzne telewizory w ich apartamencie można było nastawić tak, aby podawały dokładny czas. Po trzech dniach uwięzienia Orme i Bronski nauczyli się cyfr w stopniu wystarczającym, aby zrozumieć cały system. Bronski, który na Ziemi był nie tylko czołowym areografikiem, lecz również znanym poliglotą, opanował słowa odpowiadające poszczególnym symbolom. Nastawili własne chronometry na czas lokalny. Nie wybierali się jednak nigdzie w najbliższej przyszłości, czas nie był więc dla nich zbyt istotny.

Jedną z niewielu rzeczy, które zdołali ustalić, był fakt, że *tau* i *omega* na drzwiach tunełu nie pochodziły z greki. Co prawda niektórzy tutaj znali ten język, lecz symbole arytmetyczne używane w telewizji wywodziły się z miejsca bez wątpienia odległego od Ziemi.

Orme wstał z krzesła i podszedł do Bronskiego, aby wraz z nim podziwiać panoramę, która - choć była im już dobrze znana - nadal ich urzekała. Więzienie znajdowało się na wysokości mniej więcej trzydziestu metrów. Podstawa ściany przeciwległej była oddalona, jak oceniali, jakieś trzydzieści pięć mil. Szczytowy punkt tej bazaltowej kopuły zdawał się znajdować na wysokości dwu i pół kilometra.

Z miejsca, w którym stali, mogli dostrzec siedem olbrzymich bram w kształcie podkowy oraz dwadzieścia jeden mniejszych. Musiały dawać początek korytarzom wiodącym do innych, podobnych jaskiń. Sądziło, że ta, w której się znaleźli, stanowi jedynie fragment ogromnego podziemnego kompleksu.

Wszędzie, poza podstawą kopuły, kamień był błękitny jak niebo. Nie był to naturalny kolor bazaltu, skała musiała więc zostać pomalowana lub przeobrażona w jakiś inny sposób. Niezależnie od tego, jaką metodą zastosowano, kopuła przypominała do złudzenia niebo nad Ziemią w bezchmurny dzień.

Około trzydziestu metrów poniżej zwieńczenia groty była zawieszona jasna jak słońce kula. O godzinie 17.30 zaczynała przygasać. Pół godziny później świeciła już tak słabo, jak gdyby słońce było zastępowane przez księżyc. To było jedyne światło - nie licząc tego, które padało z okien domów - jakie rozjaśniało wnętrze kopuły aż do 6.00, gdy „słońce” zaczynało żarzyć się na nowo.

Nic nie wskazywało na to, żeby świetlisty obiekt był zawieszony na linie. Co prawda silny blask utrudniał obserwację, jednak jeśli faktycznie nie było żadnej liny, oznaczało to, że obiekt podtrzymywany był w górze przez jakieś urządzenie antygravitacyjne. Do tej pory Orme i Bronski uważali, że antygravitacja jest możliwa jedynie w powieści *science fiction*, chyba że należało uznać za urządzenia antygravitacyjne schody, drabiny, windy, balony, sterowce, samoloty i rakiety.

Jak dotąd „słońce” było jedynym zaobserwowanym przez nich ciałem unoszącym się samoistnie w powietrzu. Ludzie, których udało im się dostrzec, poruszali się na piechotę, konno, względnie jeździli zaprzężonymi w konie wozami lub dorożkami, a także rowerami

oraz nielicznymi pojazdami silnikowymi.

Dno jaskini nie było ani płaskie, ani też wypukłe tak, aby utworzyć horyzont. Było natomiast lekko wklęsłe. Od środka wznosiło się łagodnie we wszystkich kierunkach. Z otworów u podstawy ścian wypływała woda, tworząc kręte strumyki, potoki i wreszcie zlewała się w dwie rzeki, które miały około tysiąca dwustu metrów szerokości. Rzeki kierowały swe wody do znajdującego się w centrum jaskini jeziora, przypominającego kształtem ułożoną poziomo klepsydrę. Miało ono osiemset metrów szerokości w najszerszych miejscach i trzy i pół kilometra długości.

Wszędzie widać było pola uprawne, parki, a nawet niewielkie lasy. Gdzieśkolwiek wśród zieleni wynurzały się wioski. Jedynie stodoły wznosiły się wyżej niż na dwa piętra. Każdą ludzką siedzibę otaczało rozległe podwórze, a ponadto w pobliżu zawsze znajdował się ogród. Niektóre z budynków wyglądały na szkoły. Każda z wiosek miała stadion, na którym odbywały się zawody lekkoatletyczne, wyścigi konne oraz mecze różnych gier zespołowych. Jedna z nich bardzo przypominała piłkę nożną, a inna stanowiła chyba jakąś odmianę koszykówki. Nie brakowało także publicznych basenów, choć na prywatnych posesjach nie było ich w ogóle.

Przez lornetkę, którą dał im Hfathon - jeden z tych, którzy ich pojмали - mogli przyjrzeć się wielu rzeczom, które inaczej widzieliby bardzo niewyraźnie albo wcale. Gdyby gdziekolwiek znajdowały się wysokie budynki, z pewnością byłoby w stanie je dostrzec z uwagi na krzywiznę podłoża.

Dwupasmowe drogi łączyły ze sobą osiedla i farmy. Orme i Bronski nie widzieli żadnych ciężarówek, za to sporo zaprzężonych w konie wozów załadowanych produktami rolnymi.

Blisko jeziora znajdował się niski, parterowy budynek, do którego o godzinie 8.00 wchodziły rzesze ludzi. Po południu wychodzili, aby urządzić piknik w parku lub popływać w jeziorze. Godzinę później wracali do budynku, a o 14.00 opuszczali go ostatecznie. Większość z nich mieszkała w domach położonych w promieniu półtora kilometra, inni jednak przemieszczali się na rowerach lub konno do bardziej odległych miejsc.

Bronski sądził, że w tym budynku może się mieścić siedziba rządu.

- Nie sposób powiedzieć, ile pięter kryje się pod ziemią.

Naprzeciwko tej budowli, po drugiej stronie jeziora, znajdowało się coś, co było zapewne miasteczkiem akademickim. Inne domy - sądząc po liczbie osób odwiedzających je podczas szabatu - musiały być miejscami kultu.

Wszystkie budynki posiadały dachy. Orme zastanawiał się, po co, skoro cała jaskinia z pewnością była klimatyzowana. Czwartego dnia poznał odpowiedź. Przez pół godziny ze sklepienia grotu padał deszcz.

- To dlatego na farmach nie ma systemów irygacyjnych.

Więźniowie zjedli swój południowy posiłek, ustawili brudne naczynia na tacy i wysunęli przez otwór w ścianie. W chwilę później ujrzeli Marsjan zbliżających się dwoma pojazdami, które rychło zniknęły pod nawisem. Niedługo potem ujrzeli głowy pasażerów pierwszego z nich. Tuż obok więzienia przebiegała droga prowadząca pod górę, ale Marsjanie najwyraźniej woleli poruszać się piechotą, gdy tylko było to możliwe.

Jak dotąd Orme i Bronski nie mogli się uskarżać na złe traktowanie. Przebadano ich dokładnie pod każdym względem, a następnie przesłuchano. Byli przetrzymywani w zadowalających warunkach, dobrze karmieni i nie niepokoiono ich zbyt często.

Szóstka Marsjan zatrzymała się, czekając, aż przednia ściana pokoju, wykonana z niełukającego się szkła, skryje się w szczelinie nad ich głowami. Orme wiedział, że przezroczystego materiału nie sposób stłuc, ponieważ próbował tego dokonać przy pomocy kilku krzesel, własnej obutej nogi oraz ciężkiej wazy z brązu.

Trzech spośród przybyszów należało niewątpliwie do gatunku *homo sapiens*. Byli

bardzo wysocy, dobrze zbudowani i ubrani w powłóczyste szaty. Dwaj byli ciemnoskórzy i mieli długie ciemne włosy i brody. Trzeci był przedstawicielem białej rasy, miał ciemnoniebieskie oczy, zaś brodę złocistobrazową. Wszyscy nosili długie kręcone pejsy.

Pozostałych trzech miało humanoidalne kształty, lecz mieszkańiec Ziemi mógł na pierwszy rzut oka rozpoznać, że pochodzą z innej planety. Mieli ponad dwa metry wzrostu, co nie było niczym nadzwyczajnym dla Ziemianina w roku 2015. Będąc tak wysokimi, mieli odpowiednio długie nogi i ramiona, a ponadto byli szczupli i bardzo sprawni fizycznie, dzięki czemu mogliby kandydować do najlepszych drużyn koszykarskich na Ziemi. Posiadali po pięć palców, zakończonych długimi paznokciami, u rąk i u stóp. Pomijając twarze, niewiele różnili się od ludzi. Ich skóra była jasnobrazowa, oczy niemal fioletowe, a włosy miękkie jak puch. Jeden miał czuprynę blond, drugi w kolorze tycjanowskim, trzeci zaś czarną. Ich twarze były pozbawione zarostu. Ziemianie nie wiedzieli jeszcze, czy był to efekt starannego golenia, czy też po prostu nie wyrastał im takowy. Podobnie jak towarzyszący im ludzie, nosili długie kręcone pejsy. Mieli znacznie większe uszy aniżeli normalni ludzie, o małżowinach pełnych barokowych - z punktu widzenia Ziemianina - zawijasów. Ich potężne podbródki przypominały Orme'owi fotografie ludzi cierpiących na akromegalię. Nosi mieli również olbrzymie i wyraźnie zakrzywione, a nozdrza obwiedzione niebiesko-czarną linią. Wargi wyglądałyby jak ludzkie, gdyby nie ich czarnozielone zabarwienie. Poza tymi szczegółami bardzo przypominali *homo sapiens*, nawet kształtem uzębienia.

Wszyscy przybysze ubrani byli w jednoczęściowe szaty z cienkiego, zwiewnego materiału. Niektóre z nich pozbawione były rękawów, inne miały małe kołnierzyki lub też dekolty w kształcie litery V. Kolory były rozmaite: od głębokiej czerni, poprzez pomarańczowy i zielony, aż do różnobarwnych pasów. Większość okryć sięgała do kostek, lecz niektóre kończyły się tuż poniżej kolan. Jeden z mężczyzn miał na sobie płaszcz obszyty na obrzeżach ozdobnymi frędzlami. Na stopach mieli sandały lub koturny z odkrytymi palcami. Strój jedynej kobiety był bogato wyszywany. Wszyscy natomiast posiadali jakąś biżuterię, pierścienie, złote lub srebrne bransolety oraz kolczyki.

Nosili nakrycia głowy rozmaitych kształtów i rozmiarów. Jedno z nich wyglądało jak olbrzymi kapelusz kowbojski. Dwa inne przypominały trójgraniaste kapelusze z osiemnastego wieku - jeden przybrany był wielkim powiewającym piórem. Kobieta roztaczała wokół piżmową woń perfum. Miała niebieski cień na powiekach i żółtą obwódkę wokół prawego nozdrza.

Hfathon, najważniejszy spośród istot, które określały się mianem Krszów, wszedł do środka jako pierwszy. Tuż za nim, jak przystało drugiemu rangą, wszedł Jaakob bar Abbas, który był człowiekiem. Miał wielki orli nos, masywny kark i nadzwyczaj szerokie bary. Wyglądał na czterdzieści pięć ziemskich lat, jeżeli jednak to, co powiedział Bronskiemu, było prawdą, miał ich sto trzydzieści. Pozostałymi krajanami Hfathona byli Hmindron - mężczyzna, oraz Żkisz - kobieta. Ludzie nazywali się Jirmeja ben Jochanan i Szaul ben Hebhel.

Hfathon pozdrowił więźniów, unosząc prawą rękę do góry. Dwa palce dłoni wyciągnął na kształt litery V, a kciuk ułożył do nich pod kątem prostym. Uśmiechnął się, odsłaniając zęby, niebieskie od jakiegoś rodzaju gumy do żucia. Przemówił do Jaakoba, który następnie powiedział coś po grecku do Bronskiego. Orme zrozumiał z tego nie więcej niż jedno słowo. Bronski - poliglota - stwierdził, że ani aramejski, ani greka *koine* nie były tu w powszechnym użyciu, lecz uczeni zachowali je i władali nimi biegle. Bronski potrafił czytać w *koine* - grece Nowego Testamentu - z łatwością, nie miał jednak wprawy w mowie. Niemniej, gdy przestuchujący zwracali się do nich, mógł zrozumieć większość słów.

Wiele wyrazów zostało zapożyczonych z języka *krsz*, ponieważ w starożytnej grece brak było - z oczywistych względów - określeń na zaawansowane pojęcia naukowe i filozoficzne. Trzeba je było wyjaśnić Bronskiemu po grecku.

Orme był zadowolony, że istniał choć jeden język zrozumiały dla obu stron. W przeci-

wnym razie upłynęłoby wiele tygodni, zanim zdołaliby nawiązać jakiegokolwiek porozumienie z tymi, którzy ich wzięli. Danton i Shirazi też byli, w pewnym sensie, uwięzieni - na pokładzie statku. Jeśli w ciągu trzech tygodni nie otrzymają wiadomości od swoich towarzyszy, będą zmuszeni powrócić na Ziemię.

Tak przynajmniej sądził Orme. Marsjanie mogli równie dobrze wysłać na orbitę jeden ze swych statków lub skorzystać z ich ładownika, aby pojmać tych dwoje. Bronski pytał ich, czy tak uczynili, lecz jedyną odpowiedzią był uśmiech.

W trakcie przesłuchania Bronski tłumaczył Orme'owi niektóre z pytań.

Przez pierwsze dni byli oddzieleni od przesłuchujących przezroczystą ścianą. Tym razem jednak Marsjanie weszli do środka. Oznaczało to, iż wszystkie przeprowadzone testy wykazały, że Ziemianie są zdrowi. Przynajmniej na ciele. Z tego, co mówił Bronski, wynikało, że Marsjanie nie są pewni ich zdrowia psychicznego, czy też raczej: statusu teologicznego.

- A więc na Ziemi Iesus ho Christos jest czczony jako Syn Miłosiernego? I on sam również jest Miłosierny? Czy wszyscy podzielają tę wiarę, czy też istnieją dysydenci? - pytał Jaakob.

Patrząc w jego znużone oczy, Orme odniósł wrażenie, że wypowiedział on ostatnie zdania ze szczególną niechęcią.

Avram Bronski odrzekł:

- Jak już mówiłem, na Ziemi mieszka około czterech miliardów chrześcijan, dzielą się oni jednak na wiele odłamów różniących się co do tego, jaką naturę miał ho Christos. Ortodoksyjni chrześcijanie wierzą, że Iesus ho Christos został poczęty z woli Bożej przez dziewicę o imieniu Mariam. Ponadto sama Mariam została poczęta w sposób niepokalany, to znaczy, że jej matka poczęła ją bez grzechu. Tak więc, w pewnym sensie, jej matka była babką Boga.

Cała szóstka przesłuchujących wytrzeszczyła oczy. Wydali z siebie słowo, o którym nawet Orme mógł powiedzieć, że nie było greckie.

- Powinienem skonsultować się w tych sprawach z kapitanem Orme'em - rzekł Bronski. - Chociaż czytałem wiele na temat chrześcijaństwa, nie jestem chrześcijaninem, lecz Żydem. Kapitan jest chrześcijaninem, należy do sekty zwanej baptystami. To pobożny człowiek i ma znacznie większe niż ja przygotowanie do rozmowy o dogmatach wiary.

Francuz przetłumaczył Orme'owi swoją wypowiedź.

- To nieprawda - sprzeciwił się tamten. - Powiedz im, że wiesz dużo więcej na temat religioznawstwa porównawczego ode mnie. Jeśli będziesz miał jakieś wątpliwości w sprawie baptystów, mogę cię wesprzeć.

Jaakob przemówił po grecku z prędkością karabinu maszynowego. Bronski poprosił go, aby mówił wolniej. Tamten powiedział to samo jeszcze raz.

- Kapitanie, on mnie zapytał, jak mogę uważać się za Żyda, skoro nie wierzę, że Iesus był Mesjaszem. Powiedział też, że Żyd nie byłby ogolony, lecz nosiłby brodę i pejsy - relacjonował Bronski. Orme był zniecierpliwiony i zmieszany.

- Powiedz mu, że później podyskutujemy na tematy religijne. Teraz mamy ważniejszą sprawę na głowie. Do diabła, nie wiemy nawet, skąd pochodzą Hfathon i jego współplemieńcy! A choćby tego, skąd wzięli się ludzie?! Musimy też porozumieć się z Danton i Shirazim!

- To rzeczywiście ważne, ale tylko dla nas - stwierdził Bronski. - Obawiam się jednak, że dla nich najistotniejsze są kwestie religijne. Zrozum, że nie mogę ich zmusić do rozmowy o tym, co nas interesuje.

Bronski wyglądał na równie zakłopotanego jak Orme.

Murzyn wznosił ręce do góry.

- Kto by uwierzył w coś takiego.

Tym razem odezwał się Hfathon. Bronski przetłumaczył:

- Chce wiedzieć, co się stało temu brązowemu człowiekowi.

- Wyjaśnij, że jestem czarny, a nie brązowy.

Hfathon znów zatrajkotał zapominając się. Pozostali roześmieli się.

- Zapytał, dlaczego osoba nie rozróżniająca kolorów została wybrana na dowódcę wyprawy kosmicznej.

- Wytłumacz mu, że „czarny” to określenie umowne. Jeśli masz kręcone włosy, wywinęte wargi i ciemnobrązową skórę, jesteś czarny. To jest... hmm... kwestia semantyczna. A nawet polityczna. Możesz mieć proste włosy, niebieskie oczy i wąskie wargi i mimo to być czarnym. Ech, do diabła z tym! - zakończył i uczynił niecierpliwy gest.

Oto byli tutaj - pierwsi ludzie na Marsie (jak im się zdawało) - i tracili czas na dyskusje o religii i semantyce.

- Myślę, że tego nie przetłumaczę - oznajmił Bronski. - I tak mamy już niezłe zamieszanie bez zagłębiania się w tego typu kwestie.

Hfathon odezwał się ponownie.

- Mówi, że jego skóra jest tego samego koloru, co twoja, a on jest z całą pewnością brązowy - przetłumaczył Bronski.

Jaakob przemówił ostrym tonem, jakby zdał sobie sprawę, że przesłuchanie zeszło na boczny tor. Bronski udzielił odpowiedzi na następne pytanie:

- Wyjaśnienie, dlaczego uważani się za Żyda, zajęłoby jeszcze więcej czasu i było równie skomplikowane jak wyjaśnienie, dlaczego Orme jest czarny. Czy nie możemy przejść do pilniejszych spraw? Czy nie powiecie nam niczego o sobie? Gdy tylko zrozumiecie, skąd się tu wzięliście i dlaczego wciąż tu przebywacie - podczas gdy wydaje się, przynajmniej mnie, że moglibyście opuścić tę planetę - będziemy mogli wrócić do pierwotnych tematów tego przesłuchania. Zorientujemy się wówczas, dlaczego jesteście tak zainteresowani naszą teologią. Czy raczej teologiami, gdyż na Ziemi istnieje ich wiele, być może nawet tysiące.

Sześciu Marsjan naradziło się ze sobą w języku, którym Hfathon określił jako język *krsz*. Gdy skończyli, Jaakob przemówił po grecku:

- Masz prawdopodobnie rację. Wybacz nam tę, twoim zdaniem, nadmierną dociekliwość w niektórych kwestiach. Dla nas nie jest ona nadmierna. W gruncie rzeczy jest to jedyna sprawa, do której w naszym świecie przywiązuje się jakąś wagę. Jeśli jednak mamy do czegoś dojść, musimy zacząć od rzeczy prostych i potem przejść do bardziej skomplikowanych, tak abyśmy mogli zrozumieć się nawzajem. Mam jednak kilka pytań, na które chciałbym uzyskać odpowiedź, zanim zaczniemy wzajemną edukację. Nawet jeśli wydadzą ci się one nieistotne. Na przykład: skoro ten czarny człowiek jest uczniem Chrystusa i w związku z tym Żydem, to dlaczego nie jest Żydem? Czy goj mógłby być obrzezany?

- Na Ziemi od dawna istniał zwyczaj obrzezania niemowląt płci męskiej - odrzekł Bronski. - Nie z powodów religijnych, lecz dla higieny. Oczywiście, religia muzułmańska, która po części wywodzi się z żydowskiej, od swoich wiernych wymaga obrzezania. Ale starożytni Egipcjanie, którzy trzymali naszych przodków w niewoli, stosowali ten zabieg.

Jaakob spojrzął na niego bezradnie, po czym powiedział:

- Muzułmańska? Masz rację. Każde pytanie wywołuje tylko sto następnych. Zadamy jednak jeszcze jedno.

Wskazał gestem na jasnowłosego Szaula, który otworzył skrzynkę i wyjął z niej kilka racji żywnościowych pochodzących z ładownika. A więc Marsjanie weszli do wnętrza statku. Danton i Shirazi musieli to ujrzeć, podobnie jak cała Ziemia. Mógł sobie wyobrazić ich konsternację, zdziwienie i frustrację. Być może próbowali oboje porozumieć się z intruzami, nie mogli jednak, rzecz jasna, wiedzieć, że tamci władają jedynie nowotestamentową greką. Zresztą nawet gdyby to wiedzieli, i tak niewiele by im to dało, ponieważ żadne z nich jej nie znało.

Szaul ujął konserwę mięsną w dłoń odzianą w rękawiczkę. Wieko było zdjęte.

- Co to za mięso? - zapytał Szaul poważnym tonem.

- Szynka - odrzekł Bronski.

Szaul upuścił z niesmakiem puszkę na stół.

- Przynajmniej powiedziałaś prawdę.

Bronski domyślił się, że mięso poddano analizie. Reakcja Szaula nie zaskoczyła go.

- No i co z tego? - zapytał Orme, gdy Bronski przetłumaczył rozmowę.

- Ci Marsjanie są ortodoksyjnymi Żydami - odparł Francuz.

#### 4.

Kwadrans przed „południem” piątka przesłuchujących opuściła apartament. Szaul wyszedł wcześniej, natychmiast po upewnieniu się, że puszka zawiera nieczyste mięso. Mimo że nie dotknął szynki gołymi rękoma, być może będzie musiał poddać się rytualnemu oczyszczeniu.

Tak jak zawsze, o 12.00 rozległy się syreny. Ludzie wylegli z budynków i stanęli na zewnątrz, spoglądając w górę na płonącą kulę. Po trzech minutach syreny umilkły. Po chwili z głośników popłynął hymn, szybko podjęty przez zebranych. Był on krótki, miał może piętnaście wierszy. Następnie tłum rozproszył się. Pracownicy biurowi udali się do domów lub ku stołom przygotowanym w parkach, gdzie jedli posiłek. Pozostali również poszli do domów.

Bronski pokręcił głową.

- To wygląda jak kult słońca. Czy raczej jego substytutu. To niemożliwe. Żaden Żyd nie mógłby otaczać kultem jakiegoś bożka.

- Dowiemy się tego we właściwym czasie - stwierdził Orme. Usiadł za stołem i zaczął kroić szynkę pozostawioną przez Szaula.

- Obserwuj cię - powiedział Bronski. - Myślę, że specjalnie zostawili tę szynkę, aby się przekonać, czy ją zjesz.

Orme przeżuwał mięso z zapalem!

- Człowieku, ale to dobre! Uwielbiam szynkę, bekon, kiełbasę i wszystko, co pochodzi od świni, łącznie z golonką i galaretką z nóżek.

- Masz na myśli racice.

- My mówimy na to nóżki.

Bronski wyglądał na poirytowanego.

- Myślę, że nie powinieneś tego jeść. To może mieć wpływ na ich stosunek do nas.

Orme zrobił zdziwioną minę.

- Dlaczego? Co ich obchodzi, co ja jem?

- Starożytni Hebrajczycy nie jadali przy jednym stole z gojami. Moi rodzice również nie.

Orme nadział na widelec następny kawał mięsa.

- To tak, jak w czasach mojego dziadka, kiedy biali nie chcieli jeść razem z czarnymi?

- Nie, to coś zupełnie innego. Goje jedli rytualnie nieczyste, zakazane pokarmy. Tak więc, żeby sami nie stali się nieczystymi, Hebrajczycy nie jedli razem z gojami. Mogli ulec skażeniu poprzez samą styczność z nimi.

- Ale uważali gojów za gorszych od siebie, prawda? Ostatecznie to nie goje byli narodem wybranym.

- Teoretycznie wcale tak nie było. Wszyscy ludzie byli równi w oczach Boga. W praktyce jednak, jak sądzę, Hebrajczycy nie byli w stanie uniknąć poczucia moralnej wyższości.

Seria krótkich gwizdów oznajmiła mi, że podano obiad.

Bronski wyjął z wnęki dwie tacki; jedną postawił na stole, a z drugą usiadł na krześle.

Orme uśmiechnął się do niego.

- A więc nie usiądziesz ze mną przy jednym stole?



- Robiłem to przez cały czas od chwili startu. Nawet kiedy jadłeś wieprzowinę. Nie traktuj tego lekko, Richard. Może cię to śmieszyć, ale dla tych ludzi to naprawdę bardzo poważna sprawa. Nie chcę ryzykować. Nie chcę zostać... hmmm... zbrukany. Jeden z nas musi być wiarygodny, to znaczy traktowany z pewnym respektem. Może nie zechcą mieć do czynienia z tobą, więc...

- Nie zapomnij tylko, że to ja jestem kapitanem.

- Dla mnie oczywiście jesteś. Dla nich... no cóż, nie jestem pewien. Jak dotąd jesteś co najwyżej więźniem, którego dieta po prostu ich oburza.

- Tak, ale ty również ich oburzyłeś, a przynajmniej wprawiłeś w zdumienie, ponieważ nie jesteś wyznawcą Iesousa ho Christosa, to znaczy, Jezusa Chrystusa. Jak mogą pogodzić judaizm z tym, co twierdzą o Jezusie?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, co się tu dzieje.

Orme zjadł chleb (masła nie było), fasolę, groch i jabłko. Bronski również skończył swój obiad: baraninę, sałatę, chleb i jabłko. Wypiwszy łyk wina, Bronski głośno cmoknął.

- Bardzo dobre.

Kapitan uśmiechnął się ponownie.

- Może udałoby się uzyskać wyłączność na sprzedaż marsjańskiego wina. Zgarnęlibyśmy za to na Ziemi kupę szmalu.

Wstał i udał się do toalety. Wkrótce po tym, jak uszu Bronskiego dobiegł odgłos spuszczonej wody, Orme powrócił.

- Obserwowałem ich dokładnie, ale nie zauważyłem, żeby robili czy mówili cokolwiek, aby otworzyć drzwi.

- Musi się to odbywać za pośrednictwem monitora - powiedział Francuz. - Co byś zrobił, gdybyś mógł się stąd wydostać.

- Zmiatałbym gdzie pieprz rośnie.

- Nic głupszego. Nie zwiąłbyś dalej niż na kilka kroków.

- Być może. Jednak spróbować nigdy nie zawadzi. A ty nie uciekłbyś ze mną?

- Nie, chyba żebyś mi rozkazał - odrzekł Bronski. - A i wtedy bym protestował. Nic nie wskazuje na to, żeby Marsjanie mieli złe zamiary.

- Skąd ta pewność. Dopóki trzymają nas w więzieniu, naszym obowiązkiem jest próbować ucieczki.

Bronski gestem wyraził zniecierpliwienie.

- Muszą nas poddać kwarantannie. My zrobilibyśmy to samo, gdyby to oni wylądowali na Ziemi.

- Tak, ale sam słyszałeś, jak Hfathon mówił, iż badania potwierdziły, że jesteśmy zdrowi. Dlaczego więc nas nie wypuszczają?

- Nie sposób nauczyć się języka, mając status turysty.

- Wręcz przeciwnie - odrzekł Orme. - Nie znam lepszej metody od codziennych rozmów. Poza tym nawet nie zaczęli nam udzielać lekcji.

Po dziesięciu minutach musiał przyznać, że był w błędzie, przynajmniej co do intencji Marsjan. Niebawem pojawił się Hfathon.

Zaraz jak tylko wszedł, upewnił się, że puszka po szynce została usunięta.

Usiadł, trzymając w ręku pudełko zawierające wiele różnych przedmiotów, i wyjął z niego widelec o trzech bardzo długich zębach. Następnie bardzo powoli i wyraźnie powiedział:

- *Szneszdit.*

Bronski, poliglota, zdołał powtórzyć to słowo wyraźnie już za drugim razem.

Orme musiał próbować czterokrotnie i udało mu się dopiero wtedy, gdy Bronski powiedział mu, że *d* wymawia się, opierając czubek języka o górne dziąsła, a *t* - o podniebienie.

Nie wiedzieli jednak, że Hfathon powiedział „widelec”, „to jest widelec”, czy jeszcze

coś innego. Bronski poprosił Szaula, aby wyjaśnił im to po grecku. Spodziewał się, że nastąpią pewne trudności ponieważ - zgodnie z tym, co wiedział - greka *koine* nie miała słowa na określenie widelca. W pierwszym wieku naszej ery ten przyrząd nie został jeszcze wynaleziony.

Jaakob zaprotestował, twierdząc, że Bronski powinien się zwrócić do niego, a nie do Szaula. On, Jaakob, był najważniejszym przedstawicielem *homo sapiens* wśród obecnych, w związku z tym to on powinien był udzielić odpowiedzi.

Bronski uśmiechnął się i zwrócił się do Orme'a po angielsku:

- Kapitanie, niezależnie od tego, kim są ci Marsjanie, domagają się przestrzegania należnych im honorów. Mają takie samo poczucie hierarchii, jak wszyscy ludzie.

- Można oddalić Ziemianina od ojczystej planety, ale nie można go od niej uwolnić - westchnął Murzyn.

Jaakob zapytał Bronskiego, o czym rozmawiali. Francuz odrzekł, że przetłumaczył tylko Orme'owi, co zostało powiedziane. Jaakob odparł, iż nie sądzi, aby tak było. Obaj uśmiechali się, choć w tej wymianie zdań nie było nic zabawnego.

Bronski wzruszył ramionami.

Hfathon odezwał się gniewnie po grecku. Jeśli ciągle będzie się mu przerywać, lekcje nie będą mogły postępować zgodnie z planem. Od tej chwili, jeśli Bronski zechce poznać grecki odpowiednik jakiegoś słowa, ma jego zapytać o to. Zna ten język równie dobrze, jak każdy inny członek grupy.

- W takim razie cała reszta mogłaby wrócić na uniwersytet. Proszę nie zapominać, że jest to komitet, a nie jednostka wojskowa. Choć ty jesteś przewodniczącym, każdy członek ma prawo się odezwać, gdy przyjdzie mu na to ochota - wtrącił Jaakob.

- Albo jej - dodała kobieta, Żkisz.

Jaakob uśmiechnął się ironicznie.

Bronski przetłumaczył Orme'owi całą wymianę zdań.

- Nie ma wątpliwości, że to pracownicy naukowci.

- A zatem, co dokładnie znaczy *szneszdit*? — zapytał zniecierpliwiony kapitan.

- Po prostu „widelec”. W grece używają tego samego słowa, ale wymawia się je nieco inaczej.

- Nie mów mi, jak się to wymawia po grecku - powiedział Orme. - Na razie chcę się nauczyć języka *krsz*.

Od tej chwili lekcja posuwała się naprzód dość szybko, choć Bronski dwukrotnie próbował wydobyć informację, kiedy Marsjanie mają zamiar zwrócić im wolność. Hfathon odrzekł zdawkowo, że dowiedzą się we właściwym momencie.

Obaj marsonauci mieli znakomitą pamięć. Przez trzy godziny nauczyli się nazw dwudziestu przedmiotów oraz poszczególnych części ciała człowieka lub *krsza*. Opanowali także niektóre krótkie zwroty. Spośród czterech widelców znajdujących się na stole, ten, który leżał najbliżej, określało się *sznesz-am-dit*, a o położonym najdalej mówiło się - *sznesz-tu-dit*. Dwa widelce leżące obok nich nazywały się *sznesz-am-gr-dit*. I tak dalej.

Orme miał pewne trudności z wymówieniem zbitki spółgłoskowej *gr*, zwłaszcza że przy artykulacji *r* język miał zbliżać się do podniebienia. Zupełnie też nie mógł sobie dać rady z dwiema spółgłoskami wymawianymi gardłowo, co przypominało mu odgłos rozdieranego płótna.

- W języku arabskim istnieją bardzo podobne dźwięki - powiedział Bronski. - Prędzej czy później nauczysz się ich.

- Jeśli wcześniej nie zdechnę z bólu gardła. Zresztą i tak nie potrafię ich od siebie odróżnić.

- Twoje ucho musi się do nich przyzwyczaić.

Lekcja dobiegła końca. Orme był zmęczony i zlany potem. Pocieszał się jedynie tym, że

i Bronski wyglądał marnie.

Nauczyciele opuścili ich przed kolacją, jednakże w godzinę po posiłku przyszedli znowu. Orme wyłączył telewizor, w którym nadawano jakąś sztukę. Wyglądało to na marsjańską operę mydlaną, choć nie mógł być tego pewien. Niemniej w jej trakcie rozpoznał cztery zwroty, których nauczył się wcześniej. Wszelako próba powtórzenia ich na głos zakończyła się niepowodzeniem.

- Powiedz im, że mam już dosyć tych lekcji metodą Berlitz - mruknął.

Czekała ich jednak następna męcząca sesja, tym razem prowadzona całkowicie po grecku, z wyjątkiem tych momentów, gdy Bronski tłumaczył treść rozmowy Orme'owi. Rzucano w niej pytanie za pytaniem. Wszystkie dotyczyły historii Ziemi od 50. roku naszej ery. Raz po raz zasób greckich słów Bronskiego okazywał się niewystarczający. Od tamtych czasów pojawiło się przecież tak wiele nowych przedmiotów oraz społecznych czy psychologicznych zjawisk. Niekiedy Francuzowi udawało się wyjaśnić, o co mu chodzi, za pomocą szkicu bądź diagramu, które rysował na elektronicznym ekranie przyniesionym przez Szaula.

Hfathon często przerywał mu, mówiąc:

- Zostawmy to na później. To zbyt skomplikowane. Wszystko się nam pomiesza. Mów tylko o najważniejszych wydarzeniach z ziemskiej historii.

Aby to jednak zrobić, Bronski musiał wdawać się w szczegóły.

- Na razie doprowadziłeś nas do, jak to nazywasz, jedenastego wieku naszej ery. Jeżeli dobrze cię zrozumiałem, odpowiada to rokowi 4961 według rachuby hebrajskiej. Jutro postaramy się dojść do czasów współczesnych. Później będziemy musieli się cofnąć i zacząć od początku, żebyś mógł nam wyjaśnić wszystko to, czego nie da się zrozumieć bez znajomości szczegółów.

Usłyszawszy przetłumaczoną przez Francuza wypowiedź, Orme oświadczył:

- Powiedz mu, że umieramy z ciekawości. Chcemy się dowiedzieć czegoś o nich. Spytaj go, czy nie mogą nam zdradzić, skąd i w jakim celu przybyli na Marsa. A jeśli nie mogą, to dlaczego?

Hfathon odparł:

- Mamy powody, dla których postępujemy w ten sposób. Musicie okazać cierpliwość. Ostatecznie przybyliście tutaj bez zaproszenia, nie możecie się więc spodziewać, że potraktujemy was jak oczekiwanych gości. Niemniej nakazano nam, abyśmy miłowali obcych przebywających w naszym kraju, jak siebie samych, ponieważ sami ongiś byliśmy obcymi w Egipcie. Aby was uspokoić, powiem wam, że nie mamy żadnych złych zamiarów. Wszystko, co czynimy, czynimy w najlepszej wierze. *Szalom*, drodzy goście.

- Mówiłem ci, że nasi towarzysze nie mogą pozostawać na orbicie dłużej niż przez trzy tygodnie - odpowiedział Bronski. - Potem będą zmuszeni powrócić na Ziemię. Nasza sytuacja tutaj jest nie do przyjęcia! Przynajmniej z naszego punktu widzenia. Czy nie można... - przerwał.

Cała szóstka wyszła. Przezroczysta ściana zamknęła się za nimi.

Orme dopił resztę wina z butelki, którą przyniósł Szaul.

- Do diabła! Jestem wściekły! Nie wiem, czy obgryzać paznokcie, czy ugryźć któregoś z nich! Jak myślisz, Avram, co oni kombinują?

Bronski wzruszył ramionami. Na jego szczupłej twarzy o nieco orlich rysach malował się wyraz niepewności.

- Nie mam pojęcia. Jedyne, co możemy zrobić, to dostosować się do nich.

- Powiem ci jedno. Myślę, że te ich wszystkie pytania na temat historii to pic na wodę. Udają, że nie wiedzą o niczym, co wydarzyło się od roku pięćdziesiątego. Nie trzymali przecież cały ten czas głów w piasku. W każdym razie to mało prawdopodobne. Popatrz, jak bardzo są zaawansowani technicznie. Co im przeszkodziło zbudować następny statek i polecieć nim na Ziemię? A jeśli nawet z jakiegoś powodu tego nie zrobili, choć nie mam pojęcia

dlaczego, to przecież mogli, do cholery, odbierać przez te wszystkie lata emitowane przez nas fale. Logicznie myśląc, powinni to robić. Czy nie sądzisz, że wiedzą o nas znacznie więcej, niż próbują nam wmówić?

- To brzmi sensownie - odparł Bronski. - Może jednak mieli jakiś powód, aby nie słuchać naszych transmisji.

- Czy ludzie z Ziemi w podobnej sytuacji utrzymywaliby się celowo w ignorancji?

- Nie wiem. Ostatecznie połowa Marsjan pochodzi z Ziemi.

Orme milczał przez chwilę, spacerując w kółko po pokoju i wymachując rękami. Potrzebował ruchu. Czuł się w tym więzieniu, jak tygrys w klatce. Pompki i przysiady nie wystarczały. Potrzebował ćwiczeń fizycznych, które sprawiałyby mu przyjemność, jak tenis, koszykówka czy pływanie. Dla odmiany ascetycznie usposobiony Bronski mógł spędzić wiele dni po prostu siedząc lub leżąc. Dopóki miał coś, co zajmowało jego umysł, nie czuł się znudzony.

- Jak rozumiem - odezwał się nagle Orme - są tak zainteresowani wydarzeniami po roku 50 - jeśli rzecz jasna nas nie okłamują -ponieważ wiedzą, co działo się wcześniej. Oznacza to, że właśnie wtedy opuścili Ziemię i nigdy już na nią nie powrócili. A może powrócili, lecz nie wylądowali, ograniczając się do obserwacji z pokładu statku. I teraz nie rozumieją znaczenia wszystkich szczegółów, które dostrzegli. Mogą się tego dowiedzieć tylko od nas. Tak więc, aby wmówić nam, że nie znają późniejszych dziejów, kazali nam opowiadać całą historię Ziemi. W ten sposób mogą od nas uzyskać interesujące ich informacje.

- Nie może być wątpliwości, że ludzie tutaj są potomkami tych, którzy zostali zabrani z Ziemi przez Krszów w pierwszym stuleciu naszej ery - odparł Bronski. - Reszta to tylko domysły. Jeśli jednak sprawia ci to przyjemność, możesz je sobie snuć.

Orme nie odpowiedział. Po kilku minutach Francuz ponownie włączył holograficzny telewizor. Nadawano coś, co wyglądało na dziennik. Orme wyraźnie się ożywił, ponieważ pokazywano tam sceny z miejsc innych niż grot, w której byli więźniami. Ujrzał relację z dwóch imprez rozgrywających się na otwartym powietrzu. Pierwszą był jakiś festiwal, a drugą wystawa bydła. Orme zobaczył przy okazji parę pomniejszych jaskiń - wejścia do nich nie miały kształtu podkowy, a poza tym oświetlało je wiele małych kuł zwisających ze sklepienia. Następna scena ukazywała wielki tunel, niewątpliwie łączący ze sobą dwie jaskinie. Jakiś człowiek tratowany był przez konia. Choć Orme nie rozumiał słów spikera, bez problemu pojął, co zaszło.

- Jeden obraz wart jest dziesięciu tysięcy słów - mruknął.

- Słucham? - zapytał Bronski.

Kapitan zaczął powtarzać swoją wypowiedź, lecz niemal natychmiast przerwał.

- Hej, to my!

Pokazywano ich w towarzystwie sześciu przesłuchujących.

Następnie obraz zmienił się raptownie. Spiker - otyły stary Krsz o lekko ogorzałej twarzy - powiedział kilka słów.

Pojawił się kolejny obraz. Obaj mężczyźni zerwali się z krzeseł. Na ekranie, z pojazdu takiego samego, jak ten, który przewiózł ich samych z korytarza do więzienia, wysiadali Madeleine Danton i Nadir Shirazi. Mieli na głowach hełmy, więc ich twarze były niewidoczne; to jednak musieli być oni.

Orme jęknął.

- A więc dostali ich! W jaki sposób?

## 5.

Orme i Bronski spodziewali się, że ich towarzysze zostaną ulokowani razem z nimi. Po zastanowieniu się zdali sobie jednak sprawę z tego, że Shirazi i Danton będą musieli zostać poddani kwarantannie i umieszczeni gdzie indziej. Gdy rankiem ponownie pojawili się przesłuchujący, Bronski zakomunikował im, że widział w telewizji scenę pojmania dwojga pozostałych członków ekspedycji.

- Zgadza się - odrzekł Hfathon.

Szaul otworzył skrzynkę i wyjął z niej kolejny zestaw przedmiotów. Bronski poczerwieniał na twarzy, a Orme warknął.

- Czy coś was niepokoi? - odrzekł Hfathon.

- Chyba nie macie zamiaru przejść nad tym do porządku dziennego i po prostu kontynuować lekcje, nie zaspokajając naszej ciekawości?! - oburzył się Bronski. - Czy nie możecie zdobyć się na odrobinę współczucia i zrozumienia? Czy nie jesteście ludźmi? Musicie zdawać sobie sprawę z tego, że rozsądza nas ciekawość i troska o los naszych kolegów. Chcemy wiedzieć, czy nic im nie jest? W jaki sposób ich witaliście? Co zamierzacie z nimi zrobić?

Pociągnęła, szczypta twarzy Hfathona pozostała bez wyrazu.

- Nie, nie jestem człowiekiem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Rozumiem jednak, co masz na myśli. Wiem, co czujesz. Na twoim miejscu też bym się niecierpliwił. Niemniej nasz komitet otrzymał dyspozycje od Rady, aby nic wam nie mówić. Nie wiem dlaczego, prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa. Rada powie wam sama we właściwym momencie, dlaczego zastosowano te restrykcje.

- Na miłość boską - odrzekł Bronski. - Czy nie możecie nam zupełnie nic powiedzieć?

- Kazano nam nauczyć was języka tak szybko, jak to możliwe. Rada najwyraźniej sądzi, że czas ma zasadnicze znaczenie. Weźmy się więc do roboty.

Orme, gdy Bronski mu to przetłumaczył, przygryzł dolną wargę i powiedział:

- Avram, powtórz tym hienom, że odmawiamy wszelkiej współpracy, póki nie powiedzą nam, co się wydarzyło. Gęba na kłódkę.

Bronski powtórzył to po grecku. Cała szóstka spojrzała na niego poważnie, lecz jedynie Hfathon wystąpił z repliką.

- Mamy środki, aby zmusić was do współpracy, jednakże użycie ich byłoby niehumanitarne. A więc zgoda. Wasi towarzysze są zdrowi i nic im się nie stało. Przebywają w pomieszczeniu podobnym do waszego, niedaleko stąd. Kobieta nie rozumie żadnego ze znanych nam języków, ale mężczyzna zna trochę hebrajski. Nie jest to język identyczny z tym, jakim posługujemy się w naszej liturgii, lecz wystarczająco podobny, żeby się porozumieć, choćby w ograniczonym zakresie. Powiedziano mu o was.

- Zapytaj go, w jaki sposób zabrano ich z *Ariesa* - odezwał się Orme.

Bronski powtórzył słowa Hfathona, który wyjaśnił, że ładownik został zbadany przez grupę uczonych Krszów. Po ustaleniu zasad jego działania, dwóch z nich poleciało na statek. Wpuszczono ich na pokład. Gdy dwoje Ziemiaków odmówiło opuszczenia *Ariesa*, użyto przeciwko nim środki obezwładniające.

- Czy możesz sobie wyobrazić przerażenie, jakie zapanowało na Ziemi, gdy ujrzano tam tę scenę? - powiedział Orme.

- Czy nie przyszło wam do głowy, że może to zostać potraktowane jako wrogi akt? Chciecie wywołać wojnę? - uzupełnił Bronski.

- Wojna nie będzie potrzebna - odparł Jaakob. - Zrobiliśmy to dla waszego dobra. W odpowiednim czasie zostanie to w sposób zadowalający wyjaśnione ludziom na Ziemi. Teraz przystąpmy do zajęć.

Szybkie tempo lekcji pozostawiało niewiele czasu na myślenie o czymkolwiek innym.

Niemniej Orme nie mógł się powstrzymać, aby od czasu do czasu nie zadumać się nad reakcją ludzi na Ziemi. Jak rządy państw Konfederacji Północnoamerykańskiej ustosunkują się do sprawy uprowadzenia ich obywateli? A co z innymi państwami, członkami IASA, które pokryły część kosztów ekspedycji?

Nagle Jaakob upomniał go ostrym głosem, nakazując skupienie. Orme spojrzał na niego spoде łba; postanowił jednak unikać kolejnych zadrażnień z Marsjanami. Od tej chwili często przyoblekał twarz w uśmiech, rzecz jasna, cokolwiek wymuszony. Nawet rozbawił paru z nich, układając kalambur w języku *krsz*. Zwłaszcza Szaulowi spodobała się ta gra słów. Orme upatrzył sobie tego jasnowłosego mężczyznę jako osobę, którą należy zacząć urabiać. Liczył, że przyda mu się to w przyszłości. Szaul wydawał się bardziej otwarty i sympatyczny od pozostałych. Gdyby udało się wyciągnąć z niego więcej, niż było mu wolno powiedzieć... kto wie, może w tym tkwił klucz do ich ucieczki.

Choć dotarcie do ładownika zakrawało na cud Orme nie zamierzał się poddawać. Gdyby łatwo się zniechęcał, nigdy nie zostałby czołowym astronautą Konfederacji Północnoamerykańskiej.

Podczas przerwy na kolację włączył telewizor. W samym środku programu o osiągnięciach medycyny obraz znikł. Wkrótce na ekranie pojawił się siedzący przy biurku Hfathon. Za jego plecami znajdowała się ściana pokryta jasnymi abstrakcyjnymi wzorami. Przemawiał do nich przez minutę po grecku. Bronski uśmiechnął się:

- Pozwolą nam porozmawiać z Madeleine i Nadirem - przetłumaczył.

Hfathon zniknął. Ujrzeni za to swoich towarzyszy. Siedzieli na krzesłach, wpatrując się w nich.

- Hej! - zawołał Orme. - Nic wam nie jest?

Przez kilka następnych sekund cała czwórka mówiła jednocześnie, przekrzykując się wzajemnie, zanim Orme wreszcie położył temu kres.

- Nie wiemy, jak długo pozwolą nam rozmawiać, lepiej więc zajmijmy się ważnymi sprawami. Powiedzcie, czy nadajnik był włączony w chwili, gdy was porwano.

Danton i Shirazi zaczęli mówić równocześnie. Orme gwizdnął.

- Ty pierwszy, Nadir. Jesteś starszy stopniem.

- IASA widziała wszystko od chwili, gdy Marsjanie pokazali się w tunelu. Przynajmniej tak mi się zdaje. Wiem, że odebrali wszystko aż do momentu, gdy wpuściliśmy tych dwóch facetów na pokład. Możliwe, że wówczas transmisja została zakłócona.

- Skoro widzieliście, że przejeźli ładownik, dlaczego zdecydowaliście się wpuścić ich na pokład, zamiast wiać *Ariesem* prosto na Ziemię?

- To była trudna decyzja. Gdybyśmy dali nogę, byłoby to równoznaczne z porzuceniem was. Nie mieliśmy pojęcia, jak was traktują, dobrze czy źle. Wydawało nam się jednak, że gdyby Marsjanie byli nastawieni przyjaźnie, to pozwoliliby wam powiadomić nas o wszystkim. Nawiązaliśmy kontakt radiowy z dwójką Marsjan, gdy tylko weszli do ładownika, lecz odpowiedzieli nam w absolutnie niezrozumiałym języku. Przekazaliśmy, rzecz jasna, wszystko do centrali i, nawet biorąc pod uwagę opóźnienie, Carter miał dostatecznie dużo czasu na podjęcie decyzji. Oświadczył, że nie ma innego sposobu na ustalenie, czy osoby w ładowniku są wrogo nastawione, jak wpuszczenie ich na pokład *Ariesa*; jeśli ich zamiary są przyjazne, a odmówimy im prawa wstępu, to mogą uznać to za akt wrogości. Poza tym, *de facto*, oznaczałoby to utratę wszelkich szans kontaktu z wami. Z drugiej zaś strony Carter nie chciał wydawać rozkazu, który mógłby narazić nas na niebezpieczeństwo. W rezultacie pozostawił decyzję nam.

- I w ten sposób - dodała Madeleine - uchylił się od odpowiedzialności. Jest dobrym organizatorem, ale myśli przede wszystkim o własnej karierze.

Shirazi uśmiechnął się.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdyby kazał nam zwiewać. Nie miałem na to najmniejszej

ochoty. Po pierwsze, musiałbym zostawić was na pastwę losu. A po drugie, dopiero po upływie trzech lat można by wysłać następny statek. Głównym czynnikiem była jednak ciekawość. Nie mogłem znieść myśli, że nie będę wiedział, co się z wami stało i co to wszystko oznacza.

- Nie masz chyba złudzeń - oświadczyła Danton - że stanowczo bym zaprotestowała, gdybyś zdecydował się wracać.

- Czy Carter wspomniał coś o wyprawie ratunkowej? - spytał Orme.

- Tak. Przysięgał, że następny statek wyruszy tak szybko, jak to będzie możliwe. Oczywiście zastrzegł się, że nie może nic gwarantować... Jeśli zabraknie środków...

- Wyobraź sobie, co się w tej chwili dzieje na Ziemi? Możesz być pewien, że znajdują pieniądze! - Orme zrobił krótką pauzę, po czym dodał: - No dobrze. Teraz posłuchajcie, co nam się przytrafiło.

Gdy skończył, przez chwilę panowała cisza. W końcu Shirazi zapytał:

- A więc wszyscy są Żydami? Nawet Krsze?

- Tak jest - odparł Bronski.

- Ale wspominali też o Iesusie ho Christosie, czyli o Jezusie Chrystusie. Twierdzili więc, przynajmniej pośrednio, że są również chrześcijanami?

Szkot pochodzenia irańskiego pobrał.

„Nic dziwnego - pomyślał Orme - jest muzułmaninem. Może niedostatecznie ortodoksyjnym dla bardziej religijnych spośród swoich rodaków, lecz wychowanym przez pobożnych rodziców. Jest przekonany, że Mahomet był ostatnim i największym z proroków, nawet jeśli nie traktuje dosłownie wszystkiego, co napisano w Koranie, świętej księdze islamu.

Jeśli jednak Shirazi przeżył szok, to przecież podobnie było z Orme'em, jedynym z czwórki, który uważał się za chrześcijanina. Bronski, choć nie był ortodoksyjnym Żydem, również był zbity z tropu.

A co z Danton, która - mimo że wychowana w praktykującej rodzinie katolickiej - była teraz ateistką? Siedziała spokojnie z nogami wyciągniętymi przed siebie i rękami skrzyżowanymi na podołku. Jej szerokie stopy z nazbyt grubymi kostkami wystawały spod ciemnobrązowej szaty, którą dali jej Marsjanie. Strój ten przysłał jej obfite biodra i bardzo wąską talię, nie mógł jednak ukryć nadzwyczaj wydatnych piersi. Również jej twarz przykuwała uwagę; szeroka, o wydatnych kościach policzkowych oraz szerokich ustach i przepaścistych oczach. Nos był może nieco zbyt długi i trochę krzywy, lecz raczej dodawał jej twarzy wyrazu, zamiast ją szpecić. Madeleine była już dwukrotnie zamężna. Jej współpracownicy twierdzili, że jest prawdziwą jędzą. Jednakże osiągnięcia w biochemii, która była jej specjalnością, oraz ogólne predyspozycje psychiczne uczyniły z niej jedną z czworga najpoważniejszych kandydatów do załogi Ariesa. Podczas ćwiczeń oraz długiego lotu zachowywała się bez zarzutu. Nie miała konfliktowej osobowości i odnosiła się do wszystkich z sympatią, dopóki nie poruszano tematu religii. Wtedy nabierała wody w usta, choć było widoczne, że ma ochotę się spierać i w innych okolicznościach nic by jej nie powstrzymało.

Być może wyglądała tak... pogodnie, ponieważ właśnie tutaj natrafiła w końcu na dowód, że założyciel religii, w której została ochrzczona, był jedynie człowiekiem. Nie ulegało wątpliwości, że ludzie zostali sprowadzeni tu przez Krszów około roku pięćdziesiątego naszej ery. Było równie oczywiste, że niektórzy z nich znali Jezusa osobiście.

Tak przynajmniej wydawało się Orme'owi. Mogły się tu zachować świadectwa, pisemne relacje świadków, a być może nawet sfilmowane wywiady z tymi, którzy osobiście znali Jezusa.

Serce biło mu szybko. Był podekscytowany.

Nagle na ekranie, ponad dwójką Ziemi, pojawił się znacznie pomniejszony wizerunek Hfathona, który powiedział coś do Bronskiego i zniknął.

- Przerwywają transmisję - oznajmił Francuz. - Dobranoc. Być może spotkamy się wkró-

tce.

Ekran zgasł. Przez długą chwilę obaj milczeli.

- Zastanawiam się - odezwał się powoli Bronski - dlaczego Marsjanie pozwalają na przedstawienie ludzi i zwierząt na ekranie, a zabraniają tego w swoim malarstwie. Teoretycznie Prawo Mojżeszowe powinno dotyczyć również telewizji. Być może jednak oni nie są aż tak bardzo ortodoksyjni, jak sądziłem.

Omie był lekko poirytowany.

- Na Boga, Avram! Dlaczego zaprzątasz sobie umysł takimi duperelami?! Mamy poważne kłopoty. Istotne kwestie do rozstrzygnięcia. Kogo obchodzą podobne bzdety?

Bronski wzruszył ramionami.

- Nad czym niby mam się zastanawiać? Nie mamy nic do roboty, nie licząc zajęć, które organizują nam nasi... hm... gospodarze. Zresztą, te sprawy mnie interesują.

- Tak? Mnie też, kiedy mam na to czas.

Bronski rozejrzał się wokół i, najwyraźniej rozbawiony, zrobił głupią minę. Orme wybuchnął śmiechem.

- Rozumiem. Cóż innego mamy oprócz czasu? W takim razie zapytam cię o parę rzeczy. Czy ortodoksyjni Żydzi oglądają telewizję?

- W Izraelu istnieje ultraortodoksyjna grupa, zwana Neturai Karta, której członkowie nie oglądają telewizji. Nie wolno im posiadać odbiorników. Oczywiście radia też nie słuchają. Twierdzą, że są jedynymi prawdziwymi Żydami, jacy pozostali na świecie. Nie chcą nawet uznać państwa Izrael. Są jednak na wymarciu, a ortodoksyjni Żydzi patrzą na nich z przerażeniem lub raczej z litością. Tak, ortodoksyjni Żydzi oglądają telewizję, choć wyłączają ją w szabat. Niewykluczone, że marsjańscy starozakonni mogliby być odpowiednikami Neturai Karta, ale to raczej wątpliwe.

- Oni przebywają tu już od dwóch tysięcy lat - powiedział Orme. - Z pewnością zmienili się w przeciągu tego czasu. Nawet ci twoi superortodoksyjni Żydzi nie kamienują już kobiet przyłapanych na cudzołóstwie ani nie wyłupiają człowiekowi oka za to, że kogoś osłepił.

- To zrozumiałe. Prawa Mojżeszowego przestrzegano ściśle, gdy Hebrajczycy byli plemieniem koczowniczym, tak jak Beduini. Było ono po barbarzyńsku surowe, lecz konieczne, aby zachować porządek i utrzymać wiarę. Choć dziś wydaje ci się okrutne, było łagodniejsze od praw innych ludów w tamtej epoce. Gdy zaś Hebrajczycy osiedlili się w Palestynie i ucywilizowali, to stopniowo złagodzili swe prawa, dostosowując je do czasów i okoliczności. Na sto lat przed narodzeniem Jezusa ukamienowanie, jako kara za cudzołóstwo, zostało porzucone.

- Ale Ewangelia według św. Jana mówi, że gdy Jezus był w świątyni, uczeni w Piśmie i faryzeusze przyprowadzili do niego kobietę przyłapaną na cudzołóstwie. Stwierdzili, że zgodnie z Prawem Mojżesza takie kobiety powinny być kamienowane i spytali go, co sądzi na ten temat. Chcieli znaleźć pretekst, aby go oskarżyć. Czy sądzisz, że ta historia jest nieprawdziwa?

- Może być prawdziwa - odpowiedział Bronski - ale z pewnością nie miała miejsca w Jerozolimie. Ten incydent prawdopodobnie wydarzył się w Galilei, której mieszkańcy byli bardziej konserwatywni w sprawach religii - przynajmniej pod pewnymi względami - i nadal kamienowali cudzołożnice, ukrywając to przed władzami. Prawo jednak orzekało, że każda cudzołożnica ma być przywieziona na sąd do Jerozolimy. Tam musiała tylko poddać się próbie gorzkiej wody i w przypadku niepowodzenia czekała ją kara - z pewnością jednak nie ukamienowanie ani żaden inny rodzaj śmierci. Prawdopodobnie karą był rozwód i powrót w hańbie do swojej rodziny. Tak czy inaczej marsjańscy Żydzi przez dwa tysiąclecia byli wolni od obcych wpływów, nie możesz więc od nich oczekiwać, żeby zmienili się tak bardzo, jak starozakonni na Ziemi.

- Wolni od obcych wpływów? - powątpiewał Orme. - Co ty chrzanisz! A Krsze? Są tak



obcy, jak to tylko możliwe. Nie są nawet ludźmi!

- W sensie fizjologicznym rzeczywiście nie. Mimo to, wnosząc z naszej krótkiej znajomości, powiedziałbym, że są bardzo do nas podobni.

Bronski usiadł na krześle i pochylił się w stronę Orme'a, splatając palce.

- Jest jednak pewna rzecz, której nie rozumiem. Dwa tysiące lat temu byli oni znacznie bardziej zaawansowani technicznie niż ludzie, których zabrali z Ziemi. Z pewnością nawet bardziej zaawansowani niż my teraz. To Krsze byli gatunkiem wyższym. Ludziom musieli się wydawać bogami lub przynajmniej aniołami. Szok kulturowy był zapewne potężny. Osłupienie - wprost niewypowiedziane. Wszelki przepływ powinien więc odbywać się w jedną stronę - od Krszów do ludzi. Ostatecznie co Ziemianie mieli im do zaoferowania? Wiemy, że język *krsz* jest w powszechnym użyciu zarówno wśród nich, jak i wśród ludzi. Greka i aramejski są znane, ale wyłącznie uczonym, zaś hebrajski jest przede wszystkim językiem liturgicznym. Tego należało oczekiwać.

Bronski z powrotem usiadł prosto, lecz wciąż zaciskał nerwowo dłoń.

- Można by się także spodziewać - kontynuował - że religia istot niższych - nie krzywi się, mówię „niższych” tylko w tym sensie, że ludzie byli mniej zaawansowani technicznie i posiadali mniejszą wiedzę - a więc istoty niższe powinny pod każdym względem ulec wpływom wyższych. Podobnie jak wszystkie prymitywne kultury, które albo zginęły, albo uległy daleko idącym przeobrażeniom na skutek zetknięcia się z zaawansowaną technicznie Cywilizacją Zachodnią. No, może niezupełnie, ponieważ Cywilizacje Wschodu również bywały przyczyną ucieczki, zagłady lub asymilacji mniej rozwiniętych społeczeństw. Ludzie Wschodu byli równie bezlitośni, chciwi i nietolerancyjni, jak mieszkańcy Zachodu...

- Nie prosiłem o wykład - przerwał Orme.

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć, że to ludzie powinni zostać całkowicie wchłonięci przez kulturę Krszów. Tak się jednak nie stało. Czemu? Czy dlatego, że Krsze mieli do czynienia z ortodoksyjnymi Żydami, którzy byli szczególnie oporni i niepodatni na wpływy, gdy w grę wchodziła ich religia? Przypuszczam, że to przypadek, iż Krsze zabrali ze sobą ludzi tego właśnie wyznania. Oczywiście, nie twierdzę, że Żydzi są jedyną społecznością, która uporczywie trwa przy swojej religii. Na przykład Parsowie... wyznawcy mazdaizmu...

- Znowu zaczynasz wykład, Avram. Posłuchaj, wiem, że to wszystko jest ciekawe, ale na razie wolałbym trzymać się zasadniczego wątku.

- W porządku. Z drugiej strony jednak, nawet jeśli Żydzi nie chcieli się nawrócić na religię Krszów - zakładając, że takowa istniała - dlaczego Krsze, którzy nie należą nawet do gatunku *homo sapiens* i wyprzedzali starozakonnych o całe tysiąclecia w nauce i Bóg wie czym jeszcze... dlaczego przyjęli judaizm?

- Chrześcijaństwo.

- Tego należy dopiero dowieść. Oni są Żydami, którzy uważają, że Jezus był Mesjaszem. Zatem nazwa „chrześcijaństwo” w takim sensie, w jakim jej używasz, nie może się do nich stosować. Tak przynajmniej sądzę. Jest jednak niewiarygodne, żeby Krsze nawrócili się na religię, która musiała się im wydawać nie lepsza, niż nam jakieś wierzenia z doby paleolitu. W gruncie rzeczy w ówczesnym judaizmie było wiele elementów wywodzących się wprost z tej epoki. Używanie krzemiennych noży do obrzezania, gdy dostępne było żelazo, tabu dietetyczne, które miały swe odpowiedniki w innych bardzo starych niepiśmiennych kulturach, a także...

Orme pokręcił głową.

- Powinieneś być zostać rabinem.

- Mój ojciec nim był.

- Jak więc wyjaśnisz nawrócenie się Krszów?

- Odpowiedź poznamy dopiero za jakiś czas.

Usłyszeli głos dobiegający z telewizora. Orme odwrócił się i ujrzał na ekranie twarz

Hfathona. Marsjanin powiedział coś do Avrama, który zrobił zdumioną minę.

Francuz dał szybką odpowiedź - jego greka stawiała się coraz lepsza - i zasepiona twarz Hfathona zniknęła.

- Zapytał mnie, czy Medeleine i Nadir są małżeństwem. Odparłem, że Nadir ma żonę, ale ona, Madeleine, nie ma męża. Wydawał się tym zmartwiony, ale nie powiedział dlaczego.

- Co ich to obchodzi?

Bronski wykrzywił wargi.

- Mógłbym snuć domysły, ale wolę się powstrzymać. - Pokręcił głową. - Nie, to wykluczone.

## 6.

Następnego dnia Orme zaatakował natychmiast, jak tylko nauczyciele weszli do pokoju.

- Co miało znaczyć wasze pytanie o Danton i Shiraziego?

Członkowie komitetu wyglądali na zaskoczonych. Ich więzień przemówił po grecku.

Hfathon odpowiedział w tym samym języku, lecz znajomość greki Orme'a nie sięgała już dalej. Był w stanie przyswoić sobie kilka słów, ale poza tym zdany był wciąż na Bronskiego. Chciał jednak zadać im to pytanie osobiście, aby podkreślić znaczenie, jakie przykłada do tego incydentu.

Krsz i Bronski wymienili kilka zdań. Następnie ten drugi powiedział po angielsku:

- Uważali, że Danton i Shirazi są małżeństwem, ponieważ przebywali na statku sam na sam. Zaobserwowano jednak, że pierwszej nocy w swym mieszkaniu spali w oddzielnych pokojach. Przyjęto założenie, że kobieta miała menstruację i przez to była nieczysta. Ale następnej nocy spali już razem i nie było żadnych oznak, aby Madeleine miała wcześniej krwawienie. Wysłano kobiety, aby ją przebadaly, i one potwierdziły, że w nocy miała stosunek. Próbowano przesłuchać ją za pośrednictwem mężczyzny, lecz jego hebrajski okazał się nader niedoskonały; Shirazi zdawał się nic nie rozumieć. Lub też, jak mówi Hfathon, celowo stwarzał pozory, że nie rozumie.

Tak czy inaczej Hfathon zwrócił się do nas ostatniej nocy, aby zasięgnąć informacji o nich. Odpowiedziałem mu zgodnie z prawdą, choć skłamałbym, gdybym odgadł, o co im chodzi. Ale to i tak nic by nie pomogło. W końcu odkryliby, jak jest w istocie.

Orme byłby wybuchnął śmiechem, gdyby z twarzy Bronskiego nie odczytał, że sytuacja jest rzeczywiście poważna.

- Madeleine i Nadir? Ależ oni nigdy nie okazywali sobie żadnego zainteresowania. Nie wierzę w to.

Bronski uczynił gest zniecierpliwienia.

- Czy po upływie tak długiego czasu nie odczuwasz pożądania? Gdybyś był uwięziony, przestraszony i samotny, czy nie zwróciłbyś się ku kobiecie? Albo, gdybyś był kobietą, ku mężczyźnie?

- Mógłbym to zrobić - odparł Orme - choć nigdy nie zdradziłem mojej żony, to jest, mojej byłej żony, a uwierz mi, że miałem mnóstwo okazji. Gdyby jednak ten przymusowy celibat potrwał dostatecznie długo, to myślę...

- Weź pod uwagę, że jesteś praktykującym chrześcijaninem. Zresztą to bez znaczenia, co zrobiłbyś ty czy ja.

- No tak, ale Madeleine? Nie jest brzydką kobietą, ale, doprawdy, ona... tak chłodna i pełna dystansu...

- Im dłużej wulkan drzemie, tym większe narasta w nim ciśnienie. Rzecz jednak w tym, że Prawo Mojżeszowe nadal występuje przeciw cudzołóstwu. Także tutaj.

- Upewnij się, co?

Bronski sformułował pytanie, wysłuchał odpowiedzi Hfathona, po czym zwrócił się do Orme'a:

- Jeśli Nadir wyrazi szczerzy żal, to znaczy okaże skruchę i obieca, że nie popełni już więcej tego grzechu, oraz jeśli żona mu wybaczy, to nie zostanie ukarany.

- Jak kara mu grozi?

- Sześć miesięcy ciężkich robót w kamieniołomach. I, być może, publiczne upokorzenie.

- A Madeleine?

- To samo. Jak na razie sprawa jest rozpatrywana przez sędziów. Istnieje szansa, że oboje nie zostaną ukarani, ponieważ jest to zdarzenie bez precedensu. Nigdy dotąd nie mieli tutaj do czynienia z przestępcami wywodzącymi się spośród gojów.

- Powiedz im, że postępują cholernie arogancko. Nie podlegamy ich prawom. Zgodnie z naszym ustawodawstwem tych dwoje nie popełniło żadnego przestępstwa!

Po chwili Bronski przetłumaczył odpowiedź Hfathona:

- On mówi, że nie mogą pozwolić nikomu, nawet cudzoziemcom, na łamanie prawa. Skoro ktoś tu przybył, musi podporządkować się miejscowej jurysdykcji. Dodał też, że Nadira przeniesiono do innego więzienia, aby uwolnić ich oboje od pokusy grzechu. Swoją drogą, Nadir będzie aż do wieczora uznany za nieczystego. Każdy mężczyzna, który miał ejakulację, jest nieczysty, aż do zmierzchu.

Orme wznosił do góry ręce.

- I co jeszcze?! Powiedz mu...

- Nie - przerwał Bronski. - Nic mu nie powiem. Jesteśmy całkowicie w ich mocy. Nie możemy ich do siebie zrazić.

Hfathon coś burknął.

- Mamy skończyć z tymi bzdurami i brać się do nauki - przetłumaczył Bronski.

- „Bzdury” to twoje określenie, czy jego?

- Uspokój się, Richard. Nic nie wskórasz, tracąc nerwy.

- Jeszcze ich nie straciłem, ale niewiele brakuje.

Gdy nadeszła przerwa obiadowa, Orme poprosił Bronskiego, aby zapytał Hfathona, kiedy ostatnio sąd rozpatrywał oskarżenie o cudzołóstwo.

- Mówi, że dwa lata temu.

Orme chrząknął.

- I ty twierdzisz, że oni są ludźmi?

Hfathon zakomunikował coś Bronskiemu i cała szóstka wyszła.

- Dziś nie będzie więcej lekcji. Mają teraz inne zajęcia, a wieczorem zaczyna się szabat. Jutro również do nas nie przyjdą.

Nadszedł „świt”, lecz ludzie nie wylegli z domów, by udać się do pracy. Nie było widać żadnej żywej istoty z wyjątkiem kilku majaczących w oddali zwierząt hodowlanych.

- Wszyscy siedzą w domach medytując i modląc się - oświadczył Bronski. - Potem skierują się do synagog, które muszą być położone niedaleko miejsca zamieszkania. Podróże dłuższe niż na pewną określoną odległość są podczas szabat zakazane. Ponadto wierni muszą w tym dniu poruszać się pieszo, nie wolno im jeździć konno ani korzystać z pojazdów.

Orme włączył telewizor, lecz nie pojawił się żaden obraz.

- Wygląda na to, że nie oglądają też telewizji. Hmm. Ciekawe, czy nas obserwują?

- Nie wiem. Jeśli przestrzegają Prawa naprawdę ściśle, to nie.

- Wiesz co - rzekł Orme - jeśli w szabat wszystko jest nieczynne, to w takim razie nie ma lepszego dnia na ucieczkę.

- Najpierw musisz znaleźć sposób na podniesienie tej ściany.

- Myślę, że podnosi się automatycznie lub też robi to ktoś z zewnątrz. Czy zauważyłeś,

że na chwilę przed tym, jak ściana podnosi się w górę, Jaakob chowa dłoń w fałdy szaty? Myślę, że ma w kieszeni aktywator.

- Jak zamierzasz mu go odebrać?

Orme nie odpowiedział. Wyobrażał sobie, jak dokonuje kradzieży kieszonkowej. Gdyby mógł podrzucić Jaakobowi jakiś przedmiot o podobnym kształcie, tak żeby Marsjanin nie zauważył braku urządzenia... Zamiana musiałaby nastąpić już po naciśnięciu przycisku przez tamtego. To ograniczało możliwości. Musieliby jakoś odwrócić uwagę Jaakoba, jak również pozostałych. Gdyby Bronski zgodził się mu w tym pomóc, można by tego dokonać.

Gdyby jednak okazało się, że włączenie urządzenia konieczne jest także celem opuszczenia ściany, Jaakob zorientowałby się natychmiast, że podrzucano mu falsyfikat. Przypuszczalnie tak to właśnie działało, chyba że ściana opadała w dół automatycznie po określonym czasie, bez potrzeby wysyłania następnego sygnału. Nie, to by było zbyt piękne. Choć ich strażnicy wychodzili zwykle natychmiast po tym, jak ściana się unosiła, pewnego razu zwlekali, rozmawiając jeszcze przez co najmniej półtorej minuty.

Jeśliby jednak, przy odrobinie szczęścia, ustalili, że pięciu pozostałych - lub przynajmniej jeden z nich - również ma aktywatory, mógłby wtedy sporządzić dwa falsyfikaty. Niemniej wówczas musiałby dokonać dwóch kradzieży, a poza tym trzeba dopilnować, by Orme opuścił ścianę w tym samym momencie, gdy Jaakob dotknie przycisku lub w jakiś inny sposób uruchomi aktywator.

W jaki sposób wykonać falsyfikaty? Nie miał noża ani materiału, z którego mógłby wystrugać imitację urządzenia. Poza tym obserwowano ich przez teleekran. To oznaczało, że musiałby się znaleźć poza zasięgiem monitorów w chwili, gdy będzie kradł urządzenia. Falsyfikaty również mógł wykonać jedynie w sypialni, gdzie prawdopodobnie kamer nie było.

Nawet jeśli udałoby mu się przeprowadzić ten skomplikowany plan, wciąż nie wiedziałby, co zrobić, czy raczej dokąd pójść w chwili, gdy zdoła wydostać się na wolność. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się tunel prowadzący do lądownika. Poza tym domyślał się, że wejście do niego jest pod strażą. Ci faceci nie byli głupi.

A co z szabatem? Czy strażnicy będą wtedy w domu? Być może. Ale nawet gdyby tak było, pozostaną jeszcze automatyczne urządzenia alarmowe. Biorąc pod uwagę wszystkie trudności, Orme musiał przyznać, że Bronski miał rację. Ucieczka wydawała się niemożliwa. Gdyby jednak zwolniono ich z więzienia, mieliby większe szanse, nawet pod strażą.

Bronski, który dotąd siedział cicho, nagle przerwał milczenie, a w oczach błysnęły mu iskierki radości.

- Mam!

- Co takiego?

- Musiałem policzyć. Dzisiaj również w Izraelu wypada szabat. Może to zbieg okoliczności, chociaż wątpię.

Bronski miał minę równie zadowoloną, jaką musiał mieć Mojżesz, gdy jego zausznicy donieśli mu, że Palestyna, kraj mlekiem i miodem płynący, czeka, by ją posiąść.

- To ciekawe - powiedział Orme. - Wolałbym jednak, żebyś skierował swój wielki intelekt na inne tory i wykombinował, jak się stąd wydostać.

- Byłoby to cenne ćwiczenie umysłowe, ale praktycznie bezużyteczne. Poza tym, prawdę mówiąc, Richard, nie sądzę, żebym to uczynił, nawet gdyby było to możliwe. Zbyt wielu rzeczy pragnę się dowiedzieć.

- A jeżeliby ci rozkazał?

- No cóż, jesteś kapitanem - odparł Bronski, wzruszając ramionami, po czym podszedł do przezroczystej ściany stanowiącej okno.

- Zbieraj się na uroczystość ku czci słońca.

Po zakończonym rytuale, wspólnej modlitwie, czy cokolwiek to było, tłum podzielił się na mniejsze grupy i w ten sposób wierni zaczęli wstępować do wielkiego gmachu usytuowa-

nego na szczycie niezbyt wysokiego kamiennego wzgórza. Wspinali się po dwunastu szerokich stopniach wykutych w skale.

- To synagoga - powiedział Bronski. - Ciekawe rozwiązanie architektoniczne. Bryła ma dwanaście boków. Dach pochyla się do wewnątrz, jakby zapraszała do środka światło słoneczne, po bokach zaś wznosi się ku górze. Zdobiące go rzeźby wyglądają na symboliczne wyobrażenie ludzkich dłoni. W każdym razie przywodzą mi na myśl ręce złożone do modlitwy.

Całą resztę dnia Bronski spędził przy oknie, jak strażnik, z tym że po jakimś czasie przystawił sobie krzesło, aby na nim przycupnąć. Nieustannie komentował głośno to, co widział. Orme od czasu do czasu również zbliżał się do okna. Wtedy mianowicie, gdy Bronski chciał mu pokazać coś ciekawego, jak na przykład dzieci bawiące się na podwórzu po południowym posiłku. Jednakże myśli Orme'a krążyły wciąż wokół zagadnienia ucieczki. Gdyby zdołali nocą opanować jeden z tych naziemnych pojazdów, mogliby nim błyskawicznie dotrzeć do miejsca, gdzie znajdowało się wejście do tunelu. Wszędzie można było dostrzec marsjańskie samochody. Obserwując odjazd sześciorga Marsjan z komitetu, zauważył, że nie używali oni kluczyków. Najwyraźniej nie obawiali się kradzieży.

Kolacja była szczególnie obfita i urozmaicona. Zjedli ze smakiem pieczeń wołową, pieczoną rybę, fasolę, sałatę, cebulę, sos oraz owoce. Zaskoczyły ich prażone kaczany kukurydzy, owinięte we własne liście.

- Kukurydza z pewnością nie wchodziła w skład diety starożytnych - powiedział Bronski. - Krsze musieli przed odlotem pobrać próbki roślin z obszaru całej Ziemi.

- Widać stąd pola pszenicy i jęczmienia - odrzekł Orme - ale nie kukurydzy. Muszą ją uprawiać w innych jaskiniach.

- Albo na polach leżących tak daleko, że nie widać ich stąd.

Następnego dnia była niedziela, czyli *jom szamasz*. Bronski oczekiwał, że będzie to dzień normalnych zajęć, jednakże, podobnie jak w szabat, nikt nie szedł do pracy, z wyjątkiem rolników, a i ci jedynie karmili bydło i drób. W synagodze odbywały się trzy nabożeństwa, lecz pomiędzy nimi dzieci bawiły się na podwórzach. Najdłużej trwała uroczystość południowa. Jak stwierdził Bronski, poprzednie nie przekraczały dziesięciu minut. Ta ciągnęła się aż dwadzieścia cztery. Przez pierwszych dwanaście tłum stał w milczeniu, a kantor śpiewał.

Więźniowie widzieli i słyszeli wszystko dokładnie, ponieważ obrzędy były transmitowane przez telewizję. Bronski przypuszczał, że robiono to, aby biernie mogli w nich uczestniczyć starcy i chorzy. Cały rytuał odbywał się w języku hebrajskim.

- Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłbym, że oddają cześć słońcu - powiedział Francuz. - Muszę poczekać, aż usłyszę wyjaśnienie. Na przykład sekta esseńczyków miała hymn ku czci słońca. Może to coś w tym rodzaju.

Orme zastanawiał się, dlaczego Hfathon nie powiedział im, że również tego dnia nie będzie lekcji. Jednak pół godziny później wierni rozeszli się i wkrótce nadjechał Hfathon wraz ze Żkisz.

Gdy wszedł do środka, przywitał ich zwyczajowym *shalom alejchem* i oznajmił:

- Moi towarzysze pozostali w domach ze swymi rodzinami. Natomiast nasze dzieci są już dorosłe, zresztą dzieci naszych dzieci również. Wszelako dziś wieczorem mamy wielkie zebranie rodzinne, musimy więc wyjść wcześniej, aby spotkać się z głową rodziny, moim pradziadkiem.

- To prawdziwe szczęście, że masz pradziadka - odrzekł Bronski. - Mam nadzieję, że cieszy się wciąż dobrym zdrowiem i sprawnym umysłem.

- Owszem, nie najgorszym, jak na człowieka w wieku dwustu czterdziestu lat - odparł Hfathon.

Bronski uniósł brwi ze zdumienia, podobnie jak Orme, gdy usłyszał angielską wersję tej wymiany zdań.

- Wasza wiedza medyczna jest znacznie bardziej zaawansowana niż nasza - rzekł Bronski. - Mówisz o ziemskich latach, nie marsjańskich, prawda?

- Oczywiście.

Usłyszawszy to, Orme powiedział:

- Gdyby to były marsjańskie lata, miałby teraz czterysta osiem ziemskich. Poczekaj, niech no ludzie na Ziemi się o tym dowiedzą.

Bronski zadrżał, gdy tylko wyobraził sobie ewentualne konsekwencje.

- Mogę cię zapytać, ile masz lat, Hfathon?

- Sto sześćdziesiąt dziewięć.

Orme gwizdnął.

- Nie dałbym mu więcej niż pięćdziesiąt. Inna sprawa, że on jest Krszem, a z nimi nic nie wiadomo. Wszyscy wyglądają dla mnie tak samo.

- Szaul robi wrażenie, jakby miał około trzydziestki. Ile liczy sobie lat? - zapytał Bronski.

- Osiemdziesiąt dwa.

- Ta długowieczność nie jest naturalna, prawda? Uzywacie jakichś środków chemicznych lub innych zabiegów, by spowolnić obumieranie komórek?

- A wy nie? - zapytał Hfathon.

Bronski zastanawiał się, czy nie skłamać. Pomyślał jednak, że prędzej czy później Marsjanie i tak poznają prawdę.

- Nie. Udało nam się w pewnym zakresie zahamować proces starzenia się u zwierząt laboratoryjnych, nie można tego jednak porównać z waszymi osiągnięciami. Jak do tej pory nie mamy nic, co działałoby na ludzi.

Hfathon i Żkisz wstrzymali oddech z wrażenia.

- Nadal umieracie jak zwierzęta? Jak dwa tysiące lat temu?

Bronski nie odpowiedział. Oboje Krszów musiało zdawać sobie sprawę, co ta wiadomość będzie znaczyła dla Ziemi. Gdy tylko o tym usłyszą, natychmiast podniosą raban, aby udostępnić im terapię, eliksir czy cokolwiek to było. Jeśli, rzecz jasna, ziemskie rządy podadzą to do wiadomości publicznej. Choć od lat sześćdziesiątych przyrost naturalny zmniejszył się sukcesywnie, przeludnienie było i tak straszliwym problemem.

- Weźmy się do pracy - powiedział Hfathon. - Ale przedtem połknijcie te tabletki.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni swojej szaty dwie wielkie zielone pigułki.

- Proszę. Nie zaszkodzą wam. To środek wspomagający pamięć. Będziecie uczyć się dwukrotnie szybciej i zapamiętacie wszystko w stu procentach.

Bronski ujął tabletkę w dwa palce.

- Dlaczego nie aplikowano nam ich od początku?

- Aplikowano. W minimalnych dawkach w jedzeniu, winie i wodzie. Każdego dnia ilość była zwiększana. W ten sposób wyrobiliście sobie odporność na efekty uboczne. Niektóre z nich są bardzo dokuczliwe.

Bronski wytłumaczył Orme'owi do czego mają służyć pigułki.

- Im szybciej nauczymy się języka, tym prędzej nas stąd wypuszczą - powiedział tamten.

Połknęli pigułki i popili je wodą.

Orme stał przez chwilę, mrugając oczyma, po czym oświadczył:

- Nic nie czuję.

- Czego oczekiwałeś? Błyskawicy? Nagłego wzrostu ilorazu inteligencji?

- Wcale się nie czuję bystrzejszy.

Niemniej pastylki podziałały. Opanowali sześćdziesiąt nowych słów, nie zapominając żadnego, jak również poznali znacznie więcej zasad składni języka *krsz*, niż podczas poprzednich lekcji. Ponadto Orme miał dużo mniej kłopotów z poprawną wymową.

- Czy te pigułki... Jak je nazywacie?

- *Gbredut*.

- Czy... *gbredut*... pomogą także osobie o niskiej inteligencji?

- W mniejszym stopniu niż tej o wysokiej.

- Człowieku - zapalił się Orme - one miałyby na Ziemi wielką wartość. Gdybym miał na nie monopol...

- Czy ty myślisz tylko o tym, jak się wzbogacić? - spytał Bronski.

- Myślę o masie innych rzeczy, ale nie widzę powodu, żebym miał przepuścić taką okazję jak ta.

Hfathon ostro przywołał ich do porządku, lecz Orme wciąż wyobrażał sobie, ile pieniędzy mógłby zarobić, gdyby otrzymał koncesję. Te wielce użyteczne pigułki nazwałby *Wtyk Straszny* - na cześć wielkiego owada z krainy Oz, który dawał swym uczniom pastylki umożliwiającej natychmiastową naukę, aby mogli spędzać cały czas na zabawie. Nie sprzedawałby ich drogo. Nie musiałyby. Co jednak będzie, jeśli Marsjanie po prostu ofiarują ludziom *gbredut*? Z drugiej strony, czy w ogóle pozwolą, żeby ten specyfik dostał się w ręce Ziemian? Ostatecznie posiadanie go zapewniało im przewagę.

Jeśli jednak są tak etyczni, jak twierdzą, nie będą mogli odmówić Ziemianom tego dobrodziejstwa, podobnie jak i terapii przedłużającej życie. A może właśnie odmówią?

Gdy lekcja, która -jak powiedział Hfathon - była bardzo owocna, skończyła się i Krsze wyszli, Orme spytał Bronskiego:

- Jak sądzisz, udałoby się nam jutro nie połknąć tych pigułek? Moglibyśmy ukryć je w dłoniach. Trudność polega na tym, że trzeba by im wmówić, iż wszystkiego się nauczyliśmy. To nie będzie łatwe, ale może się nam poszczęścić.

Bronski spojrzał na niego zdumiony.

- Chcesz je zachować, aby poddać analizie, gdy wrócimy na Ziemię?

- Dokładnie tak.

- Po to, żeby zostać plutokratą?

- Co w tym złego? Ktoś będzie musiał je produkować. Dlaczego nie ja? Nie zrobię nikomu krzywdy.

- Czemu zwyczajnie nie poprosisz ich o próbkę? Albo o podanie składu? Może wyrażą zgodę.

- A jeśli odmówią? Wtedy dowiedzą się, że coś knuję, i będą mnie pilnować jak kot mysiej nory.

Wieczorem pozwolono im porozmawiać z Danton i Shirazim. Oboje potwierdzili, że są teraz trzymani osobno. Nie czuli się zawstydzeni, że złapano ich razem w łóżku, choć konsekwencje tego wydarzenia niepokoiły ich.

- Jeśli dobrze zrozumiałem człowieka o imieniu Ijjobh, który mnie przesłuchiwał - powiedział Nadir - mamy następujący wybór: możemy zostać skazani na przymusowe roboty, a po zwolnieniu mielibyśmy obowiązek nosić przez rok etykietkę obwieszczającą, że jesteśmy cudzołożnikami. To i tak lepszy los niż ten, jaki czekałby nas pod starym Prawem Mojżeszowym, zgodnie z którym zostalibyśmy ukamienowani na śmierć. Alternatywą jest małżeństwo.

- Ale ty już masz żonę!

- Tak, ale powiedziałem im, że jestem muzułmaninem. Wytłumaczyłem, co to znaczy, uznali mnie jednak za kogoś w rodzaju heretyka żydowskiego. W każdym razie wyjaśniłem im, że muzułmanie mogą mieć więcej niż jedną żonę. Takie po prostu mają obyczaje. Ijjobh oświadczył, że tutaj obowiązuje monogamia, choć na początku, gdy populacja była nieliczna, zezwalano na poligamię. Jeśli go dobrze zrozumiałem, Krsze potrafią zdeterminować płć płodu tak, żeby rodziło się trzy razy więcej dziewczynek niż chłopców. W ten sposób mężczyzna mógłby mieć trzy żony i dzięki temu znacznie więcej potomstwa.

- A co z klonowaniem?

- Nie wiem. Myślę, że ich religia tego zabrania. A może chcą uniknąć nadmiernego ujednolicenia genetycznego. Tak czy inaczej zdecydowali, że Madeleine i ja musimy wziąć ślub albo ponieść karę.

- Nie wahałbym się ani przez sekundę - powiedział Orme.

- Toteż nie wahał się - odrzekła Madeleine. - Nie jesteśmy w sobie zakochani, ale dobrze nam ze sobą w łóżku. Pozwoli nam to uniknąć napięć seksualnych. Jest jednak problem: mój środek antykoncepcyjny przestanie działać za sześć miesięcy. Nadir nie miał wszczepu, a więc jest płodny. Za pół roku będziemy musieli zaprzestać konwencjonalnego współżycia. Nie mam zamiaru narażać się na ciążę. - Madeleine była bardzo trzeźwo myślącą kobietą.

- Macie szczęście - stwierdził Orme. - Bronski i ja mamy tylko siebie nawzajem, a i tak z każdym dniem Avram wydaje mi się coraz ładniejszy.

Bronski zrobił oburzoną minę. Orme roześmiał się.

- Jak na baptystę, wyrażasz się dość swobodnie - stwierdziła Madeleine.

- To moje gadanie nikomu nie szkodzi. W gruncie rzeczy pomaga nawet rozładować stres. Poza tym to sprawa pomiędzy Panem Bogiem a mną. Jak wam idą lekcje?

Nadir określił tempo jako normalne. Orme uprzedził ich, że prawdopodobnie za kilka dni zaczną robić większe postępy i opowiedział im o pigułkach *Wtyk Straszny*. Zainteresowało ich to, ale dopiero gdy usłyszeli wiadomość o długowieczności Marsjan, okazali prawdziwe zdumienie.

- Jeśli nie wyjawia Ziemiąom tajemnicy tego leku, wybuchnie wojna - powiedział Irańczyk.

- Zapewne - zgodził się Orme. - Nie jestem jednak pewien, czy w ogóle zechcą powieścić Ziemiąom o jego istnieniu. Jednym z powodów, dla których tak bardzo im zależy, żebyśmy opanowali ten ich język, jest to, że chcą się dowiedzieć, jakiego rodzaju ludźmi jesteśmy. Uważani, że gdy już nas poznają, to mogą zdecydować się na całkowitą izolację. Nie sądzisz, Avram?

- Mamy za mało danych, aby odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Minął kolejny tydzień. Nadir po zawarciu małżeństwa wrócił do mieszkania Madeleine. Ślubu nie udzielił im rabin, ponieważ byli uważani za pogan. Poza tym Shirazi oświadczył, iż zgodnie z obyczajem jego współwyznawców wystarczy, aby oznajmił publicznie, że on i ta kobieta zawierają małżeństwo w obliczu Boga.

Minął się z prawdą, lecz ponieważ Marsjanie nie wiedzieli, jak jest w rzeczywistości, nie mogli oponować. Wszyscy byli z tego małżeństwa zadowoleni, choć Nadir martwił się, co go spotka, gdy wróci do Szkocji.

- Tam bigamia jest niedozwolona.

- Nie przejmuj się - rzekł Bronski. - Zawarłeś ślub zgodnie z tutejszym, a nie szkockim prawem. Dostarczysz jednak naszym prawnikom tematu do sporów. Czy małżeństwo zawarte na Marsie jest ważne?

- Poza tym - dodał Orme - możesz nigdy nie wrócić na Ziemię.

Ta myśl podziałała na nich jak kubeł zimnej wody.

Trzydziestego dnia uwięzienia cała czwórka została nieoczekiwanie zwolniona. Hfathon poinformował ich jednak z uśmiechem, że ta wolność ma swoje granice.

- Zostaną wam przydzielone mieszkania w pobliżu budynków rządowych. Wasz dom będzie po jednej stronie ulicy, dom Shirazich po przeciwnej. Jednakże, przynajmniej z początku, gdy zechcecie dokądkolwiek się udać, będzie wam towarzyszyło dwóch przewodników.

- Dziękujemy - powiedział Orme. - Czy wolno nam teraz połączyć się z Ziemią?

- Wszystko w swoim czasie. Uważamy, że powinniście dowiedzieć się o nas jak najwięcej, abyście mogli złożyć swoim władzom dokładny raport. Nie chcemy żadnych nieporozumień. Musimy też zdobyć więcej informacji o waszym ludzie. A raczej o waszych ludach, po-



nieważ jesteście wysoce zróżnicowani. Zaczniecie również uczyć nas ważniejszych ziemskich języków.

- Wszakże to bardzo istotne, aby Ziemia zrozumiała, że nie jesteśmy tutaj więźniami.

- Ależ jesteście nimi.

Następnie Hfathon powiedział dziwną rzecz.

- Musimy zachować ostrożność, gdy mamy do czynienia z Synami Ciemności.

Orme obruszył się.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wkrótce wszystko się wyjaśni. Tymczasem chodźmy do waszego nowego domu.

Podczas jazdy samochodem Orme zapytał:

- Wspomniałeś kiedyś o Jezusie Chrystusie. Czy opowiesz nam o nim? Czy oddajecie mu cześć, czy też naprawdę jesteście Żydami?

- Jesteśmy Żydami, którzy wiedzą, że Jezus to Mesjasz. Nie, nie oddajemy mu czci należnej Bogu. On jest człowiekiem, a my czcimy tylko Jedynego. Jednak Jezus jest z nami.

Hfathon wskazał palcem na jasną kulę pod sklepieniem jaskini.

- Mieszka tam.

## 7.

Czasami Hfathon przychodził sam po śniadaniu, aby z nimi porozmawiać. Kiedy indziej odwiedzali ich Szaul albo Jaakob. Od czasu do czasu towarzyszyli im ludzie z innych resortów rządu, a nawet profesorowie nauk ścisłych, humanistycznych lub sztuki. Nigdy nie wchodzili, nie spytawszy wcześniej o zgodę, zapewne po to, aby wywołać u Ziemiaków wrażenie, że są oni naprawdę we własnym domu. Po południu wolno im było chodzić lub jeździć niemal wszędzie, z pewnymi wszakże ograniczeniami. Niekiedy Hfathon lub Szaul wozili ich tunelami do innych grot. Było ich czterdzieści i właśnie drażono następną na potrzeby wciąż rosnącej populacji. Pewnego razu cała czwórka udała się na teren budowy. Olbrzymie lasery niszczyły twarde granit i bazalt z równą łatwością, jak palnik acetylenowy papier.

- Macie, rzecz jasna, podobne lasery - domyślał się Hfathon.

Orme skinął głową.

- Gdy skontaktujecie się z waszymi ludźmi, musicie im powiedzieć, że jeśli wyślą tu statek, nie może on być wyposażony w żadną broń. Ani w bomby atomowe czy neutronowe, ani w inne urządzenia umożliwiające prowadzenie wojny. Potraktowalibyśmy to jako przejaw agresji.

Hfathon uśmiechnął się, jakby chciał załagodzić ostrą wymowę swych słów.

- Ustawiliśmy na powierzchni planety detektory oraz broń. Są to środki czysto defensywne, mogę cię jednak zapewnić, że żaden uzbrojony statek czy pocisk nieprzyjacielski nie zbliży się bezkarnie na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt tysięcy mil.

Orme zapytał, w jaki sposób Marsjanie mogą spenetrować pokład statku znajdującego się w przestrzeni, aby sprawdzić, czy nie ma tam broni. Nie mają przecież własnych pojazdów kosmicznych.

- Nie m i e l i ś m y - padła odpowiedź.

Krsz nie chciał zdradzić nic więcej, lecz Orme przypuszczał, że uszkodzony statek został naprawiony. Jeśli jednak tak się stało, satelita zwiadowczy przekazał wiadomość o tym na Ziemię. A przecież pozostawiono wrak nienaruszony, a wybudowano inny statek bądź całą flotę pod powierzchnią planety? Skoro jednak Marsjanie mogli skonstruować statek w każdej chwili przez ostatnie tysiąc pięćset lat, to dlaczego tak długo czekali?

Nie zagadnął o to Hfathona, zadał mu jednak pytanie, dlaczego magnetometry umie-

szczone na ziemskich satelitach nie wykryły tak wielu olbrzymich, pustych przestrzeni pod powierzchnią.

- Mamy sposoby na oszukanie takich instrumentów - odrzekł Krsz.

W drodze powrotnej zatrzymali się w restauracji. Jak zwykle czwórka Ziemian otrzymała oddzielny stolik.

- Czuję się przez to nieczysty - powiedział cicho Orme.

- W rytualnym sensie tego słowa jesteśmy nieczyści - odrzekł Bronski. - Co to ma jednak za znaczenie? Dostajemy takie samo jedzenie, jak i oni. Wszystko jest smaczne. Poza tym możemy rozmawiać ze sobą, nie będąc podsłuchiwanymi.

- Nie byłbym tego pewien - odrzekł Orme. - Skąd wiesz, czy nie ma tu mikrofonu?

- Ale mówimy po angielsku - powiedziała Madeleine. - Oni nie znają tego języka.

- Tak twierdzą - odparł Orme. - Skąd wiesz, czy to prawda? Dlatego, że oni tak mówią? Może robią to po to, abyśmy rozmawiali swobodnie, co pozwoli im dociec, czy czegoś nie planujemy.

- Czy wiesz już, które tunele prowadzą na zewnątrz? - zapytał Shirazi.

- Nie. Zresztą to by i tak nic nie dało. Teraz, gdy mają statek gotowy do startu, mogliby nas z łatwością doścignąć, nawet gdybyśmy dostali się na pokład *Ariesa*.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Bronski.

- Ich statek musi być cholernie szybki. Znacznie szybszy niż nasz.

- Być może - zastanawiała się na głos kobieta - powiedzieli nam to wszystko, abyśmy porzucili wszelką myśl o ucieczce.

- To bez różnicy. Mogliby z łatwością nas strącić za pomocą laserów. O ile rzeczywiście ustawili je na zewnątrz. Może nas okłamują. Czy jednak powinienem... powinniśmy podjąć takie ryzyko?

Gdy wrócili do swej „rodzinnej” jaskini, Orme wskazał palcem w górę, na kulę.

- On podobno pokazuje się raz w miesiącu. Czy sądzicie, że ma to sens symboliczny, czy też po prostu wciskają nam kit?

- Wszystko wam powiedzą, gdy uznają, że nadeszła stosowna chwila - odrzekł Bronski.

- A może poczekają, aż zobaczymy to na własne oczy i sami zdecydujemy.

Minęli plac targowy, na którym kilkuset ludzi sprzedawało i kupowało owoce, bydło, kozy, konie, kury, kaczki, bażanty, indyki, papugi oraz wiele małych ptaszków o pomarańczowo-czarno-zielonym upierzeniu. Śpiewały piękniej niż jakikolwiek ptak, którego słyszeli w życiu. Pochodziły one od ptaków, które Krsze przywieźli ze swej rodzinnej planety - *Thrillkrwillutaut*. Orme zachwycił się nimi w obecności Hfathona i następnego dnia Krsz podarował mu dwie sztuki. Były tak oswojone, że nie trzymało się ich w klatce.

Na targu były również artykuły rolne, dzieła sztuki i wiele przedmiotów użytku domowego. Za wszystko płacono (gdy nie dochodziło do handlu wymiennego) grubymi plastikowymi pieniędzmi o różnych kształtach i kolorach. Wszyscy wyglądali na zadowolonych.

Z obserwacji Orme'a wynikało, że społeczeństwo to było znacznie sympatyczniejsze, niż którekolwiek z ziemskich, oraz prawie wolne od zbrodni i występku. Jeśli Hfathon mówił prawdę, to ostatni wypadek kradzieży wydarzył się dziesięć lat temu, a morderstwo - sześć. Jaka inna populacja, licząca milion osób, mogłaby się czymś takim pochwalić?

- To brzmi pięknie - powiedział Orme. - Skąd jednak wiesz, że to odpowiada faktom?

- Rozmawiałem z naszymi nauczycielami i z przechodniami na ulicach, zarówno ludźmi, jak i Krszami.

- Mogli ci wciskać ciemnotę. Na pewno mówią o swoich życzeniach. Wiesz przecież, że gdy rzeczywistość nie dorównuje ideałowi, to ludzie po prostu zaczynają idealizować.

- Mam wrażenie, że mówią prawdę - odrzekł Bronski. - Nie taką, jaką chcieliby widzieć, ale taką, jaka jest realnie. W każdym razie istnieją tu silne związki rodzinne, które wywierają dobroczynny wpływ. Przypuszczam, że tak jak wszystko, ma to również złe strony,

lecz dobrych jest znacznie więcej. Hebrajskie słowo „kuzyn” zostało zapożyczone przez język *krsz* w znaczeniu „obywatel”. Wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Powinieneś obejrzeć tablice genealogiczne, które Marsjanie prowadzą nieustannie od dnia lądowania. Obejmują one nawet mapy genów. Zboczyłem jednak z tematu. Tutaj nie ma sierocińców. Z reguły sierotę adoptuje najbliższy krewny. Oczywiście jest tu bardzo mało sierot, ponieważ większość ludzi dożywa późnej starości. Członkowie rodziny - ciotki, wujowie, siostrzenice i bratankowie - utrzymują ze sobą bliskie stosunki i interesują się sobą nawzajem.

- Chcą mieć pewność, że wszyscy są kochani.

- Bomba! - wykrzyknął Orme. - Co jednak rozumieją pod słowem „kochać”? Wiesz, jak wyprane ze znaczenia jest ono na Ziemi. Używa się go na sto różnych sposobów i nadużywa na tysiąc.

Bronski wzruszył ramionami.

- Oni są ludźmi - powiedział. - Wiesz, co to oznacza. Rzecz jasna, wpływ *Krszów* jest również nie do przecenienia.

Avram przekonywał, że Marsjanie osiągnęli stan bliski utopii ze względu na swój niepowtarzalny system religijno-polityczno-społeczny.

- Jego korzeniem, łądęgą i kwiatem jest religia, ów system nie robi jednak wrażenia skostniałego i hermetycznego. Jest otwarty na wszelkie przynoszące pożytek zmiany.

- A co oni uznają za przynoszące pożytek?

- Poczekajmy trochę. Szaul zapowiedział, że może nadejść moment, gdy zaproszą nas, abyśmy pomieszkali jakiś czas w marsjańskim domu. W ten sposób będziemy mogli przesiąknąć atmosferą ich życia rodzinnego.

- Czy usiądą z nami przy wspólnym stole?

- Myślę, że tak, i to chyba wkrótce. Gdyby nie chcieli na to przystać, to wciąż czulibyśmy się tu jak obcy i nigdy tak naprawdę nie poznalibyśmy ich. Nadal jednak nie przyznają nam praw obywatelskich, ponieważ się nie nawróciliśmy. Sądzę jednak, że oczekują - lub przynajmniej mają nadzieję - że to zrobimy.

- W ten sposób stalibyśmy się Marsjanami i zdradzilibyśmy Ziemię - powiedział Orme.

- Marsjanie mają przysłowie: „Zdrajcą jest jedynie ten, kto zdradził prawdę”.

Następnie Bronski przystąpił do opisywania marsjańskiego systemu rządów.

- Każde osiedle rządzi się samo - w sprawach, które go dotyczą. Razem tworzą gminę i delegują swych reprezentantów do gminnej rady. Każdy taki okręg ma swego sędziego, który przewodniczy radzie. Z okręgów wysyłani są przedstawiciele do rady jaskini. Jej przewodniczącym jest sędzia, który stanowi najwyższą władzę w jaskini. Na nim drabina się kończy, choć i jego rządy podlegają ograniczeniom. Sędziowie nie sprawują wyłącznie władzy sądowniczej. Przypominają raczej sędziów z czasów przed nastaniem królów. Czytałeś Stary Testament, więc wiesz, co to oznacza. Centralny rząd tworzy rada przedstawicieli wszystkich jaskiń. Jej głową jest sędzia. W tej chwili najwyższym sędzią jest *Krsz* - Żmreżkot ben Rautha. To...

- Chwileczkę - przerwała mu Madeleine. - Czy wszyscy sędziowie i radni to mężczyźni?

- Mniej więcej pięć szóstych.

Danton zrobiła oburzoną minę. Bronski uśmiechnął się.

- Nie jest tak źle, jak się wydaje, Madeleine. Pomijając stanowiska wysokich rangą funkcjonariuszy, wszędzie na niższych szczeblach administracji oraz w wolnych zawodach liczba kobiet jest bardzo wysoka. Do pięćdziesięciu procent. Wszystkie jednak są w starszym wieku. Kobieta musi przebywać w domu, póki dzieci nie dorosną. To znaczy od około dwudziestego siódmego do mniej więcej czterdziestego siódmego roku życia. Nie zapominaj, że środki opóźniające starzenie powodują również przedłużenie okresu dzieciństwa i młodości. Gdy potomstwo dorośnie, kobieta może się zająć, czym tylko zechce. Jeśli pragnie opiekować

się dziećmi, ponieważ lubi to robić, może zostać nauczycielką lub opiekunką. Marsjanie bardzo cenią swoje latorośle. Od trzydziestu lat nie było wypadku znęcania się nad dzieckiem, fizycznego bądź psychicznego.

Twarz Danton stawała się coraz bardziej purpurowa. W końcu nastąpił wybuch.

- A co z kobietami, które nie chcą mieć dzieci? Które nie mają do tego skłonności albo odpowiedniego temperamentu? Co z lesbijkami, również tymi, które chcą być matkami, ale wolą adopcję lub sztuczne zapłodnienie?

- Krsze już w drugim pokoleniu wyeliminowali biologiczne przyczyny skłonności lesbijskich. Od tego czasu nie ma lesbijek.

Danton zakipiała gniewem, zdołała jednak zapanować nad sobą.

- Ależ to śmieszne! Po pierwsze, to pogwałcenie praw człowieka!

- Czyżby? Nie zapominaj, że to nie jest Ziemia. Poza tym tutejsze społeczeństwo może jednak zaoferować Ziemi rozwiązanie problemu homoseksualizmu.

- Nonsens! Co z tymi, których skłonności homoseksualne są wywołane przez środowisko rodzinne? Gdzie ojciec jest słaby lub w ogóle go nie ma, a matka dominuje? Co z nim, hę?

- Psycholog, z którym tu rozmawiałem, powiedział mi, że homoseksualizm nie jest wywoływany przez środowisko rodzinne. Jak wiesz, na Ziemi wielu mężczyzn ma słabych ojców i silne matki, a mimo to nie są homoseksualistami. On mi wyjaśnił, że zespół słabego ojca i silnej matki wywiera wpływ tylko na tych, którzy mają genetycznie uwarunkowane skłonności do homoseksualizmu. Jeśli jednak wyeliminować odpowiedzialne za to geny, skłonności nie ujawniają się, niezależnie od środowiska.

- Mówisz o mężczyznach. A co z lesbijkami?

- To samo. Posłuchaj, Madeleine, nie bronię Marsjan, choć podziwiam rezultaty, jakie osiągnęli. Jehudha ben Jonathan, który jest, nawiasem mówiąc, Krszem, powiedział, że niekiedy dziecko wykazuje skłonności homoseksualne na skutek mutacji. Geny wywołujące cukrzycę również zostały wyeliminowane, a jednak, niekiedy, chociaż bardzo rzadko, zdarza się dziecko chore na cukrzycę. Nawet przez ponad kilometrowej grubości skałę jaskini przenika pewna ilość promieniowania oddziałującego na komórki. Gdy wykrywa się zachowania homoseksualne lub cukrzycę, dziecko jest leczone. Zmienia się odpowiednio zestaw genów.

- W ten sposób produkują roboty!

- A sądzisz, że człowiek powinien mieć prawo wyboru, czy chce chorować na cukrzycę, czy nie?

- Ich inżynieria genetyczna mogłaby przynieść Ziemi wiele korzyści - odezwał się Orme. - Znacznie nas wyprzedzają.

- Czy myślisz o opanowaniu rynku również w tej dziedzinie? - zapytał Bronski.

- Zysk, bogacenie się nie jest niczym złym, jeśli przynosi korzyści wszystkim. Ale chyba w jakiejś formie Marsjanie muszą stosować kontrolę urodzeń, mimo że jest ona ściśle zakazana przez Prawo Mojżeszowe.

- Gdyby tego nie robili, nie nadążyliby z budowaniem nowych jaskiń dla stale wzrastającej populacji. Jednak tutejsze kobiety nie dokonują aborcji.

- A co - zapytała Danton - jeśli jakaś kobieta chce mieć więcej dzieci?

- Rodzi troje i na tym koniec. Może jednak zostać matką zastępczą albo pomagać innym kobietom w opiece nad dziećmi.

- To totalitaryzm! - wykrzyknęła Danton.

- W pewnych aspektach zapewne. Niemniej to jedyna autentyczna teokracja w Układzie Słonecznym. Jeśli wszystko, co mówią, jest prawdą.

- Masz na myśli to, że rządzą tu kapłani?

- Nic podobnego. Nie ma tu kapłanów, choć potomków Aarona nie brakuje. Nie mają nawet świątyni. Dla nich jedyną świątynią jest ta w Jerozolimie. Swoją drogą, Jehudha był

bardzo podniecony, gdy mu powiedziałem, że Rzymianie zburzyli ją w roku 70. Marsjanie, rzecz jasna, nie mieli o tym pojęcia. Rzekł wtedy: „Nie szkodzi. Odbudujemy ją”. Poblądł przy tym lekko. Wyglądał, jakby powiedział coś, czego nie powinien był mówić.

- Aha! - zawołał Orme. - Więc mają jakieś plany co do Ziemi.

- Jeśli nie mają kapłanów, jak mogą być teokracja? - zapytał Shirazi.

- Hmm... Wygląda na to, że rządzi nimi O n.

- On? Jaki on? - krzyknął Orme.

- O n — odpowiedział Bronski, wskazując palcem świetlistą kulę.

Orme miał wrażenie, jakby jego skóra zaczęła odparowywać, wystawiając na działanie rozgrzanego powietrza wszystkie końcówki nerwowe.

- Nie masz chyba na myśli... Jezusa?

- Zgodnie z tym, co powiedział Jehudha, to Jezus orzeka w najbardziej skomplikowanych sprawach i od czasu do czasu wtrąca się do działań rządu. Jest *de facto*, choć nie *de iure*, Wielkim Sędzią.

Mróz przemknął Orme'owi po kręgosłupie. Kula wyglądała jak ogromne gorejące oko. Czyżby wpatrywało się ono w niego?

- Być może - ciągnął Bronski - teokracja nie jest odpowiednim określeniem. Ostatecznie nazywają go Synem Człowieczym, co oznacza, że jest tylko jednym z ludzi. Nie uważają go za Syna Bożego, chyba że przez adopcję, ani tym bardziej za Boga. Niemniej...

Orme powtarzał sobie, że reaguje zbyt emocjonalnie. Marsjanie z pewnością nabierali Bronskiego. Gdy jednak, klęcząc na podłodze, odmawiał swą wieczorną modlitwę, zauważył, że bezwiednie kierował twarz w stronę kuli. Podniósł się szybko z płonącym obliczem, jakby przyłapano go na czymś bardzo wstydlwym, a nawet grzesznym.

Następnego dnia został wraz z przyjaciółmi wezwany do biura Hfathon w Tlethszy - głównym uniwersytecie. Czekala tam na nich pozostała piątka nauczycieli: Jaakob, Żkis, Szaul, Jirmeja i Hmindron. Ziemianie usiedli. Poczestowano ich wodą i ponczem owocowym oraz waflami z suszoną rybą. Orme zastanawiał się, jak smakowałyby im obwarzanki, twaróg śmietankowy i wędzony łosoś - zestaw, o którym Żydzi nigdy nie słyszeli. Gdyby zdobył na to patent, zgarnąłby kupę szmalu. Czy jednak daliby monopol na coś takiego komukolwiek, a zwłaszcza gojowi? Poza tym, po co mu na Ziemi marsjańskie pieniądze? Może jednak nadejdzie jeszcze odpowiednia chwila.

Gdy Hfathon zapytał już wszystkich o zdrowie - jak gdyby ktokolwiek tu chorował - powiedział:

- Wezwaliśmy was tutaj, aby opowiedzieć wam część naszej historii. Mamy w tym pomieszczeniu aparaturę audiowizualną, która pozwoli na uzupełnienie ustnego wykładu. Choć poczyniliście znaczne postępy w nauce naszego języka, może się zdarzyć, że użyję takich słów czy zwrotów, których nie znacie. Możecie wtedy śmiało mnie o wszystko pytać. Poza tym prosilibym o zachowanie ciszy aż do końca wykładu.

Nie licząc spodziewanych pytań, nikt się nie odezwał, zanim Hfathon nie skończył. Przez pierwszych piętnaście minut omówił pospiesznie proces ewolucji życia na Thrillkrwilutaut, planecie, z której wywodzili się Krsze. Orme zauważył, że mówca ani razu nie wymienił nazwy gwiazdy, wokół której ona krążyła. Życie rozwijało się tam podobnie jak na Ziemi. Krsze pochodzili od stworzeń przypominających małpy.

- Na podobnych planetach powstają zbliżone formy życia - stwierdził Hfathon. - Przynajmniej na tych, które odwiedziliśmy. Muszę jednak przyznać, że - oprócz naszej i waszej - napotkaliśmy tylko dwie takie planety. Jedna znajdowała się wciąż w okresie paleolitu. Druga... no cóż, dojdę do tego później.

Prehistoria i historia postępowała naprzód przez kolejne epoki kamienne, epokę brązu, żelaza oraz plastiku, elektroniki i energii atomowej. Podobnie jak na Ziemi istniały tam różne rasy. Na statku, który wyruszył w podróż międzygwiazdową, znaleźli się przedstawiciele wszy-

stkich spośród nich. Jednakże podczas pobytu na Marsie rasy te mieszały się ze sobą i obecnie Krsze byli ludem jednorodnym.

Orme był zachwycony, ujrzawszy hologramy przedstawiające cywilizację Krszów. Już wtedy, dwa tysiące lat temu - nie, więcej, ponieważ kto wie, jak długo trwała podróż, zanim statek dotarł na Ziemię - reprezentowali oni taki poziom nauki i techniki, że w porównaniu z tym ziemskie zdobycze wydawały się prymitywne.

Dlaczego więc nauka Krszów nie rozwinęła się do tego czasu? Najwyraźniej nie byli bardziej zaawansowani niż w czasie, gdy opuścili swą ojczystą planetę. Pod wieloma względami cofnęli się nawet. Większość Marsjan używała koni do orki, jak i do jazdy. Pola używano głównie nawozem bydlęcym i końskim.

Orme zapomniał o swych pytaniach, gdy Hfathon pokazał im obrazy przedstawiające budowę i start statku kosmicznego. Był on naprawdę olbrzymi, znacznie większy, niż wskazywała na to jego odsłonięta część. Niezależnie od tego, jaki miał napęd - Hfathon pominął ten szczegół milczeniem - musiał on być niewiarygodnie potężny. Nie zbudowano go na orbicie. Wystartował bezpośrednio z powierzchni planety.

Hologramy przedstawiające życie na pokładzie statku również były fascynujące, choć nie działo się tam wiele. Tylko część załogi pełniła dyżur, a reszta przebywała w stanie hibernacji.

- Minęło czterdzieści lat, a poruszaliśmy się z prędkością równą jednej czwartej prędkości światła, zanim dotarliśmy do pierwszego systemu planetarnego - oświadczył Hfathon.

Przed oczyma rozbłysły im hologramy przedstawiające świat przypominający Ziemię z mniej więcej dwudziestego tysiąclecia przed naszą erą. Jego mieszkańcy byli humanoidalni, lecz mieli ostro zakończone uszy oraz kocie oczy i zęby, co jednoznacznie wskazywało, iż pochodzili oni od drapieżników.

- W tym świecie ewolucja przebiegała nieco inaczej. Duch Boży poprowadził w stronę rozumu prymitywne koty.

W kolejnym etapie wyprawy jej uczestnicy dotarli do gwiazdy, która - podobnie jak ziemskie słońce oraz słońca Krszów i trzeciej z planet - należała do typu G.

- Tym razem podróż trwała pięćdziesiąt pięć lat czasu obiektywnego - wyjaśnił Hfathon.

Tutaj Krsze natrafili na dwie zamieszkane planety - trzecią i czwartą od źródła światła.

- Czwarta planeta została dopiero co zasypana bombami wibracyjnymi (Hfathon nie wyjaśnił, co to takiego), nieliczni jednak ocalili. Niewielkie grupki błąkały się, szukając pożywienia i starając się skryć przed najeźdźcami.

- Najwyraźniej istoty z trzeciej planety odniosły zwycięstwo - ciągnął Hfathon. - Nie znamy ich nazwy, posiadamy jednak fotografie.

Na zdjęciu widać było przysadzistą, silnie umięśnioną istotę, ubraną w coś, co przypominało kolczugę. W szerokopalcej dłoni trzymał ów typ srebrzysty hełm z grzebieniem w kształcie piły. Zbliżenie palców pokazało, że były pozbawione paznokci.

Głowa stworzenia przypominała ludzką, niemniej nie sposób było pomylić je z Ziemiainem. Krótka i gruba szczecina zastępowała włosy. Przywodziła Orme'owi na myśl kolce jeżozwierza, choć mogła być w rzeczywistości bardziej giętka. Czaszka w stosunku do reszty kośćca była większa niż u człowieka, a uszy ukształtowane nieco inaczej - ich końce rozszczepiały się na dwie długie, mięsiste wyrostki. Szczeka była bardzo masywna, a wargi sięgały niemal do nasady żuchwy. Otwarte usta odsłaniały zęby podobne do ludzkich. Nos stworzenia był krótki i szeroki, a na jego grzbiecie widniał zaokrąglony garb, z którego sterczało kilka kolców.

Brwi były gęste, kolczaste. Gdy istota mrugała, poruszała górnymi i dolnymi powiekami. Dolne były niebiesko-czarne, a górne - tak jak skóra twarzy - czerwonawobrazowe. Oczy miały kolor intensywnie rdzawy.

- Mogą się od siebie różnić kolorem skóry, oczu lub włosów - powiedział Hfathon - lecz serca ich wszystkich są czarne. Może, aby być wyrozumiałym, powinienem powiedzieć, że serca tych, którzy nimi rządzą, są czarne. Niewykluczone, że w tamtym świecie istnieją też dobrzy ludzie. Tak czy inaczej, zostaliśmy zaatakowani bez ostrzeżenia, choć przybyliśmy w pokoju.

Na swoje szczęście Krsze byli wyposażeni w środki samoobrony, które okazały się nieco doskonalsze od uzbrojenia napastników.

Orme zauważył, że Hfathon nie podał żadnych szczegółów na ten temat.

Dwa statki, które próbowały unicestwić Krszów, same zostały zniszczone. Mimo to przybysze próbowali nawiązać kontakt z obcymi, lecz ci zignorowali ich wysiłki. Koniec końców, Krsze poczuli się zmuszeni do przerwania swoich badań i udali się w kierunku kolejnej gwiazdy - tym razem było to ziemskie słońce.

- Jednakże Synowie Ciemności ścigali nas, choć zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero w jakiś czas po tym, jak dotarliśmy na Ziemię. Wprowadziliśmy statek na orbitę wokół niej i przekonawszy się, że zdołamy z łatwością odeprzeć ewentualne ataki jej prymitywnych mieszkańców, wysłaliśmy na dół statek zwiadowczy. Wzięliśmy wiele próbek życia roślinnego i zwierzęcego i zamroziliśmy je celem zabrania na Thrillkrwillutaut.

Zaznajomienie z istotami rozumnymi okazało się zadaniem znacznie trudniejszym. Nie mogliśmy nikogo uprowadzić, ponieważ było to sprzeczne z naszymi normami moralnymi. Postąpiliśmy podobnie jak na pierwszej z planet. Lataliśmy w poszukiwaniu istot znajdujących się w niebezpiecznych sytuacjach lub chorych. Ratowaliśmy je w nadziei, że z wdzięczności dobrowolnie poddadzą się wszelkim badaniom. Następnie zamierzaliśmy je wypuścić w pobliżu miejsca, gdzie doszło do spotkania.

## 8.

Hfathon przerwał, aby napić się ponczu.

- Żywiliśmy, rzecz jasna, nadzieję, iż przynajmniej niektóre z nich okażą się dość ciekawe, aby móc polecieć z nami. Na paleolitycznej planecie nie mieliśmy szczęścia. Nasi „goście” znajdowali się na plemiennym etapie rozwoju. Zginęliby, gdyby przebywali zbyt długo z dala od swych współbraci. Dlatego też po badaniach wróciliśmy im wolność. Tutaj jednak napotkaliśmy ludzi cywilizowanych, choć ich cywilizacja była, z naszego punktu widzenia, bardzo zacofana.

Spośród dwustu, na których się natknęliśmy, pięćdziesięciu było tak przerażonych, że czym prędzej odstawiliśmy ich na miejsce. Pozostali pochodzili przeważnie z okolic Morza Śródziemnego, niektórzy z kraju, przez który przepływa wielka rzeka zwana Sindhu, oraz nieliczni z odległego Wschodu. Ci ostatni mieli jasnobrązową skórę i skośne oczy. Poza tym wzięliśmy kilku przedstawicieli z miasta leżącego na przewężeniu kontynentu oddzielonego od megalądu przez ocean, zarówno z zachodu, jak i ze wschodu.

W tym momencie Hfathon przerwał wykład, by spytać czwórkę słuchaczy, czy znane im są nazwy wymienionych krain.

- Kraj w dorzeczu rzeki Sindhu to Indie - powiedział Orme. - Ludzie z Dalekiego Wschodu to Chińczycy albo inni przedstawiciele rasy żółtej. Obszar łączący dwa kontynenty to Ameryka Środkowa, a ludzie pochodzący stamtąd to pewnie Majowie. Przez największy ład rozumiecie zapewne trzy kontynenty - Europę, Afrykę i Azję.

- Uważaliśmy go za jeden kontynent - odrzekł Hfathon. - Na zdjęciach, które widziałem, wygląda jak jedna masa lądowa.

- Co prawda są ze sobą połączone, ale to trzy osobne kontynenty - odrzekł Orme. -

Choć, prawdę mówiąc, Europa nie zasługuje na tę nazwę. Jest uważana za oddzielny ląd z przyczyn historycznych i rasowych. Wielka masa lądowa na zachód od Eurazji to również dwa kontynenty - Ameryka Północna i Południowa. Wąskie pasmo lądu, gdzie znaleźliście Majów, czy kim tam oni byli, to Ameryka Środkowa - łączą oba kontynenty ze sobą.

- Nie chcę się wdawać w geograficzne dysputy - odrzekł Hfathon. - Większość ludzi, których sprowadziłem na macierzysty statek, była chora. Wyleczyliśmy ich i nauczyliśmy się ich języków, zanim musieli zdecydować, czy chcą wracać do domu, czy pozostać na statku. Jedną z osób pochodzących z kontynentu, który nazywacie Afryką, z rejonu leżącego niedaleko Kem, po grecku zwanego Aegypcos, był Hebrajczyk o imieniu Mattathias, czyli w skrócie Maciej. Był on uczniem Mesjasza, wybranym przez pozostałych na miejsce Jehudy, po grecku zwanego Ioudas Iskariotes - apostoła, który zdradził Mesjasza.

- Mówisz o Macieju i Judaszu Iskariocie! - z niedowierzaniem zawołał Orme po angielsku.

Krsz nie zwrócił uwagi na jego wybuch. Nacisnął małe urządzenie, które trzymał w ręku, i na olbrzymim monitorze umieszczonym na ścianie pojawił się niski brodaty mężczyzna, rozmawiający w małym pokoju z dwoma Krszami.

- Po jakimu on mówił? - szepnął Orme do Bronskiego.

- Chyba po aramejsku.

- To jest Maciej - oznajmił Hfathon. Po przerwie kontynuował: - Był on trzynastym apostołem i znał dobrze Jezusa przed jego ukrzyżowaniem. Rozmawiał, wędrował i jadł z nim tutaj.

Orme chciał zapytać, co oznaczały jego ostatnie słowa: „Jadł z nim tutaj”, lecz Hfathon mówił już o nagłym zjawieniu się Synów Ciemności.

- Nasze czujniki namierzyły ich, gdy wyłonili się zza planety, którą nazywacie Jowisz. Mieliśmy trzy wyjścia: ukryć się, walczyć lub uciekać. Moglibyśmy ukryć się pod powierzchnią oceanu lub z łatwością uciec z Układu Słonecznego, ponieważ nasz statek był szybszy. Nie wiedzieliśmy jednak, co zamierzają uczynić z Ziemią. Sądząc z tego, co widzieliśmy, byli bezlitośni i okrutni. Mieli wysoko rozwiniętą technikę, lecz ich poziom moralny pozostawiał wiele do życzenia. Mogli zniszczyć Ziemię, podobnie jak czwartą planetę w swym własnym systemie, lub - kto wie - zamienić Ziemię w niewolników. Ponieważ to z naszego powodu znaleźli się tutaj, obrona Ziemi była naszym obowiązkiem. Z reguły unikaliśmy wtrącania się w cudze sprawy, nawet jeśli pozwoliłoby to oszczędzić wielu krzywd... - przerwał, a po chwili dodał: - No cóż, takie były w owym czasie nasze zasady.

Orme wyprostował się nagle. Co oznaczało to zagadkowe stwierdzenie?

- Tak więc zdecydowaliśmy się na walkę.

- Przepraszam cię, Hfathon - odezwał się kapitan. — Nie mogę się powstrzymać. Powiedziałeś: „Takie były w owym czasie nasze zasady”. Co...

- O tym później.

- Dobrze. Chciałem jeszcze zapytać, po czym rozpoznaliście statki „Synów Ciemności”, jak ich nazywacie. Po wyglądzie, czy jak?

- Były takiego samego kształtu jak te, które zaatakowały nas uprzednio. Nie wiedzieliśmy - czy raczej nasi przodkowie, stanowiący załogę statku nie wiedzieli - w jaki sposób trafili na nasz trop. Statek kosmiczny nie zostawia śladów. Tak przynajmniej sądziliśmy. Być może jednak Synowie Ciemności mieli bardziej rozwiniętą technikę, niż się nam zdawało. Poza tym musieli już dysponować statkami międzygwiazdowymi w czasie, gdy odwiedziliśmy ich system, choć żadnego nie zauważyliśmy. Tak czy inaczej... statek Krszów z ziemskimi „gośćmi” na pokładzie startł się z nieprzyjacielem sto tysięcy mil od Marsa. Bitwa była krótka, lecz zacięta. Szczątki floty napastników pomknęły w kierunku Słońca, ale statek Krszów również został ciężko uszkodzony. Jedyne ocalały silnik pozwolił wziąć kurs na Marsa i rozbić się na jego powierzchni. Na szczęście załoga i pasażerowie nie odnieśli obrażeń. Statku



jednak nie sposób już było naprawić. Również mniejszy ładownik uległ zniszczeniu.

Marsonauci obejrzeni obrazy przedstawiające lot i katastrofę oraz późniejszą walkę o przeżycie. Za pomocą prostego podręcznego sprzętu Krsze wydrążyli w skale miejsce na tymczasową bazę. Ze skał uzyskiwali tlen i pożywienie. W miarę upływu lat jaskinie rozrastały się, tworząc wreszcie wielki podziemny kompleks.

I choć historia ta wydawała się Orme'owi interesująca, to pragnął on jednak wrócić czym prędzej do sprawy Macieja. Odczuwał nabożny lęk. Apostoła naprawdę przebywał z tymi ludźmi. I, jak pokazywały hologramy Hfathona, został pochowany niedaleko, w skale.

Kamera zrobiła najazd w głąb cmentarza, ukazując groby pierwszych mieszkańców. Na nagrobkach widniały napisy hebrajskie, greckie, łacińskie, w języku *krsz*, ideogramy pisma chińskiego oraz coś, co, jak przypuszczał, było hieroglifami Majów.

Gdy kamera przesunęła się w stronę późniejszych grobów, wszystkie napisy stały się hebrajskie. Nagrobki były jednakowych rozmiarów. Tego wymagało prawo. Zgodnie z obyczajem hebrajskim wszyscy byli sobie równi wobec śmierci - święci i grzesznicy, bogaci i biedni, młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety i dzieci.

Bronski przetłumaczył jedną z nagrobnych inskrypcji:

- Mattathias bar Hamath. Daty są podane zgodnie z chronologią hebrajską i odpowiadają latom 2 i 149 naszej ery.

W pobliżu miejsca pochówku apostoła znajdowało się dziesięć innych, na które wskazał Hfathon.

- To są nagrobki towarzyszy Macieja, czy raczej jego uczniów. Wszyscy byli chorzy w momencie, gdy zabieraliśmy ich z Ziemi. Byli oni libijskimi Żydami, których Maciej przekonał, że Jezus naprawdę był Mesjaszem. Maciej wraz z dziesiątką swoich uczniów nawrócił wszystkich pozostałych ludzi, lecz nam, Krszom, jeszcze nie dane było wówczas ujrzeć światła. Większość z nas była agnostykami lub ateistami, choć niektórzy wciąż spełniali religijne obrządki swoich przodków. Nie sprzeciwialiśmy się, gdy Maciej podporządkował wszystkich swych ludzi Prawu Mojżesza, choć w swej ignorancji nie widzieliśmy w niektórych z jego przepisów nic prócz bezsensownego okrucieństwa.

Orme nie mógł już dłużej wytrzymać. Zerwał się na równe nogi i zawołał:

- Co odmieniło wasze serca?

- Mesjasz objawił się nam we własnej osobie. Uczynił wtedy to, co przekonało nas na wieki.

## 9.

Filemon Żbeszg Mosze ben Jonathan był młodym, trzydziestopięcioletnim mężczyzną.

Był z niego dandys co się zowie - pejsy miał ufarbowane na fioletowo, w uszach wielkie srebrne kolczyki w kształcie monet, a na plecach tęczyowy płaszcz. Starsi krewni uważali taki sposób noszenia się za skandaliczny. Jego ozdobne koturny i pomalowane na szkarłatny kolor paznokcie u nóg sprawiały, że czynili mu nieustannie wymówki. Wysłuchiwał ich w milczeniu, z pokorą, po czym wychodził na miasto, ubrany jak poprzednio. Podobnie postępowało gros młodych ludzi, czyli tych w wieku od dwudziestu dwóch do pięćdziesięciu lat. Wkładał na siebie to, co chciał, byleby w zgodzie z modą.

W przeciwieństwie do wielu swych rówieśników nie oddawał się jednak nadmiernemu picciu - jak określano spożycie więcej niż trzech szklaneczek wina dziennie. Ponieważ był sportowcem, pozwalał sobie tylko na jedną - przy kolacji.

Orme, który zdobył trzy złote medale olimpijskie (w biegu na 100 i 200 metrów oraz w skoku w dal), udał się na główny stadion, aby potrenować. Był, rzecz jasna, ciekaw, jakimi

sportowcami są Marsjanie. Spodziewał się, że dwa tysiące lat życia na planecie o przyciąganiu znacznie słabszym od ziemskiego doprowadziło do osłabienia ich mięśni. Był w błędzie. Tubylcy uprawiali skoki, biegi i zapasy z taką sprawnością, jakby urodzili się na Ziemi.

Orme polubił Filemona ze względu na jego otwarty sposób bycia. Ponadto zaintrygował go fakt, że był on mistrzem sprintu. Choć Kanadyjczyka mocno ograniczała słaba znajomość języka *krasz*, nawiązał z młodzieńcem rozmowę i po sześciu dniach od momentu, gdy się poznali, wyzwiał go na pojedynek.

Ku swemu zdumieniu i niezadowoleniu Orme przegrał na wszystkich dystansach o kilka metrów.

- No cóż, nie jestem w dobrej formie - powiedział, dysząc ciężko. - Potrzeba mi z pięć miesięcy treningu. Każdy krok ma tu pięć metrów długości. Co prawda, nie jestem już młodzieniaszkiem. Pewnie na Ziemi też byś mi dołożył. Trzydzieści pięć lat to jednak za dużo jak na sprintera. Ziemskiego sprintera. Nie jestem też przyzwyczajony do biegania boso... - przerwał i po chwili dodał z uśmiechem: - Ciekawe, czy potrafię wymyślić jeszcze jakieś usprawiedliwienia.

Wtedy właśnie Filemon powiedział mu, że ma tyle samo lat, co on.

- Tak, ale ja nie brałem leków opóźniających proces starzenia się. Idę o zakład, że pod względem fizjologicznym masz najwyżej dziewiętnaście lat.

- Dlaczego nie poprosiłeś, aby dano ci te leki? - zapytał Filemon.

- Uważałem za oczywiste, że mi odmówią - odrzekł zaskoczony Orme. - Ostatecznie jestem tu obcy.

- Poproś Hfathona. To nic nie zaszkodzi.

Wieczorem Orme powtórzył wszystko swym towarzyszom. Postanowili rano zwrócić się do Hfathona z odpowiednią prośbą. Bronski zadał Orme'owi wiele pytań dotyczących tego, co widział na stadionie. W końcu Orme zapytał go:

- Dlaczego tak nagle zainteresowałeś się sportem? Zawsze myślałem, że cię to nudzi.

- Zdziwiło mnie to, ponieważ starożytni Hebrajczycy nie znosili igrzysk i w ogóle nie byli zainteresowani sportem. Utożsamiali igrzyska z pogaństwem - Grecją i Rzymem. Jednakże poglądy zmieniają się z czasem. Ostatecznie współcześni Izraelczycy są bardzo usportowieni. Ortodoksyjni żydzi stanowią w Izraelu mniejszość.

Rankiem, gdy przybyli nauczyciele i wymieniono pozdrowienia, Orme przedstawił swoją prośbę.

Hfathon milczał przez minutę z rękami złożonymi jak do modlitwy. W końcu oświadczył:

- Tak, wiedzieliśmy, że o to poprosicie. Odbyliśmy wczoraj wieczorem naradę na ten temat. Nie trwała długo. Uznaliśmy, że nie możemy w tej chwili podać wam leku.

Hfathon sprawiał wrażenie, jakby to zamykało sprawę, lecz Orme nie dawał za wygraną:

- Dlaczego?

- A dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- To byłoby humanitarne.

- Czyżby? Wciąż wiemy o was niewiele. Skąd możemy mieć pewność, że ostateczne efekty nie byłyby negatywne?

- Negatywne? - odezwała się Madeleine. - Czy chodzi ci o to, że mogłoby nam to zaszkodzić, ponieważ nasz metabolizm jest inny od waszego? Czy też o to, że mógłby wywrzeć destrukcyjny wpływ na nasze społeczeństwo?

- Tak czy inaczej - dodał Nadir - w jaki sposób podanie go wyłącznie nam mogłoby wywrzeć zły wpływ na mieszkańców Ziemi?

- Najpierw odpowiem na twoje drugie pytanie, Medeleine. Mogłoby to spowodować zaburzenie w ziemskim społeczeństwie. To byłoby złe. Zauważyłem, że starsz się unikać

takich określeń, jak „zło” i „grzech” lub dyskredytować je. Czy nie wierzysz w istnienie tych zjawisk?

Hfathon znakomicie potrafił zmienić niewygodny dla siebie temat.

- Wolę używać określeń naukowych - odrzekła Madeleine.

- Istnieje więcej niż jeden rodzaj nauki. Istnieje też wiedza, która wykracza poza naukę. Nie będziemy się jednak teraz o to sprzeczać. Odpowiem także na twoje pytanie, Nadir. Gdybyśmy podali ci ten lek, a potem wróciłbyś na Ziemię, wasi uczeni mogliby odkryć jego skład, dokonując analizy twojej krwi. Niemniej z tego, co wiem o stopniu zaawansowania waszej nauki, sądzę, że podobny lek, choć - oczywiście - nie tak skuteczny jak nasz, jest już na Ziemi znany. Jednakże z jakiegoś powodu, być może zbliżonego do tych, dla których my go wam na razie nie podajemy, faktu tego nie podano do wiadomości publicznej.

Ornie zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu sprzeczać się z Marsjanami, ani też ich błagać.

- No dobrze - powiedział. - Rozumiecie jednak, dlaczego go pragniemy?

Hfathon uśmiechnął się:

- Rozumiemy doskonale. Muszę dodać, że odstawimy wam także pigułki przyspieszające naukę. Próbkę krwi, które pobraliśmy wczoraj, wykazują, że niebawem mogą wystąpić efekty uboczne.

- Co za efekty uboczne? - zapytała Madeleine. - Niczego nie zauważyłam.

- Nie mogłaś nic zauważyć przed ich wystąpieniem, a mogłoby to mieć miejsce za około trzy dni. Możecie natomiast doznać pewnych zaburzeń w związku z ich odstawieniem. Wrażenie, że w sąsiednim pokoju są ludzie, podczas gdy nikogo tam nie ma i różne inne objawy paranoidalne. Zrozumcie, że zgodnie z tym, co powiedzieliście o Ziemianach, wielu z nich nie stosowałoby tabletek zgodnie z naszymi wskazaniem. Ludzie głupi i przestępcy mogliby ich nadużywać.

- Oczywiście tu nikt ich nie nadużywa? - odrzekła rozgniewana Danton.

- Nikt

Nie odpowiedziała, lecz było widać, że jest wściekła. Orme również miał pretensje do Hfathona. Czuł się tak, jakby czyniono mu niesprawiedliwe wyrzuty. Musiał jednak przyznać, że Krsz miał rację.

Po południu na stadionie usiłował subtelnie wyciągnąć od Filemona informację na temat tuneli prowadzących na powierzchnię. Tamten jednak nie wpadł w żadną ze słownych pułapek, które zastawił Orme. Nie sprawiał wrażenia, że wie, o co Orme'owi chodzi. Unikał po prostu tematu, ku któremu tamten go popychał. Chciał rozmawiać o sporcie na Ziemi. Kanadyjczyk zadawał sobie pytanie, czy był on istotnie taki prostoduszny, na jakiego wyglądał. Skąd, na przykład, Hfathon wiedział, że Orme poruszy sprawę leku? Czy Filemon powtórzył wieczorem to wszystko, co usłyszał od niego po południu?

A może Marsjanin miał ze sobą nadajnik? Krsz stwierdził pewnego razu, że nawet gdy Ziemianie odzyskają wolność, nie będą pozostawieni samym sobie. Orme spodziewał się, że zostanie mu przydzielony przewodnik. Tak się jednak nie stało. Po upływie pierwszego tygodnia mógł chodzić gdzie tylko chciał bez towarzystwa. Z pozostałą trójką było tak samo.

W jaki sposób kontrolowano ich poczynania na odległość. A może Marsjanie zbierali informacje od tych, którzy z nimi rozmawiali? Jeśli chodzi o inwigilację wizualną, można ją było prowadzić za pomocą kamer ukrytych w sklepieniu jaskini. Gdy wchodzili do budynków, znajdujące się tam telewizory, choć ich ekrany nie świeciły, mogły służyć jako kamery. Niewykluczone również, że Marsjanie wszczepili do ciał więźniów audiomonitory.

Orme zadawał sobie niekiedy pytanie, czy aby nie dają o sobie znać efekty uboczne po odstawieniu pigułek *Wtyk Straszny*. Czyżby były to objawy paranoi?

Pewnego dnia, około godziny trzynastej, Orme zmęczony się lekturą książki na temat dyferencjalnego napędu fotonowego. Następnie przeszedł do działu humanistycznego i przejrzał

katalog literatury pięknej, zawierający wiele tytułów z zakresu poezji. Co najmniej połowa miała charakter religijny. Uznał jednak, że nawet gdyby znał język lepiej, trudno by mu było zrozumieć poezję z powodu jej skondensowania, nadmiaru niejasnych aluzji oraz kalamburów.

Metrum poezji w języku krsz oparte było na iloczasiu, a nie na akcencie, podobnie jak w klasycznej poezji greckiej i łacińskiej. Ponadto często stosowano aliteracje i paralelizm. Ten ostatni, jak wyjaśnił mu specjalista, został zapożyczony z poezji hebrajskiej.

Orme postanowił wreszcie wrócić do domu i tam kontynuować czytanie *Testamentu Macieja*, jednakże po drodze zmienił zdanie. Dlaczego nie pożyczył samochodu i nie przejechał się trochę? Jeśli władze mają coś przeciwko temu, zdążą go o tym powiadomić.

Na miejskim parkingu nie było strażników. Dwanaście kabrioletów stało w dwóch równych rzędach na kamiennej nawierzchni. Wsiadł do jednego z nich i nacisnął starter, uruchamiając silnik. Nie było kluczyków, ponieważ prywatne osoby nie mogły posiadać samochodów. Wszystkie były własnością lokalnej społeczności albo rządu. Gdy ktoś potrzebował samochodu, po prostu wsiadał do niego i odjeżdżał. Ciężarówek było bardzo niewiele, ponieważ rolnicy używali wozów konnych, a towary transportowano w napędzanych pneumatycznie kapsułach, poruszających się podziemnymi tunelami.

Ulice pokrywała gruba nawierzchnia przypominająca gumę, po której przyjemnie było jechać, zresztą chodzić też.

Orme wyprowadził samochód na ulicę, sterując nim ręcznie. Mógł podać ustnie miejsce przeznaczenia komputerowi i usiąść, czekając spokojnie, aż pojazd zawiezie go tam najkrótszą trasą. Lecz tylko nieliczni korzystali z automatycznego kierowcy, prowadzenie samochodu było uważane za przyjemne zajęcie.

Jadąc z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę - prędkość maksymalna wynosiła pięćdziesiąt pięć - Orme skierował się w stronę głównej arterii, która miejską obwodnicą prowadziła na otwartą przestrzeń. Nie było żadnych świateł, znaków drogowych, drogowskazów, ani nawet tabliczek z nazwami ulic. Zakładano, że każdy obywatel zna okolicę, w której mieszka. Jeśli był przybyszem skądinąd, mógł odnaleźć dom poszukiwanej osoby, zapytując innego obywatela lub komputer. Nie istniała też poczta. Ludzie porozumiewali się i przekazywali różne dane za pomocą odbiorników telewizyjnych.

Orme dowiedział się już, że jaskinia, w której mieszka, jest najstarsza. Gdy skontaktował się z rządowym biurem informacyjnym, pokazano mu mapę wszystkich jaskiń i tuneli. Niewątpliwie jego prośba została zarejestrowana, lecz nikt nie wspomniał o tym ani słowem, jak również nie odmówiono mu żadnej informacji. Nie pytał o to, gdzie znajduje się wejście do tuneli prowadzących na powierzchnię. Miał nadzieję dociec tego sam.

Po piętnastu minutach przyjemnej jazdy, wolnej od kurzu i zgiełku klaksonów, minąwszy przez cały ten czas zaledwie kilka samochodów, musiał zwolnić do piętnastu kilometrów na godzinę, ponieważ droga wiodła przez małe miasteczko. Największą budowlę stanowiła kupa wysoka na sześć metrów, mniej więcej średnicy dziewięćdziesięciu. Okazało się, że był to dach podziemnego elewatora, w którym zbierano zboże pochodzące z okolicznych pól.

Orme zwolnił jeszcze bardziej, aby ominąć małe dzieci grające w coś, co przypominało hokej. Przerwały zabawę, aby przyjrzeć się czarnoskóremu człowiekowi. Uśmiechnął się do nich. Niektóre z nich odpowiedziały mu uśmiechem. Nagle podbiegła do niego kobieta z wielką skórzaną torbą i zawołała, żeby się zatrzymał. Zrobił to, zastanawiając się, czego może chcieć.

- Czy jedziesz do Jiszub? - zapytała.

- Nie wiem. Gdzie to jest?

- Około dziesięciu kilometrów stąd. Prosto, tą drogą. Muszę się tam dostać, a wszystkie samochody są zabrane. Poszłabym na piechotę, ale nie zdążę.

- Jadę w tamtą stronę. Wsiadaj.

Rzuciła torbę na tylne siedzenie i usiadła przy nim.

- Jestem Gulthilo Ribhka bat Jiszak. Oczywiście wiem, kim jesteś. Richard Orme, Ziemianin.

Była ładna. Kilka cali wyższa od niego, miała duży biust, szczupłe kostki, żółte kręcone włosy i ciemnoniebieskie oczy. Nie zdziwiło go jej gockie imię, oznaczające „Złocista”, ponieważ wiedział, że niektórzy z Ziemian sprowadzonych na Marsa pochodzili z Europy Północnej. To tłumaczyło takie imiona jak Fauho, Rautha, Swiglja i Haurnja.

Nie zdziwił go też fakt, że napotkał blondynkę. Choć większość ludzi mieszkających na Marsie była śniada i reprezentowała typ śródziemnomorski, zdarzali się też tacy, którzy mieli niebieskie bądź zielone oczy oraz włosy rude lub blond. Nie były one jednak naturalne. Niektórzy z przodków Marsjan mogli być blondynami, lecz geny odpowiedzialne za jasną barwę włosów zostały zdominowane w ciągu wielu pokoleń przez te bardziej powszechne. Jednakże, od czasu do czasu, rodzice chcieli, dla urozmaicenia, mieć dziecko o jaśniejszej karnacji i wówczas bioinżynierowie czynili zadość ich życzeniu, dokonując manipulacji genetycznych. W ten sposób Gulthilo przypominała swą odległą prababkę, której zawdzięczała również swoje imię.

Ruszył naprzód.

- Czym się zajmujesz? - zapytał.

- Uczę gry na flecie na farmach i w kilku miasteczkach. Zwykle, jeśli nie znajdę samochodu, jadę na rowerze. Jednak dziś rano mój rower się zepsuł, a wszyscy wokoło potrzebowali swoich i żadnego nie udało mi się pożyczyć. Na szczęście zjawiał się ty. Cieszę się z tego bardzo, ponieważ jest to być może jedyna okazja, żeby porozmawiać z którymś z was.

Jej opowieść brzmiała przekonująco, choć wydawało się dziwne, żeby od nikogo nie można było pożyczyć roweru. Chyba że mieszkańcy potrzebowali ich w związku z jakimś nadzwyczajnym wydarzeniem. Orme zaczynał podejrzewać, że dziewczyna została podstawiona. Może władze liczyły na to, że będzie mniej ostrożny w rozmowie z - jak miał sądzić - przypadkowo spotkaną osobą.

To nie paranoja, powtarzał sobie. Moje podejrzania mają realne podstawy. Być może jednak wyrządzam jej krzywdę.

- Dokąd jedziesz? - zapytała bez ogródek, z otwartością charakterystyczną dla tubylców. Podobnie jak dzieci, nie obawiali się obcych, nawet tych z innej planety.

- Po prostu przed siebie. Podziwiam piękno krajobrazu. Chciałem wreszcie zobaczyć coś innego. Mam dość uniwersytetu. Liczyłem, że się odprężę.

- Jesteś żonaty?

Choć przyzwyczał się już do bezpośredniości Marsjan, to pytanie zdumiało go.

- Byłem, ale żona rozwiodła się ze mną - odpowiedział.

- Niedawno był w telewizji program o was, Ziemianach. Widziałeś go? Nie? No więc komentator powiedział, że u was jest dużo rozwodów. Można dostać rozwód z byle powodu albo w ogóle bez powodu. To wydaje się dziwne. Tutaj tylko niewiara, cudzołóstwo, okrucieństwo albo całkowita niezgodność charakterów mogą być przyczyną rozwodu. Kiedyś mogła być nią jeszcze bezpłodność, ale teraz wszyscy są płodni. Oczywiście wszyscy też wierzą w Mesjasza, co jednak nie powstrzymuje nielicznych, złych ludzi od sprzeciwiania się mu potajemnie.

A więc nawet tutaj istnieli dysydenci.

- Kiedy moja żona wyszła za mnie, wiedziała, że pragnę tylko jednego: zostać astronautą... podróżnikiem kosmicznym. Gdy jednak o mały włos nie uległem wypadkowi, nie ustawała w wysiłkach, aby nakłonić mnie do rezygnacji z tego zawodu i znalezienia sobie bezpieczniejszej pracy. Dlatego się rozstaliśmy.

- A może jesteś zaręczony?

Uśmiechnął się i zapytał:

- A czy ty jesteś zamężna lub zaręczona?

- Nie. Mój mąż, w chwili gdy za niego wyszłam, miał dwieście czterdzieści lat. Umarł wkrótce po tym, gdy najmłodsze z naszych dzieci poszło na uniwersytet. To było dwa lata temu. Kilkunastu mężczyzn stara się o moją rękę, ale nie podjęłam jeszcze decyzji. Poza tym raczej cieszę mnie to, że jestem wolna od małżeńskich obowiązków. Można powiedzieć, że jestem na urlopie.

Orme był ciekaw, jak się czuje człowiek, który wie, że jego ojciec miał już dwieście lat, zanim on przyszedł na świat. Jeśli był Marsjaninem, prawdopodobnie nie widział w tym nic dziwnego.

Był zachwycony swą pasażerką. Choć suknię miała zapiętą pod szyją i sięgającą aż do kostek, tkanina była na tyle cienka, że zdawała się uwydatniać jej bujne kształty oraz długie nogi. Twarz miała również zmysłową: pełne wargi, lekko zakrzywiony, lecz subtelny nos, gęste czarne brwi, delikatna jedwabista skóra, niebieskie lśniące oczy. Orme westchnął. Nigdy nie będzie należała do niego, nawet przez chwilę.

W końcu, gdy mijali farmę, rzekł:

- Dwa lata bez mężczyzny to dość długo, nie sądzisz?

Powiedziawszy to, spojrzął na nią i zauważył, że się zarumieniła. „Posunąłem się za daleko - pomyślał. - Kto by się spodziewał!” Od dzieciństwa nie widział ani razu, żeby kobieta się czerwieniła.

- A ty jak długo jesteś bez kobiety? - zapytała. - Sześć miesięcy? Czy to dużo?

- Nie można powiedzieć, żeby to była wieczność - odparł wesoło.

Milczała przez chwilę, po czym rzekła cicho:

- Zatrzymaj się przy tym drzewie.

Spojrzął na nią, lecz nic nie powiedział. Zatrzymawszy samochód, zorientował się, że drzewo i pole wysokich *szeszunit* - roślin przypominających słoneczniki - zasłaniało ich ze wszystkich stron, z wyjątkiem drogi, którą przyjechali i którą przez ostatnie pięć minut nikt nie przechodził. Przysunęła się do niego. Na nogach poczuł dotyk jej ud.

- Nie zrozum mnie źle - powiedziała z uśmiechem. - Naprawdę tego pragnę.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i wpiła się wargami w jego usta. Po chwili jej język wcisnął się do środka, stykając się z jego językiem.

„To nie może być prawda” - pomyślał.

Niemniej jednak, wszystko działo się realnie.

Pozwoliła mu dotknąć swojej piersi, lecz gdy próbował rozpiąć jej szatę, cofnęła się. Oboje dyszeli ciężko.

- Chciałam tylko zobaczyć, jak to jest, gdy całuje się Ziemiańska - powiedziała. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów. - Byłam też ciekawa tego. Jest takie dziwne w dotyku. Ale przyjemne.

- Może przyniesie ci szczęście - odrzekł. - W dawnych czasach biali ludzie zwykli dotykać wełnistej czupryny Murzyna na szczęście.

- To dziwne.

- No i jak ci się podobało całowanie Ziemiańska?

- Bardzo podniecające. Aż za bardzo. Nie zapominaj, że od dwóch lat nie całowałam nikogo, z wyjątkiem moich krewnych. Robię się bardzo namiętna. Zwracano mi też uwagę, że jestem zbyt śmiała. Nie jestem jednak złą kobietą. Po prostu nie mogłam nad sobą zapanować.

- Ja nigdy jeszcze nie całowałam Marsjanki - oznajmił Orme. Po chwili dodał: - Moglibyśmy pójść na pole.

Zaczerwieniła się ponownie, lecz w chwilę potem uśmiechnęła się.

- Gdybyśmy to uczynili, musielibyśmy wziąć ślub.

- Nie powiedziałbym nikomu.

- Ale ja bym wiedziała. Zresztą nie jestem w tobie zakochana. Przepraszam cię. Nie powinnam była tego robić. Tylko że...

- Nie przepraszaj. Było cudownie. Mam jednak nadzieję, że nie podpuszczasz innych mężczyzn w ten sposób. Któryś z nich mógłby cię zgwałcić.

- Tylko zły człowiek uczyniłby coś takiego. Poza tym trafiłby za to do Szeolu.

- Gdzie to jest?

Zadrzała.

- Nie chcę o tym mówić. Jedźmy, proszę.

- Jak sobie życzysz.

Po chwili namysłu powiedział:

- To jest niewątpliwie najbardziej moralne społeczeństwo w Układzie Słonecznym. Przynajmniej najściślej przestrzegające norm. Jednak natura ludzka musi być wszędzie taka sama. Jaki procent panien młodych jest tutaj w ciąży w chwili ślubu?

Roześmiała się.

- Ocenia się, że mniej więcej jedna czwarta. Jednak żadna kobieta nie zostaje okryta hańbą. Winny mężczyzna nigdy jej nie odrzuca. Nie ośmieliłby się.

- Przypuszczam, że jest to powodem wielu nieszczęśliwych małżeństw.

- Dlaczego miałyby tak być?

Nie potrafi w tej chwili na to odpowiedzieć. Będzie musiał znacznie lepiej poznać poglądy tych ludzi, zanim wda się w jakikolwiek spór. Było oczywiste, że tutejsze warunki były na ogół, a nawet przeważnie, zupełnie inne, aniżeli ziemskie.

Gulthilo wskazała na gorejącą kulę.

- Jemu by się to nie spodobało.

- Aha, jemu! Ale dlaczego strach przed nim miałby prowadzić do szczęścia?

- Kochamy go - odparła. - Oddawalibyśmy mu cześć boską, gdyby nam pozwolił. Wciąż jednak powtarza, że to nie on jest Miłosiernym.

Orme postanowił zmienić temat. Cała ta gadanina, choć przyniosła wiele informacji, nie przybliżała go do celu. Skoro ta kobieta była tak bezpośrednia, dlaczego on nie miałby zachować się podobnie? Być może zyska coś przez zaskoczenie.

- Tak przy okazji, powiedz mi, gdzie zaczyna się wejście do tuneli prowadzących do statku kosmicznego? - zapytał.

- Tam.

Wskazała na błękitną ścianę jaskini. Podążył wzrokiem za niewidzialnym przedłużeniem jej palca, nie dostrzegł jednak nic szczególnego.

- Jeśli pojedziesz drogą, która biegnie równolegle do tej, jakieś osiem kilometrów stąd, a potem skierujesz się prosto w stronę ściany, to dotrzesz do traktu wspinającego się w górę. Następnie trafisz na półkę skalną, na której stoi niewielki budynek pomalowany w niebiesko-czerwone pasy. Z tyłu, za nim, jest wejście.

To było tak łatwe. Być może za łatwe.

- Czy to wartownia?

- Nie. Po co mieliby tam być strażnicy?

Czyżby go nabierała? A może naprawdę uważała, że Ziemianie byli skłonni do ucieczki w stopniu nie większym, niż tłusty wół pasący się na bujnej łące. Czy tutejsze władze sądziły podobnie?

- Jeśli zabłądzisz, możesz zapytać o drogę w wiosce Gamaliel. Zwolnij, proszę. Tu mieszka Wang ben Hebhel. Uczę jego syna i córkę.

Orme zawrócił na cementowym podjeździe w kształcie podkowy i zatrzymał się przed samym domem. Podobnie jak większość budynków mieszkalnych był on drewniany i miał siedem boków. W tej kulturze liczbie siedem przypisywano wielkie symboliczne znaczenie. Dom wznosił się na półtora piętra, a drewno, z którego go zbudowano, było, jak wiedział

Orme, bardzo twarde (pochodziło ze świata Krszów) i bardzo cienkie. Deski były ustawione pionowo. W ścianach osadzono liczne duże okna. Przypominający pagodę dach pomalowany był na czerwono. Kilka schodków prowadziło na jasnoniebieską werandę. Okap był bardzo szeroki ze względu na żydowską tradycję, która głosiła, że jeśli człowiek spadnie z dachu, jego krew nie powinna zbrukać ścian domu.

Wielkie zwierzę, przypominające czarnego wilka, lecz pochodzące ze świata Krszów, zerwało się z werandy i głośno zaświergotało. Po chwili dwoje dzieci w wieku dziesięciu i trzynastu lat wybiegło na zewnątrz. Szczupła ciemnoskóra kobieta, prawdziwa piękność, pojawiała się w kilka sekund później.

Widok Orme'a zaskoczył wszystkich troje. Gdy Gulthilo przedstawiła go - jak gdyby nie wiedzieli, kim był - uśmiechnęli się szeroko. Wyglądali na szczerze zachwyconych. Gulthilo podziękowała mu za podwiezienie, spoglądając na niego z tajemniczym wyrazem twarzy. Zrozumiał, że musi się pożegnać. Zanim jednak zdążył zrobić krok w stronę samochodu, zawołała:

- Poczekaj moment! - Po czym powiedziała coś szybko w języku *krsz* do kobiety imieniem Estera.

- Jesteś głodny? - zapytała Gulthilo.

- Nie jadłem jeszcze obiadu, ale...

- W takim razie zapraszamy cię na obiad. Nie odmawiaj, proszę...

- Wspólnie z wami?

- Tak. Estera właśnie oglądała telewizję. Podano, iż Rada zdecydowała, że wolno wam jeść z nami przy jednym stole. Nie możecie już spożywać nieczystych pokarmów, ponieważ wasze zapasy się skończyły. Rzecz jasna dotyczy to tylko powszednich posiłków. W dni świąteczne nadal będziecie jeść osobno. Musicie przestrzegać zasad.

- Przyznaję, że niezbyt przyjemnie jest czuć się jak parias - odrzekł Orme.

Podziękował jej i przestąpił próg szerokich drzwi. Na framugach znajdowały się mezuzy - małe pudełka zawierające święte księgi. Jedyne mieszkania na Marsie, w których ich nie powieszono, zajmowali Ziemianie.

Pierwszy z pokoi był wysoki i przestronny. Deski ścian były na przemian koloru białego i jasnoniebieskiego. Z sufitu zwisały trzy żyrandole z ciętego kwarcu. W każdym z nich znajdowało się sześć ogromnych żarówek. Jediną ozdobę ściany stanowiły dwa wielkie i bardzo płaskie teleekrany oraz olbrzymia włócznia zawieszona na wspornikach. Zgodnie ze starodawnym zwyczajem Krszów ojciec wręczał uroczyście włócznię synowi w chwili, gdy ten się żenił. Ludzie przejęli ów zwyczaj mniej więcej w czasie, gdy wydrążono szóstą jaskinię.

Podłoga wykonana była z mahoniu. Gdzieniedzie zdobyły ją dywaniki w jasne wzory. Całość uzupełniały meble: olbrzymi stół zajmujący środek pokoju, pięć sof, kilka małych stolików, pulpit i wielkie biurko, które miało na każdym z rogów wysokie okrągłe słupki, wyrzeźbione w sześcioramienne gwiazdy i wzory kwiatowe.

Z pokoju wychodziło się bezpośrednio na patio, pokryte wypolerowanymi granitowymi płytkami. W centralnym punkcie znajdował się duży siedmiokątny basen. Pośrodku z otworów wyrastały drzewa o rozłożystych konarach, wysokie na pięć, sześć metrów. Podobne do kanarków żółte i szkarłatne ptaszki ćwierkały wśród gałęzi, podskubując fioletowe owoce, wielkością i kształtem zbliżone do gruszki.

W jednym z kątów stała kotka, ubarwieniem przypominająca lwicę. Obserwowała trzy bawiące się kocięta. Jej spiczaste uszy, mordka oraz wielkie zielone oczy przywoływały na myśl rysia.

Estera zaprowadziła ich na drugą stronę patio. W korytarzu wskazano Orme'owi obszerną łazienkę. Zamknął drzwi, załatwił potrzebę fizjologiczną, a następnie umył twarz i ręce. Wanna - tak wielka, że mogło się w niej wygodnie pomieścić troje ludzi - była wykuta w



bloku lśniącego czarnego bazaltu.

Gdy powrócił do towarzystwa, zaprowadzono go do olbrzymiej kuchni z piecem tak wielkim, że można by upiec w nim cielaka. Nie wyglądało jednak na to, aby często go używano. Na jednej ze ścian znajdowały się półki z nożami, piłami, tasakami i przyborami stołowymi. Na innych umieszczono talerze i garnki. Przy zlewie stał pieńek do krojenia mięsa. Jeden z rogów zajmowała duża elektryczna kuchenka oraz mikrofalowy piekarnik. Była tam również zmywarka do naczyń, dwie wysokie lodówki i - na samym środku - stół tak wielki, że mogło przy nim zasiąść dwadzieścia osób. Nakryto go jednak tylko dla sześciu.

Estera krzątała się wkoło, ustawiając na stole półmiski z jedzeniem i wazy z owocami. Dziewczynka pomagała jej, lecz syn stał nieruchomo, gapiąc się na Orme'a. W końcu matka wysłała go do piwnicy, do której włąz znajdował się w jednym z kątów pomieszczenia. Po minucie chłopiec wrócił stamtąd, niosąc dwie wielkie butelki wina. W tej samej chwili wszedł do pomieszczenia Wang Elkana ben Hebhel - głowa rodziny. Gulthilo przedstawiła mu Orme'a. Ukłonili się sobie nawzajem. Gospodarz był najwyraźniej zaciekawiony widokiem tej wręcz baśniowej istoty - czarnoskórego Ziemianina. Przyglądał się mu w sposób, który na Ziemi uznano by za nieuprzejmy. Tutaj jednak takie zachowanie świadczyło o dobrych manierach.

Ben Hebhel wrócił właśnie z pola, gdzie sprawdzał, jak rośnie jęczmień. Umył się pośpiesznie i zdjął ubranie robocze, zastępując je czystym białym strojem. Jego kapelusz, przypominający kowbojskie sombrero, był także koloru białego. Na ramiona zarzucił tańs - srebrzystą chustę modlitewną. Chłopiec wybiegł z pokoju. Po chwili wrócił, przynosząc takie same chusty dla wszystkich członków rodziny, jak również dla Orme'a.

- Nie jesteś naszej wiary, jak dotąd - powiedziała Gulthilo - lecz Rada zdecydowała, że możesz się modlić razem z nami, jeśli sobie zyczysz. Tylko ta kobieta, Danton, nie może brać udziału w modlitwach, dopóki pozostanie ateistką.

- Chętnie pomodlę się z wami - odparł Orme.

Tu jednak formułę dziękczynienia i błogosławieństwa wypowiadano po posiłku.

Zaczęli jeść smakowitą zupę jarzynową, czarny chleb, sałatę oraz ser. Na Marsie obiad był lekkim posiłkiem. Nie podano na stół mięsa, nie trzeba więc było uważać, aby nie zetknęło się ono z produktami nieczystymi.

Orme musiał odpowiadać na mnóstwo pytań zadawanych głównie przez dzieci. Przy pomocy Gulthilo robił to najlepiej, jak potrafił. Raz nawet zacytował Nowy Testament: „To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu” \*.

- A więc znasz tę wypowiedź Mesjasza - stwierdził Wang. - To znaczy, że czytałeś *Testament Macieja*?

Orme wyjaśnił, że na Ziemi zachowały się świadectwa innych uczniów Jezui. Zebrano je w księgę tworzącą ciąg dalszy tego, co Ziemianie nazywali Starym Testamentem - do świętej księgi Żydów staro- i nowożytnych oraz chrześcijan.

- Tak, słyszeliśmy o tym - powiedziała Gulthilo. - Za dwa tygodnie zostanie nadany pierwszy z programów, które przedstawią nam historię wyznawców Mesjasza od chwili, gdy prorok Maciej opuścił Ziemię.

Głównym źródłem informacji dla twórców tej serii był Bronski, choć i Orme dostarczył tyle danych, ile tylko mógł. Nie był jednak z siebie zadowolony, gdyż ujawniła się jego ignorancja w sprawach własnej religii. Wykształcony Żyd, Bronski, wiedział o niej znacznie więcej od niego.

- Wracając do *Testamentu Macieja* - ciągnął Wang. - Nie powiedziałaś, czy go czytałeś.

- Przeczytałem mniej więcej jedną czwartą - odrzekł Orme. - Idzie mi to ciężko, ponieważ nie znam jeszcze dobrze języka *krsz*. Chociaż muszę przyznać, że tekst jest napisany dość przejrzysto. Oryginału greckiego nie mógłbym w ogóle przeczytać.

\* Ewangelia według św. Marka (2.27) Cyt wg. Biblii Tysiąclecia, wyd. III.

- I czy ci autorzy Nowego Testamentu, jak ich nazywasz, zgadzają się z Maciejem?

Orme uśmiechnął się.

- No cóż, w niektórych fragmentach tak, a w innych nie. Na przykład Maciej nie mówi nic o narodzinach dziewicy, o Trójcy Świętej, rodowodzie Jezusa czy... wielu innych rzeczach.

Bronski, który zdążył już przeczytać *Testament Macieja* cztery razy, powiedział Orme'owi, że wszystkie księgi Nowego Testamentu zostały napisane wiele lat po ukrzyżowaniu Jezusa. Ponadto wiele z nich, zwłaszcza cztery Ewangelie, stały się niewątpliwie obiektem manipulacji.

Orme zaprzeczył temu, lecz Bronski, który był świetnym znawcą Biblii, cytował mu odpowiednie wersety i przytaczał obszernie komentarze.

- Mateusz, Marek, Łukasz i Jan nigdy nie słyszeli o narodzinach z dziewicy. Paweł nic o tym nie wspomina, a może się założyć, że gdyby o czymś takim słyszał, poświęciłby temu własny komentarz. Wszystkie wzmianki na ten temat w czterech Ewangeliach są niewątpliwie późniejszymi dodatkami, „nabożnymi” oszustwami. Ponadto z Ewangelii jasno wynika, że Jezus był Żydem, który uważał się za Mesjasza i Zbawiciela wyłącznie Żydów. Rozszerzenie wiary na gojów było głównie dziełem Pawła i Barnaby. Większość Żydów nie uznała Jezusa za Mesjasza, poczyniono więc pewne zmiany w Prawie Mojżeszowym, aby pozyskać gojów. Na przykład zrezygnowano z obrzezania i z zakazów dotyczących odżywiania się. Jeśli zaś chodzi o wiarę w narodziny dziewicy, była ona powszechna wśród pogan. Ich mity i legendy zawierały setki podobnych przykładów.

- Dlaczego nigdy nie słyszałem o tym wszystkim? - zapytał Orme.

- Dlatego że, podobnie jak większości chrześcijan, nie chciało ci się przeczytać dostępnej literatury. Rzecz jasna wielu ją czytało, lecz nie przyjęli oni odkryć uczonych do wiadomości. Zignorowali je, ponieważ ich wiara była ślepa. A jeśli nawet uwierzyli w nie, to dokonali ich racjonalizacji i stali się niezdecydowanymi liberalnymi chrześcijanami. Z drugiej strony fundamentaliści wierzą, że naprawdę istnieli Adam, Ewa i rajski ogród i że wąż skusił Ewę, aby zjadła owoc z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego, i że wąż został przeklęty, utracił swe kończyny i musi teraz pełzać na brzuchu po wieki. Cha! Cha!

Orme zdenerwował się i przestał w końcu spierać się z Bronskim.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że Maciej nie wiedział nic o zmartwychwstaniu Jezusa, choć słyszał plotki na ten temat. Jednakże jako trzynasty apostoł znał dobrze wszystkich, którzy byli bliscy Jezusowi, i żaden z nich nie twierdził, że widział Pana powstałego z grobu.

- A więc - oznajmił Bronski - relacje na ten temat w czterech Ewangeliach są sfalsyfikowane. Marek, Łukasz, Mateusz i Jan podają sprzeczne historie. Chrześcijańscy apologetyci napisali wiele książek usiłujących wytłumaczyć te sprzeczności. Żadna z nich nie jest przekonująca. Stanowią za to wspaniałe przykłady zdolności ludzkiego umysłu do wynajdowania interpretacji niewygodnych faktów. I to wszystko! Jedynym wnioskiem, jaki można z tego wysnuć, jest ten, że z Jezusa zostało zaledwie kilka zbutwiałych kości w jakimś kamiennym grobie lub zgoła proch. Są jednak niezbite dowody na to, że Jezus pojawił się nagle na Marsie na krótko przed tym, jak zaczęto drążyć jaskinie pod jego powierzchnią. Nie było go na statku Krszów, gdy startował on z Ziemi, a przynajmniej nie wykryto jego obecności na pokładzie. I nagle - bach! Pojawił się! Maciej, który znał go dobrze, rozpoznał go. Wtedy właśnie Jezus oznajmił, że zmarł na krzyżu i został pochowany, lecz - wbrew temu, co twierdzą Ewangelie - niektórzy z jego uczniów zabrali ciało z grobu i pochowali w innym miejscu. Wiesz, że ich wrogowie oskarżali ich o to. Niemniej twierdził ów Jezus, że jego duch został zabrany do nieba. Potem zaś Bóg skierował go z powrotem do świata materialnego, lecz nie na Ziemię. Bóg oświadczył mu, że się mylił - Jezus, nie Bóg, oczywiście - co do czasu i natury Dni Ostatnich. Został zatem wysłany w nowym ciele, które zresztą wyglądało tak samo jak stare, na Marsa, aby władał tam swoim ludem, przygotowując go do misji ustanowienia Królestwa Syjonu na

Ziemi. Co o tym wszystkim sądzisz?

Oszołomiony Orme mógł tylko odrzec, że nie ma w tej chwili nic do powiedzenia. Dodał jeszcze, iż ma wrażenie, że cała ta opowieść zalatuje nieświeżą rybą.

- Ryba była symbolem dla pierwszych chrześcijan - odrzekł Bronski.

Orme nie spytał go, co chciał przez to powiedzieć.

Od dnia owej rozmowy starał się przeczytać relację Macieja tak szybko, jak tylko pozwalała na to jego znajomość języka. Na razie dobrnął do fragmentu, w którym Maciej i jego uczniowie zapadli w Libii na dżumę i modlili się, aby Duch Boży wybawił ich od złego, podobnie jak uczynił to z narodem wybranym w czasach Mojżesza.

Pozostały czas na posiłek w domu Wangu uprzyjemniły opowiadane przez gospodarza dowcipy. Miał do tego wielki talent i Orme z chęcią spędziłby z nim cały dzień, rywalizując z nim w opowiadaniu kawałów.

Jednakże żaden z dowcipów nie był „świński”. To było zabronione.

W końcu Wang oświadczył, że musi wracać do pracy, a Gulthilo zabrać się do lekcji. Orme podziękował za obiad i wszedł do samochodu, podczas gdy pozostali zebrali się na ganku, aby go pożegnać i prosić, aby ich jeszcze kiedyś odwiedził.

Zanim Orme zdążył odjechać, Gulthilo podbiegła do niego i pochyliła się nad siedzeniem, dotykając nadgarstka mężczyzny.

- Może nie powinniśmy się spotykać - powiedziała. - Chciałabym jednak jeszcze kiedyś cię zobaczyć. Jeśli któregoś dnia będziesz przejeżdżał tą drogą, zapytaj o mnie w wiosce Nod. Możesz także skontaktować się ze mną przez teleekran.

- Chciałbym bardzo. Nie wiem jednak, czy władze mi w tym nie przeszkodzą. Poza tym, co powie twoja rodzina, gdy pomyśli, że się do ciebie zalecam?

- Będziemy się o to martwić później - odparła. Cofnęła dłoń, zostawiając na jego ręce ciepły, przyprowadzający o mrowienie ślad. - Reszta zależy od ciebie. Ja już i tak byłam zbyt śmiała.

Odjechał, nie oglądając się za siebie. Było to miłe doświadczenie, które w znacznym stopniu, choć na krótki czas, złagodziło jego poczucie wyobcowania. Poza chwilami, które spędzał w towarzystwie Filemona i pozostałych sportowców, dotkliwie dokuczała mu samotność. Jak to się mówi? „Obcy w obcym kraju”. Niekłamaną gościnność i przyjazne nastawienie tej rodziny oraz względy, jakimi obdarzyła go Gulthilo, sprawiły, iż poczuł się bardziej swojsko i bezpiecznie. Powtarzał sobie jednak, że to tylko złudzenie. Randki z tą blondynką mogły go drogo kosztować, zaś rodzina ben Hebhela okazała mu serdeczność, ponieważ prawdopodobnie wymagało tego od nich ich Prawo.

Nie, na pewno krzywdził ich, myśląc w ten sposób. Ich uprzejmość nie była wyłącznie formalna. Okazali mu autentyczne zainteresowanie. Oczywiście, mogło się tak dziać choćby dlatego, że stanowił dla nich atrakcję. Będą mieli się czym pochwalić przed przyjaciółmi.

Powtarzał sobie, że znów ma objawy paranoi. Dlaczego nie przyjąć, iż są szczerzy, dopóki nie znajdzie dowodów, że jest inaczej?

Wang podarował mu butelkę wina. Orme pociągał z niej co chwila. Gdy wreszcie dotarł do ściany jaskini, był na wpół pijany. Zdał sobie sprawę z tego, że doprowadzenie się do tego stanu było głupotą. Przecież, szukając wejścia do tunelu, musi być w pełni władz umysłowych. Zrozumiał wtedy, że pił wino dlatego, iż nie wierzył, aby ta próba mogła mu się powieść. Zachowanie przeciwnika było ostentacyjne, podejrzanie obojętne. Nie obchodziło ich, że Orme wszedł do samochodu i pojechał przed siebie, robiąc to, na co miał ochotę, i że mógł w końcu odnaleźć wejście do tunelu. Cały czas wiedzieli, gdzie się znajduje. Mogli go powstrzymać w każdej chwili.

Gdy skończył butelkę, zamiast nabrać odwagi i optymizmu, poczuł głęboki strach. Był idiotą, jeżeli sądził, że zdoła tak po prostu podjechać do miejsca, które umożliwiło mu ucieczkę, i wydostać się tamtędy. Żadni inteligentni ludzie - a Marsjanie byli inteligentni, mimo

że mieli dziwaczne przekonania religijne - nie pozostawiliby drogi, prowadzącej na zewnątrz, niestrzeżonej. Być może jednak zrobili to, aby dotarłszy na powierzchnię, przekonał się, że ładownik jest uszkodzony lub że go tam nie ma.

Mimo to pojechał drogą wiodącą ku górze kopuły. Do diabła! Powinien doprowadzić to do końca!

Zbliżał się do metalowych drzwi, dwojga masywnych drzwi, osadzonych w ścianie jaskini. Po jej prawej stronie widniała kopuła, lśniąca w przygasającym świetle późnego popołudnia. Wokół nie było nikogo. Czuli się tak pewnie, że nawet nie wystawili straży. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Przez minutę siedział spokojnie, nasłuchując i uważnie obserwując okolicę. Odwrócił się i spojrzał za siebie. Nikt nie nadjeżdżał jego śladem. Jedyнным pojazdem w zasięgu wzroku był wyładowany czymś wóz konny, znajdujący się w odległości kilkuset metrów.

„Najpewniej jakiś rolnik” - pomyślał.

Wokół zalegała cisza. Lekki wietrzyk owiewał mu twarz. Było to normalne zjawisko w tej olbrzymiej jaskini. Niekiedy na dachach domów lub kopułach spichlerzy, w strumieniu albo w rzeczce pojawiał się odblask światła. Jeden raz Orme dostrzegł intensywny błysk, jakby promienie odbiły się od lustra. Z gęstego lasu, rosnącego w pobliżu ściany jaskini, wybiegł jeleń rudej maści; rozejrzał się wkoło i z powrotem zniknął pomiędzy drzewami.

Było cicho i spokojnie. Niemniej jednak ten świat stanowił bombę zegarową, która mogła eksplodować... na Ziemi. Jakie plany snuli Marsjanie?

Orme wysiadł z samochodu i podszedł do kopuły. Wielkie okna były odemknięte, również drzwi stały otworem. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Gdy jednak zajrzał przez okno, ujrzał Krsza. Siedział za biurkiem i pisał coś piórem. Sprawiał wrażenie, jakby usłyszał Orme'a, choć ten nie wydał przecież żadnego dźwięku.

- Wejź, Richard - powiedział Hfathon. - Czekałem na ciebie.

## 10.

Orme wszedł do środka. Serce biło mu szybko. Usiadł na krześle, które wskazał mu Krsz. Hfathon pochylił się nad biurkiem i posłał przybytemu uśmiech. Nie umknęło uwagi kapitanowi, iż Marsjanin wygląda na bardzo zadowolonego z siebie, ale Krsz wskazał ręką tablicę rozdzielczą znajdującą się na ścianie.

- Przy jej użyciu można otworzyć drzwi do tunelu. Załóżmy, że potrafiłbyś tego dokonać. I co dalej? Wywołałoby to alarm w centralnym budynku rządowym oraz w całym kompleksie tuneli, gdzie cały czas stacjonują strażnicy. Nawet gdyby ich tam nie było, nie zdołałbyś otworzyć żadnych drzwi bez użycia kodowego sygnału dźwiękowego pochodzącego ze specjalnego urządzenia oraz bez pomocy dwóch nadzorców w budynku rządowym.

Orme wzruszył ramionami.

- Musiałem spróbować.

- Oczywiście. To był twój obowiązek. Zaslugujesz na pochwałę. Jestem jednak zdziwiony, a nawet rozczarowany, że twoim towarzyszom zabrakło podobnej odwagi i determinacji.

- Są przekonani, że ucieczka jest niemożliwa, więc nie wziąłem ich ze sobą. Zresztą są tak zafascynowani tym, czego nas uczyicie, iż nie myślę, aby naprawdę chcieli uciec. A przecież naszą powinnością jest powrócić na Ziemię, jak tylko nadarzy się okazja.

- Jakkolwiek, z innego punktu widzenia - odrzekł Hfathon - nie masz żadnych obowiązków wobec swojego państwa, jeśli ich spełnienie miałyby oznaczać wybór zła przed dobrem. Istnieje Ktoś większy niż państwa, czy nawet świat cały. Powinieneś być o tym pomyśleć. Gdybyś to uczynił, wiedziałbyś już, że należy pójść za Synami Światła, a nie Synami Cie-

mności. Im ofiarowałbyś swoją lojalność, gdybyś potrafił zrozumieć, że większość mieszkańców Ziemi, to Synowie Ciemności, wtedy...

- Dlaczego miałbym tak sądzić? - wybuchnął Orme.

- To oczywiste - odparł Hfathon. - Ty i twoi towarzysze powiedzieliście nam wiele o warunkach panujących na Ziemi. Jest jasne, że niesprawiedliwość, nędza, morderstwa, wszelkie wyobrażalne rodzaje zbrodni, a nade wszystko nienawiść, są tam zjawiskiem powszechnym. Macie środki, aby uczynić Ziemię podobną do raj, lecz używacie ich do złych celów. - Przerwał. Po chwili zaś dodał: - Zakładam oczywiście, że mówicie prawdę. Nie wyobrażam sobie, żebyście celowo przedstawili obraz swojej planety w tak czarnych barwach. Powiedz szczerze, czy nie jest tu znacznie lepiej, niż gdziekolwiek na Ziemi?

- Tak - odrzekł Orme - przyznaję, że to, co widziałem do tej pory, prezentuje się bez porównania lepiej. Macie tu jednak nieliczną społeczność, która nie jest poddana różnorodnym wpływom, jakie istnieją na Ziemi. Chodzi mi o to, że jesteście jednorodni. Nie macie różnych ras, narodów, języków, ideologii i religii. Nie macie też tysiąca rozmaitych, często sprzecznych ze sobą tradycji. Nie znacie również konfliktów pomiędzy klasami, rasami i systemami politycznymi. Pozbyliście się tego wszystkiego, tworząc zunifikowane pod względem politycznym, religijnym i ekonomicznym społeczeństwo. Uznaliście jedną tradycję za własną i kultywowaliście ją wolni od jakichkolwiek obcych wpływów. Uczyniliście to już dawno temu, a poza tym wasza wysoko rozwinięta nauka i technika zapewniły wam dobrodziejstwa, które dla nas, Ziemian, nie były wtedy dostępne.

- To prawda - zgodził się Hfathon - Tak więc... moglibyśmy udostępnić wam te dobrodziejstwa, których wciąż wam brak. Jednakże nie w charakterze darów, które w sposób nieunikniony wykorzystalibyście do złych celów.

- Chciałbym się napić wody.

Hfathon wstał z krzesła mówiąc:

- Pozwól, że ci podam. Jestem tu gospodarzem... Choć nie zapraszałem cię tutaj.

Udał się do sąsiedniego pomieszczenia i po chwili wrócił, niosąc w ręku wysoką szklankę.

- Proszę. To znacznie lepsze dla ciebie niż wino, którego dziś tak bardzo nadużyłeś.

Orme wypił wodę.

- Dziękuję - powiedział. - Zgadza się, trochę się zalałem. Napięcie było zbyt silne. Chciałem też uczcić to, że wyrwałem się na wolność choć na chwilę.

- Nie byłeś na wolności ani przez moment. Byłeś pod stałą obserwacją. Nie miałeś żadnej szansy uciec dokądkolwiek. W ogóle nigdy w swoim życiu nie zaznałeś wolności. Jedynym prawdziwie wolnym człowiekiem jest ten, kto wyswobodził się od zła. W połowie wolny jest ten, który stara się to osiągnąć.

- Daruj sobie te slogany.

- Może masz rację. Przykład jest skuteczniejszy niż słowa. „Po owocach poznacie je”. Wracamy już. Ja poprowadzę.

Orme podążył za nim, zastanawiając się, jak Krsz się tu dostał. Nigdzie nie było widać innych samochodów. Albo przywieziono go tu, albo też podziemny system komunikacji służył nie tylko do transportu towarów.

Gdy samochód ruszył w dół, Orme zapytał:

- Widzieliście wszystko, jak sądzę?

- Nie - odrzekł Hfathon. Spojrzał na niego z boku i uśmiechnął się. - Nie widzieliśmy cię w czasie, gdy przebywałeś w tamtym domu, ani też wtedy, gdy zatrzymałeś się pod drzewem z Gulthilo bat Jiszak. Swoją drogą, co tam robiliście?

- To nasza sprawa - odrzekł Orme.

- Niewątpliwie. Jeśli tylko wasze sumienia potrafią sobie z nią poradzić.

- Nie robiliśmy nic złego - odparł Orme gniewnym tonem.

- Być może, w każdym razie z twojego punktu widzenia. Zresztą nieważne, przynajmniej w tej chwili. Zostawmy to. Richard, wiem, że ty i twoi towarzysze byliście zaniepokojeni, ponieważ nie pozwoliliśmy wam porozumieć się z Ziemią.

- Zaniepokojeni? Byliśmy oburzeni!

- No właśnie. Nie chcieliśmy jednak, abyście składali raport, póki nie będzie on kompletny. Musicie zrozumieć nas dogłębnie, poznać na wylot, zanim nas opisze. Na to trzeba czasu. Gdybyście mieli opowiedzieć o nas już teraz, przekazalibyście jedynie półprawdy i pobieżne wrażenia. Chcemy, żeby na Ziemi pojęto dokładnie, kim i czym jesteśmy. Rzecz w tym, że póki co najprawdopodobniej nie dano by wiary jakimkolwiek waszym raportom. Jednakże za dwanaście dni, gdy złożycie swój meldunek, będziecie mogli potwierdzić, iż to wszystko jest prawdą, i to nie tylko przy użyciu słów.

- Że co jest prawdą? - zapytał powoli Ziemianin.

- To, co zobaczycie za siedem dni. Nie będziecie wtedy mieli wątpliwości. Ludzie na Ziemi, mam nadzieję, również nie. Mogą jednak potrzebować więcej... Nie myślmy o tym na razie.

Wyraz twarzy Hfathona sugerował stan bliski ekstazy. Po chwili zaczął nucić pieśń, którą Orme słyszał już przedtem na ulicach, a raz również w wykonaniu Filemona.

- Cieszy mnie, że czujesz się szczęśliwy - powiedział. - Ja jestem jedynie zdumiony i pełen sceptycyzmu.

- To się zmieni - odparł Hfathon i roześmiał się.

- Mam nadzieję, że na lepsze - odparł Orme ponurym głosem.

- Od tego zależy twoje życie.

Orme nie pytał go, co miał na myśli. Miał już dość wykrętnych odpowiedzi, które wydawały się sprawiać ich opiekunom tyle przyjemności.

Na chwilę przed wjazdem do centrum jaskini ręczny zegarek Hfathona wydał brzęczący dźwięk. Krsz powiedział coś do niego, po czym podniósł go do ucha. Zmarszczył brwi, rzekł coś po cichu, po czym zwrócił się do Orme'a.

- U Madeleine Danton wykryto właśnie raka wątroby.

Kapitan był wstrząśnięty. Przez chwilę nie był zdolny nic powiedzieć.

- Badania rozpoczęte przed dwoma dniami właśnie ujawniły jego obecność - oznajmił Krsz.

- Ale przecież zbadano ją dokładnie przed startem! Uwierz mi, wszystkich nas sprawdzano bardzo skrupulatnie.

Hfathon wzruszył ramionami.

- Przypuszczalnie był za mały, aby wasze instrumenty mogły go wykryć. A może powstał później. W każdym razie Madeleine jest teraz w głównym szpitalu. Zawieziono ją tam natychmiast, gdy tylko lekarze stwierdzili raka.

- Biedna Madeleine - powiedział Orme. Po chwili dodał: - Kto by się spodziewał, że nawet na Marsie napotkamy raka?

- Nie ma się czym martwić - odrzekł Krsz. - Nikt już na to nie umiera.

Ponieważ Orme nalegał, Hfathon podjechał do szpitala, który okazał się małym jednopiętrowym budynkiem w pobliżu głównego gmachu rządowego. Jego niewielkie rozmiary były jednak zwykłym kamuflażem. Pod powierzchnią miał jeszcze dziesięć kondygnacji. Danton znajdowała się na szóstej. Idąc korytarzem, Orme zauważył, że zadbano, aby personel i pacjenci nie odnosili wrażenia, iż są pogrzebani żywcem. Za każdym z okien rozciągały się piękne widoki - drzewa, ptaki, jelenie pasące się na łąkach, dzieci bawiące się w oddali. Sceny te wyglądały zupełnie jak prawdziwe. W poczekalni spotkali Shiraziego i Bronskiego. Na powitanie obaj wstali z krzeseł, lecz wyraz smutku nie znaczył ich twarzy. Shirazi uśmiechnął się nawet.

- Właśnie się dowiedziałem - powiedział Orme. - Jak się czuje Madeleine?

- Wszystko w porządku - odrzekł Nadir. - Za kilka minut ją wypuszczą. Zabieg jest krótki, ale męczący, dziewczyna musi więc chwilę odpocząć.

- Chcesz powiedzieć, że już po wszystkim? Ledwo postawili diagnozę i już ją wyleczyli? Jak to możliwe?

- Mnie też trudno w to uwierzyć - odpowiedział Nadir. - Jednak lekarze zapewnili mnie, że jest już całkiem zdrowa, a ponadto nie będzie żadnych przerzutów.

- Poinformowano mnie na uniwersytecie - oznajmił Bronski. - Uważali, że powinienem się dowiedzieć, chociaż równie dobrze mogli poczekać, aż będzie po wszystkim.

- Ale nie masz im tego za złe, że przeszkadzili ci w pracy, prawda? - zapytał Orme.

- Nie bądź złośliwy. Jasne, że nie. Obawiam się jednak, że prawdopodobnie wezwali nas tu wszystkich, aby nam zaimponować. Chcieli pokazać, jak bardzo zaawansowana jest ich wiedza medyczna. Musimy przecież mieć coś do przekazania na Ziemię.

- Zaczekaj chwilę - rzekł Orme. - Wam też powiedzieli? Mam na myśli to, że za dwanaście dni pozwolą nam skontaktować się z Ziemią?

- Tak. Trrwangon, moja nauczycielka, powiadomiła mnie o ich decyzji na chwilę przed tym, jak dowiedziałem się o Madeleine.

- Rada uznała, że wasz niepokój osłabnie, jeśli uprzedzimy was, że nie będziecie musieli czekać zbyt długo - stwierdził Hfathon. - Poza tym możecie powoli rozpocząć prace nad raportem, czy raczej jego pierwszą częścią. Drugą zaczniecie przygotowywać za osiem dni. Zostaną przekazane razem.

- To świetnie - stwierdził Orme. - Chociaż, mówiąc szczerze, zdaje mi się, że jednak knujecie coś, co może nas niemiłe zaskoczyć.

Hfathon uśmiechnął się.

- Wybacz, że to powiem, ale według mnie postępujecie niehumanitarnie, nie chcąc podzielić się z Ziemią waszymi cudownymi lekami - dodał Nadir Shirazi. - Gdyby można było przekazać dane o nich natychmiast, uratowałyby życie milionom ludzi, wielu innym oszczędziłyby mnóstwa cierpień.

- Wątpię - odparł Hfathon. - Sądząc po tym, co nam powiedzieliście, nawet gdybyśmy przekazali waszym uczonym niezbędne informacje w tej chwili, upłynęłoby kilka lat, zanim rządy na Ziemi zezwoliłyby na korzystanie z naszych medykamentów. Po pierwsze, dane musiałyby zostać sprawdzone. Następnie przeprowadzono by doświadczenia na zwierzętach. Potem ustawodawcy zadecydowałiby, czy i kiedy należy udostępnić nasze leki. Rzecz jasna, musieliby prędzej czy później to zrobić ze względu na opinię publiczną, lecz cały proces zająłby, powiedzmy, od czterech do sześciu lat Mam rację?

- Obawiam się, że tak - odrzekł Orme.

- Ponadto, gdyby nawet recepty oraz dane kliniczne, gromadzone w ciągu dwóch tysięcy lat - z których wynikałoby jednoznacznie, że skuteczność leku wynosi sto procent - zostałyby nawet przekazane, to wasze władze i tak zażądałyby przeprowadzenia niezależnych testów, prawda?

- Zgadza się.

- No więc, po co się spieszyć?

- Myśleliśmy tylko o ludziach, których można by uratować - odparł Shirazi.

- A weźmy choćby - wtrącił Orme - lek opóźniający starzenie. Im później dotrze na Ziemię, tym więcej ludzi umrze z powodu chorób wieku starczego.

- To prawda. Nie można jednak nic na to poradzić. Jeżeli w ogóle prześlemy wam sposób produkcji tego leku, zrobimy to tylko pod pewnymi ściśle określonymi warunkami. Kraje socjalistyczne będą musiały podać go wszystkim, bez wyjątku, na koszt państwa. Nie pozwolimy, by sprzedawano go dla zysku, czyniąc dostępnym tylko dla tych, którzy mają pieniądze. Kraje komunistyczne będą musiały uczynić to samo. Nie będą mogły odmówić podania leku więźniom politycznym. Ponadto, aby się upewnić, że nasze warunki są spełnione, w

każdym kraju powołamy specjalne jednostki administracyjne. Będą one zorganizowane tak, że rządy nie będą w stanie w żaden sposób ingerować w ich działalność.

Orme spojrzął na Bronskiego i Shiraziego. Każdy z nich wiedział, co myślą pozostali. Było możliwe, choć mało prawdopodobne, że ich własne państwa na to zezwolą. Będą stawiały opór, lecz gdy tylko ludzie dowiedzą się, że taki lek jest osiągalny, zaczną wywierać nacisk, któremu nie będzie można się oprzeć. Tak czy inaczej, rządy z pewnością spróbują zachować jakiś rodzaj kontroli nad całą sprawą. Co zaś się tyczy państw komunistycznych, nie pozwolą one na przekroczenie granicy tak wielkiej liczbie cudzoziemców, jak będzie niezbędna do zorganizowania skutecznego nadzoru. Uznają ich za szpiegów, w przeświadczeniu, że rozdawnictwu leku towarzyszyć będzie propagowanie antykomunistycznych haseł. Czy zdołają jednak oprzeć się żądaniom swych obywateli, gdy ci dowiedzą się, że uniemożliwiono im przedłużenie życia? Czy nie doprowadzi to do zamieszek, a nawet rewolucji?

Tak czy owak, nastąpi olbrzymie zamieszanie. Nic już nie będzie jak przedtem, w żadnym państwie, niezależnie od ustroju czy ideologii.

Marsjanie posiadali straszliwą broń. W pewnym sensie mogli wysadzić Ziemię w powietrze, nie oddając ani jednego wystrzału. W gruncie rzeczy mogli prowadzić wojnę pod pozorem udzielania olbrzymich dobrodziejstw. Długowieczność to tylko jedna z pozycji w ich arsenale. Eliminacja chorób byłaby następną. Jednak Orme domyślał się, że to tylko drobniaczek w porównaniu z tym, czego Marsjanie do tej pory nie ujawnili. Podejrzewał, że wkrótce wszystkiego się dowie. Jako chrześcijanin powinien z przejęciem oczekiwać nadejścia tego, co miało się wydarzyć za siedem dni. Drżał jednak ze strachu - strachu, który był zapowiedzią wielkiej trwogi.

## 11.

Hfathon powiedział im, że mogą wspólnie zmontować czterogodzinny „program”. Powiedzą i pokażą wszystko, co zechcą. Nie będzie żadnej cenzury, chyba że ich stwierdzenia okazałyby się błędne lub wręcz kłamliwe. W takich przypadkach ich „gospodarze”, jak Hfathon określał Marsjan, oświecą ich, aby mogli powiedzieć prawdę. Nic jednak nie zostanie wycięte.

Przygotowanie raportu nie było tak łatwe, jak się wcześniej całej czwórce zdawało. Trudno było zachować równowagę, ponieważ każde z nich chciało pokazać jak najwięcej rzeczy dotyczących własnej specjalności. Po całodziennej dyskusji zgodzili się, choć z niechęcią, że każde z nich ograniczy swoją część programu.

- Najważniejsi są sami Marsjanie - stwierdził Orme. - Ich historia, wliczając w to pochodzenie Krszów. Musimy pokazać, w jaki sposób zdołali przeżyć na Marsie oraz jaki jest aktualny obraz ich społeczeństwa. To najbardziej zainteresuje ludzi na Ziemi. Dokładne dane na temat stanu ich wiedzy mogą poczekać. Poza tym, szczerze mówiąc, brak nam informacji dotyczących naprawdę istotnych osiągnięć nauki i techniki. Do tego ten program ma najwyraźniej stanowić zaledwie wstęp, streszczenie tego, co nam się dotychczas przydarzyło. Ile takich informacji zdołamy wcisnąć w ramy czterech godzin? Będziemy się musieli maksymalnie streszczać. I tak dla naszych ludzi będzie to nie lada szok. Pierwsze dziesięć minut oszołomi ich do tego stopnia, że w ogóle nie zrozumieją pozostałych dwustu trzydziestu.

- Poza tym - dodała Madeleine - nie wiemy, ile z tego, co przygotowujemy, zostanie pokazane naprawdę. Musimy oszczędzać czas na to, co stanie się za sześć dni.

Wyglądała na całkowicie zdrową, lecz było oczywiste, że nie sypia dobrze. Niespodziewane wykrycie raka oraz jego równie nagłe i nieoczekiwane wyleczenie wstrząsnęły nią. Orme podejrzewał jednak, że nie to było główną przyczyną jej bezsenności. Zapowiedziane



wydarzenie - pojawienie się Mesjasza - niepokoiło ją głęboko. Nie mogła po prostu dać wiary w to, co Marsjanie jej o nim powiedzieli. Z drugiej strony, w świetle tego, co tu przeżyła, nie mogła uwierzyć, że ją okłamują. Orme dziwił się, że sam jest równie niespokojny, jak Madeleine. Ona była ateistką, można więc było przewidzieć, że wszystko to mocno ją poruszy, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę religijne wychowanie, jakie otrzymała. Poprzez mroczne warstwy podświadomości przebijały się na światło dzienne wpojone w dzieciństwie odruchy. Religijne wychowanie nie mogło zniknąć bez śladu. Takie rzeczy nigdy się nie zdarzały. Natomiast on... urodził się i wychował w rodzinie baptystów, którzy wszystko, co było napisane w Biblii, traktowali dosłownie.

Orme usiłował sobie przypomnieć, co wiedział z Biblii na temat Jezusa. Jezus Chrystus narodził się z dziewicy i zmarł na krzyżu za grzechy ludzi, zapewniając im zbawienie, zmartwychwstanie i życie wieczne, jeśli uwierzą, iż jest on Synem Bożym, równym Bogu, oraz jeśli będą przestrzegali złotej reguły, przyjmą pewne dogmaty i zostaną „ponownie narodzeni” na sposób duchowy.

Orme wierzył w to wszystko, mimo pewnych wątpliwości, zanim nie trafił do szkoły średniej. Tam jednak poznał nieodparte dowody na istnienie ewolucji, na trwającą miliardy lat historię Ziemi, a także szereg innych rzeczy; wszystko to sprawiło, że odszedł od ortodoksji, choć ufał, że nie utracił łaski.

Aczkolwiek nie wierzył, że Stary Testament należy traktować dosłownie, sądził, że Nowy Testament stanowił wiemy zapis przedstawianych wydarzeń. Jego rodzice byli przerażeni owymi poglądami. Uważali, że pójdzie do piekła, jeśli nie powróci na drogę prawdy. Choć zasmucało go to, nie wyrzekł się jednak swej bardziej liberalnej odmiany chrześcijaństwa. Nie wierzył już, że pójdzie do piekła, pełnego ognia i siarki, gdzie czekają go wieczne męczarnie cielesne, jeśli nie będzie ufał w literalny sens przekazu starotestamentowego. Być może pójdzie do piekła, ale będzie ono miało charakter duchowy, oparty na straszliwej pewności, że został raz na zawsze odcięty od kontaktu z Bogiem.

Robił też rzeczy, o których wiedział, że są złe. Od czasu do czasu upijał się i sypiał z dziewczętami, na długo przed ślubem. Gdy jednak miał już żonę, pozostawał jej wiemy, choć nie było to łatwe. Rozwód był dla niego ciężkim ciosem. Czyż Chrystus nie powiedział, że jedyną przyczyną rozwodu może być niewierność? Orme żył jednak w społeczeństwie, w którym uzyskanie rozwodu było równie łatwe, jak zawarcie małżeństwa. W każdym razie on nie chciał rozwodu, lecz walka o to w sądzie byłaby bezcelowa.

Orme modlił się do Boga i Jego Syna każdej nocy, a niekiedy również w dzień i miał nadzieję spotkać się pewnego dnia z Jezusem twarzą w twarz. Jeśli wierzyć Marsjanom, wkrótce rzeczywiście stanie twarzą w twarz z żywym Zbawicielem. Skąd więc ten niepokój, przyspieszona akcja serca, nudności i pragnienie ucieczki? Czyżby dręczyło go to, iż będzie musiał jakoś się przekonać, że ma do czynienia z prawdziwym Chrystusem? Nie sądził, aby potrafił to uczynić, choć w Biblii bez wątpienia nie brakowało wskazówek pomagających oddzielić prawdę od fałszu.

Marsjanie twierdzili jednak, że Jezus zamieszkiwał z nimi, choć większość czasu spędzał w kuli, która zastępowała im słońce. Utrzymywali, że posiadają na to niezbite dowody. Ponadto z tego, co przekazał Maciej, który znał Jezusa w Palestynie, wynikało, iż był on tylko człowiekiem, choć większym od innych, ponieważ był Mesjaszem.

Maciej był jednym z *puriszym* - „oddzielonych”, czyli faryzeuszów. Jezus przeklął ich podobnie jak konkurencyjne stronnictwo saduceuszów. Jednakże złorzeczenia, jakimi obrzucił faryzeuszów, dotyczyły tylko tych spośród nich, którzy byli hipokrytami. W przeciwieństwie do swych rywali, saduceuszów, wierzyli oni w zmartwychwstanie i w anioły, podobnie jak Jezus. Choć przestrzegali Prawa Mojżeszowego ściślej niż on, przyznawali jednak, iż może ono podlegać zmianom. Nie byliby ślepo posłuszni, gdyby było to sprzeczne z rozumem lub z ich sumieniem. Gdy faryzeusze oskarżyli Jezusa o nieprzestrzeganie szabatu, o

jadanie z celnikami i grzesznikami oraz o nieobmywanie rąk przed posiłkiem, odpowiedział im: „To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu”.

Faryzeusze mogli pogodzić się z tą zasadą, przynajmniej w teorii. Ich odpowiedź Jezusowi nie została uwieczniona w Nowym Testamencie, lecz Maciej twierdził, że z czasem wielu z nich zgadzało się w tym punkcie z Chrystusem.

Faryzeusze zabiegali również gorąco o zbawienie — nie tylko Żydów, lecz całej ludzkości. Wierzyli, że prędzej czy później, rzecz jasna, poganie zaakceptują Prawo i będą wyznawać tylko jednego Boga, pod warunkiem, że będzie to Prawo Mojżesza, a Bogiem będzie Jahwe. Naród Izraela stanie się pierwszym ze wszystkich, jako starszy i mądrzejszy brat W przeciwieństwie do innych sekt faryzeusze uznawali również prozelityzm, to znaczy dopuszczali możliwość nawracania pogan na judaizm.

Choć Jezus nie był faryzeuszem, zgadzał się z wieloma ich doktrynami i praktykami. Przez pewien czas, według Macieja, był nawet esseńczykiem, doszedł jednak do wniosku, że obyczaje wspólnoty z Qumran są zbyt surowe i brak im humanitaryzmu tych, którzy naprawdę kochają dzieci Adama i Ewy. Dlatego ich opuścił.

Orme, który nie potrafił czytać książki Macieja wystarczająco szybko, aby ukończyć ją przed nadchodzącym wydarzeniem, nalegał, aby przeczytał mu ją Bronski. Francuz uczynił to, zatrzymując się od czasu do czasu, aby wyjaśnić mu trudniejsze ustępy.

Gdy doszli już do końca, Orme pokręcił głową.

- Teraz już nic nie wiem — oznajmił. - Maciej był apostołem i uczniem Jezusa, który znał go bardzo dobrze i towarzyszył mu w wędrówkach po Palestynie. Powinien podawać czyste fakty, skoro jego świadectwo nie uległo żadnym zmianom. Nie mówi nic o narodzinach z dziewicy, ani nie wspomina o tym, że śmierć Chrystusa była odkupieniem grzechów ludzkości i przez to otworzyła drogę do zbawienia. Nie napomyka też nic o cudach, jakie według autorów Biblii czynił Jezus. Najwyraźniej nie widział ich, choć spędził z nim wiele czasu. Twierdzi, że słyszał opowieści o cudach po śmierci Jezusa, nie daje im jednak wiary, ponieważ wie, że nic takiego nie miało miejsca. Również jego relacja z procesu przed Piłatem różni się wyraźnie od zamieszczonej w Ewangeliach. A przecież on tam był. Twierdzi, że Piłat wcale nie umył rąk...

- To była przeróbka wprowadzona później przez tych, którzy chcieli całą winę zrzucić na Żydów - powiedział Bronski. — To znaczy tych Żydów, którzy nie chcieli uwierzyć, że Jezus był Mesjaszem oraz partenogenetycznym potomkiem Boga i Maryi.

- Jasne. Jezus nie uczynił żadnych cudów, póki był na Ziemi. Kiedy jednak statek wylądował na Marsie i zaczęto kopać, Mesjasz pojawia się i Maciej natychmiast go rozpoznaje. I wówczas Jezus robi parę cudów. Dopiero wtedy...

- To tłumaczy - odparł Bronski - dlaczego Krsze nawrócili się na judaizm.

- Nie uwierzyliby w cuda bez niedwuznacznych, naukowo sprawdzonych dowodów - powiedział Orme. - Co więc mam sądzić?

- Poczekamy i zobaczymy, co się stanie.

- Ty wydajesz się przekonany, niezależnie od tego, co się wydarzy - odezwał się Shirazi z lekką pogardą w głosie.

Trzy tygodnie wcześniej Bronski przestał się golić i zaczął zapuszczać pejsy. Zamiast kłaść się do łóżka o tej porze co Orme, przesiadywał w salonie, czytając po hebrajsku Pięć ksiąg, który był wierną kopią egzemplarza przywiezionego przez Macieja z Ziemi. Orme zapytał go, w jakim celu robi to wszystko.

- To nie jest Palestyna, a ja nie wróciłem do obyczajów swych przodków. Jak na razie. Nie przestałem być agnostykiem. Ale... cóż... mam dziwne uczucie, że wróciłem do domu po długiej, pełnej bólu podróży. Do domu! Na Marsie! Nie potrafię teraz tego wyjaśnić. Niemniej... stoję jak Rut wśród obcych pól i te pola nie wydają mi się aż tak obce.

- Uważaj, żeby faktycznie nie wyprowadzono cię w pole - zażartował Orme.

- Tak. Być może to pycha, niechęć do przyznania się, iż byłem w błędzie, do zniszczenia wyobrażenia o sobie samym, powstrzymują mnie przed podjęciem decydującego kroku. Zresztą, nawet gdybym udał się do synagogi, nie wpuszczono by mnie tam. Musiałbym uznać, że Jezus jest Mesjaszem, a tego nie jestem pewien... jak dotąd.

Shirazi obserwował to wszystko, lecz na razie nie czynił żadnych uwag. Był równie zakłopotany jak pozostali, może nawet jeszcze bardziej. Był muzułmaninem, choć niezbyt pobożnym. Podobnie jak troje jego towarzyszy przeżył szok, gdy odkrył, że Mars znajduje się we władaniu Żydów. Ostatecznie, gdyby członkowie ekspedycji próbowali przedtem odgadnąć, kim mogą być mieszkańcy Marsa, żaden z nich nie umieściłby takiej ewentualności na swojej liście. Nie było też nic dziwnego w tym, że czuł się nieswojo jako jedyny muzułmanin wśród miliona Żydów. Ponadto, dopóki tu nie przybył, tubylcy nigdy nawet nie słyszeli o jego religii. Shirazi był wykształconym, dobrze wychowanym człowiekiem, który rzadko miał trudności z przystosowaniem się do społeczeństwa, w którym się znalazł. Niemniej w swojej ojczyźnie miewał kłopoty ze względu na podejmowane protesty przeciw cenzurze i metodom policyjnym.

Należy też dodać, że obyczaje Marsjan były pod wieloma względami podobne do panujących w jego kraju rodzinnym. Mężczyźni byli obrzezani. Od kobiet wymagano, aby na pierwszym miejscu stawiały macierzyństwo. Istniały ścisłe zakazy dietetyczne. W pewnych wyznaczonych momentach odbywała się publiczna modlitwa. Przestrzegano szabat.

Ponadto Jezusa uważano tu za proroka, choć stosunek do niego był inny niż wśród muzułmanów, którzy mieli Jezusa w wielkiej estymie, lecz uważali go za niższego od Mahometa, podczas gdy tutaj Chrystus był ostatnim i największym z szeregu proroków, od Abrahama począwszy. Prorok islamu, Mahomet, był na Marsie całkowicie nieznany.

Pomimo tych różnic związki były na tyle silne, że Irańczyk mógł się czuć mniej więcej jak w domu. Na szczęście nie było tu napięcia pomiędzy muzułmanami a Żydami, wywołanego tym, że ci ostatni nadal okupowali Palestynę.

Gdy jednak stało się dla Shiraziego jasne, że Bronski myśli o „powrocie” - jak to określili - do ortodoksyjnego judaizmu, zaczął go traktować z sarkazmem. Dał nawet do zrozumienia, iż sądzi, że Bronski jest oportunistą.

- Poza tym - powiedział pewnego razu podczas gorącej, choć kulturalnej dyskusji z Francuzem - nie byłbyś już Żydem, tylko chrześcijaninem.

- Nieprawda - odrzekł Bronski. - Chrześcijanin to człowiek, który wierzy, że Jezus został niepokalanie poczęty dzieckiem Boga i Maryi, że został zesłany, aby odkupić grzechy świata, na podobieństwo kozła ofiarnego w starych obyczajach hebrajskich. Marsjanie uważają Jezusa za Mesjasza, i to wszystko. Ponadto również wy, muzułmanie, jeśli wierzycie w to, co mówi Mahomet, musicie wierzyć w narodziny Jezusa z dziewicy. W Koranie jest napisane, że istotnie został on zrodzony przez dziewicę imieniem Maryja. Jednak Mahomet twierdzi, że Jezus nie został naprawdę ukrzyżowany, a jedynie widmo, które wyglądało dokładnie tak jak on, zostało przybite do krzyża i umarło tylko na pozór.

Nieoczekiwanie Shirazi roześmiał się i napięcie nieco zelżało.

- Po pierwsze, znam wielu chrześcijan, którzy wątpią w opowieść o niepokalanym poczęciu. Uważają, że to mit i że Jezus został poczęty w taki sam sposób, jak ty i ja. Był tylko człowiekiem, choć największym, jaki kiedykolwiek żył. Istnieje też wielu muzułmanów, którzy sądzą, iż niektóre opowieści zawarte w Koranie mają sens symboliczny lub pedagogiczny. Jestem jednym z nich. Jeśli więc mówisz, że ktoś jest muzułmaninem bądź chrześcijaninem, musisz zdefiniować, jaki rodzaj muzułmanina czy chrześcijanina masz na myśli. Ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Przepraszam, jeśli powiedziałem coś, czym cię dotknąłem, nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego tak inteligentny i wykształcony człowiek odczuwa pokusę nawrócenia się na prymitywną religię.

Bronski wyrzucił ręce w górę i wyszedł.

Opuszczając pokój, krzyknął:

- Nie odczuwam pokusy! Nie ma w tym pokusy, ponieważ to nie jest prymitywna religia!

I teraz, gdy Shirazi powiedział, iż Bronski jest przygotowany na każdą ewentualność, dał tym samym ponownie do zrozumienia, że uważa go za kameleona. Jak dotąd nie posunął się jednak do stwierdzenia, że być może zdradził on Ziemię.

- Najwyraźniej nie rozumiesz - powiedział Bronski - że religia stanowi akt wyboru nie intelektualnego, lecz duchowego. Pod słowem „duch” rozumiem irracjonalne jądro każdej osoby. Nie używam słowa „irracjonalne” w sensie pejoratywnym. Irracjonalne jądro jest częścią osoby ludzkiej, która tęskni za nieśmiertelnością wbrew rozumowi, który podpowiada, że nic takiego nie istnieje. Tęskni także za Stwórcą - swym Ojcem, na istnienie którego można znaleźć wiele argumentów. Duch uznaje Moc większą niż wszystkie moce. Jest to równie ważna część osoby jak jej mózg i bez niej nikt nie może być w pełni człowiekiem, niezależnie od tego, jakie ma inne zalety. Dzieje się tak, ponieważ...

- Posłuchaj. Wystarczy już - przerwał mu Orme. - Dokończycie tę dyskusję innym razem. Teraz musimy wspólnie zrealizować program. Nie zostało nam zbyt wiele czasu.

- Myślę, że przeżywasz załamanie nerwowe, Avram - powiedziała Madeleine.

- Dość tego! - przerwał Orme. - Wszyscy odczuwamy cholernie silne napięcie. Nie jestem pewien, czy na Ziemi nie uznają nas za wariatów, kiedy to zobaczą. Musimy im jednak powiedzieć prawdę, weźmy się więc do roboty.

Ponieważ widzowie na Ziemi wiedzieli, co zaszło, aż do chwili, gdy drzwi tunelu zatrzasnęły się za Orme'em i Bronskim, kosmonauci zdecydowali, że zaczną od tego momentu. Marsjanie sfotografowali przybyszów, gdy niesiono ich nieprzytomnych do więzienia. Mieli też hologramy wszystkich istotnych wypadków, które zaszły później (Orme podejrzewał, że również wielu nieistotnych). Czwórka Ziemian mogła zatem wybierać swobodnie, co i w jaki sposób pokazać.

Wszyscy po kolei złożyli relację ze zdarzeń, w których brali aktywny udział - czy może nie tak bardzo aktywny, skoro na wycieczki byli przez Marsjan prowadzeni, a lekcje były im udzielane. Skończywszy odnieśli wrażenie, iż udało im się przedstawić w sposób zadowalający obraz życia Marsjan oraz zdać relację ze swoich własnych przeżyć podczas pobytu na tej planecie.

Rzecz jasna na Ziemi będą chcieli zadać tysiące pytań, nie otrzymają jednak żadnych wyjaśnień. Ale co można zdziałać w cztery godziny? Poza tym na wiele z pytań czworo Ziemian do tej pory nie znało odpowiedzi.

- Powinniśmy jutro poznać niektóre z nich - stwierdził Orme.

- Tak, ale to spowoduje lawinę nowych pytań, na które nie będziemy umieli odpowiedzieć - odparł Bronski.

Zmęczeni położyli się do łóżka, lecz nikt nie mógł zasnąć. Wszyscy spodziewali się, że nazajutrz rozpocznie się niezwykle ważny dzień w ich życiu.

Bronski zaczął cicho pochrapywać. W końcu Orme także zapadł w sen. Jednakże godzinę później przebudził się. Miał wrażenie, że ktoś stoi przy jego łóżku.

## 12.

- To już jutro - powiedział Orme.

Czwórka Ziemian siedziała w salonie u Shirazich. Po kolacji włożyli kasetę - właściwie sześcian o boku równym dwóch i pół centymetra - do specjalnego otworu w obudowie odbiornika telewizyjnego. Oglądali program - już po raz czwarty - który wspólnie zmontowali.

Zgodnie z tym, co obiecali Marsjanie, niewiele zostało ocenzurowane. Ostatnie pół godziny programu było autorstwa ich gospodarzy i składało się głównie z filmów przedstawiających Jezusa podczas „wizyty”. Było też kilka scen z Ziemi, nakręconych przez Krszów w roku pięćdziesiątym, oraz obrazy bitwy z Synami Ciemności, a także zapis instalowania się pod powierzchnią Marsa, gdy ich statek uległ rozbiciu.

Program kończyła krótka wypowiedź Hfathona w języku greckim - nie licząc ostatniego słowa.

- To wszystko prawda. Za kilka dni znowu się z wami połączymy. *Szalom*.

Orme mógł sobie wyobrazić szok, konsternację, zdumienie i frustrację, jakie zapanowały na Ziemi. Rzecz jasna, znajdzie się wielu takich, którzy poddadzą w wątpliwość autentyczność tego programu. Stwierdzą, iż jest to oszustwo i winą obarczą Marsjan, swój własny rząd lub rząd jakiegoś obcego państwa. Jednakże władze będą musiały przyznać, że niezależnie od treści transmisji, pochodzi ona z Marsa. Ponadto program został nadany wielokrotnie, aby się upewnić, że będzie odebrany na obu półkulach Ziemi.

- Tak jest, jutro - potwierdził Bronski ponurym głosem.

Madeleine roześmiała się, lecz w jej śmiechu nie było radości.

- Boisz się, że będziesz zmuszony uwierzyć w Chrystusa, prawda? Ty, agnostyk, zobaczysz, dotkniesz, usłyszysz... i w związku z tym będziesz musiał uwierzyć! Powtarzam ci, to bzdura! Marsjanie oszukują nas z jakichś, im tylko znanych, złowieszczych powodów.

- Jesteś przedstawicielką świata nauki - odparł Bronski - ale nie myślisz logicznie. Sądzę, że nawet jeśli dowody staną się niezbita, potwierdzone w stu procentach, nadal nie przyjmiesz tego do wiadomości. Pozwalasz, aby zapanowały nad tobą irracjonalne uczucia.

- A ty - odrzekła - nie czekasz nawet na dowody. Jesteś już gotów uwierzyć!

Pokręcił głową.

- Nieprawda. Jednakże to wszystko, co wydarzyło się do tej pory... No, cóż... musisz przyznać, że jest absolutnie nieoczekiwane i fantastyczne, a jednak zdarzyło się naprawdę. Czy wątpisz w to, że Maciej rzeczywiście istniał i że bardzo dobrze znał Jezusa? Albo że osoba zwana Jezusem mieszka w tym „słońcu”?

- Niczego nie przyznam - odparła Madeleine. - Jak mogłabym to zrobić? Nie miałam okazji zbadać dowodów w sposób naukowy.

- Jak byś to zrobiła? - zapytał Shirazi. - Do takich spraw nauka nie ma zastosowania.

- Właśnie że ma! - odparła Madeleine.

Orme przerwał im.

- Nie ma sensu wieść sporu o to, co ma się wydarzyć. Dlaczego nie odłożymy na bok spekulacji? Wszyscy się tylko przez to denerwują. Ja idę obejrzeć uroczystość. Czy ktoś wybiera się ze mną?

Bronski i Shirazi wyrazili na to ochotę, lecz Madeleine wymówiła się, twierdząc, że jest zmęczona. Najwyraźniej pragnęła, aby Irańczyk został z nią, lecz nie powiedziała tego głośno. Shirazi popatrzył tylko na swoją „marsjańską” małżonkę i wzruszył ramionami. Orme zastanawiał się, jak długo jeszcze tych dwoje ze sobą wytrzyma. Choć nie zauważył żadnych kłótni, wyczuwał jednak między nimi chłód, któremu musiały towarzyszyć starannie skrywane różnice zdań.

- Wrócę szybko - oznajmił Nadir.

Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

Irańczyk roześmiał się i wyszedł w ślad za pozostałą dwójką.

Gdy opuścili dźwiękochłonne mury budynku, usłyszeli muzykę, krzyki i śmiechy dobiegające z oddali. Poszli na wielki plac, oświetlony setkami pochodni, gdzie napotkali wielu znajomych, którzy oferowali im wino i jedzenie. Orme wypił kilka szklanek, po czym przyłączył się do tańczących. Były to dziwne pląsy. Polegały na wirowaniu, podskokach i wierzganiu nogami. Przypominało to bardziej taniec rosyjskich chłopów, niż Izraelitów. Muzyka by-

ła, w dosłownym sensie, nieziemska, ponieważ wywodziła się z tradycji kulturowej Krszów.

Po godzinie Orme poczuł zmęczenie, choć ze względu na słabe przyciąganie powinien był wytrzymać dłużej. Być może spowodował to nadmiar wypitego wina, jako że niektóre z tańców wymagały od uczestników, aby podskakiwali ze szklanką wina w dłoni, nie roniąc z zawartości ni kropli. Od czasu do czasu następowały przerwy i wtedy tańczący wypijali trunk ze szklanek, które szybko napełniali z powrotem. Być może też powodem było napięcie nerwowe. Ostatnio nie spał dobrze. Koszmary, wizje Sądu Ostatecznego, tajemnicze postacie bez twarzy, wskazujące na niego z wyrzutem; błędzenie przez mgłę i nagłe zatrzymywanie się nad krawędzią przepaści; tak wyglądały jego noce. Kilkakrotnie też budził się z uczuciem, że ktoś stoi przy jego łóżku.

Odszedł na bok, dysząc ciężko.

- Mam dość! Wracam do domu!

Reszta Ziemian postanowiła dotrzymać mu towarzystwa. Gdy jednak przebijali się przez hałaśliwy tłum, Orme poczuł na ramieniu dotyk czyjejs dłoni. Odwróciwszy się spojrzał w błękitne oczy Gulthilo.

- Co tu robisz? - zapytał. Po chwili dodał: - Przepraszam, że odezwałem się tak obcesowo. Zaskoczyłaś mnie. Zapuściłaś się daleko od swojej wioski.

Uśmiechnęła się i przysunęła bliżej, tak aby mógł ją usłyszeć w tym zgiełku.

- Znowu jestem zbyt śmiała. Przyszłam tu, aby być z tobą.

- Co na to twoja rodzina?

- Nie jestem ich własnością. Czy chcesz ze mną zatańczyć?

Orme spojrzał na swych towarzyszy, którzy stali nie opodal.

- Idźcie, chłopaki! - zawołał. - Avram, nie czekaj na mnie!

Bronski podszedł do niego, marszcząc brwi.

- Richard, nie pakuj się w nic. Znasz ich zasady. Oni...

- Dam sobie radę - odparł kapitan. - Możecie iść. Nic mi nie będzie.

Bronski, z miną nadal poważną, odszedł na bok. Powiedział coś do Shiraziego, po czym obaj oddalili się, spoglądając jednak za siebie.

- Jestem zbyt zmachany, żeby tańczyć - powiedział Orme. - Może usiadzimy gdzieś i porozmawiamy?

Gulthilo wzięła go za rękę i poprowadziła przez tłum. Gdy zeszli z placu, zatrzymała się, usiadła z gracją na trawie pod drzewem i zaproponowała:

- Usiądź przy mnie.

Posłuchał jej, rozglądając się niespokojnie dookoła. W okolicy było przynajmniej dwa-naście par siedzących lub leżących w cieniu. Obserwując jedną z nich, doszedł do wniosku, że wkrótce będzie ich ślub.

Gulthilo pocałowała go w policzek. O mały włos nie podskoczył do góry z wrażenia.

- Nie bądź taki nerwowy, Richard - szepnęła. - Nie zamierzam cię uwieść.

Roześmiała się cicho.

- Nie miałabym jednak nic przeciwko temu, abyś to ty uwiódł mnie.

- Nie mów tak - odrzekł. - Jestem bardzo wrażliwy na twoje zaczepki. Wiesz, że nie trzeba mi wiele. Tutaj jednak oczekuje się, że mężczyzna będzie zakochany w kobiecie, z którą... hmm... się prześpi. Uważam, że jesteś piękna i atrakcyjna, ale... nie jestem w tobie zakochany.

Nie odsunęła się od niego.

- Dziękuję za szczerość. Jak mógłbyś być we mnie zakochany, skoro widzieliśmy się tylko raz i to przez krótką chwilę? Ja jednak - przerwała, zaczerpnęła tchu i dokończyła - myśle, że się w tobie zakochałam.

Pot spływał mu po twarzy i nie było to wyłącznie skutkiem tańca. Również drzenie, jakie odczuwał, nie było wywołane jedynie przemęczeniem. Objął ją ramieniem, lecz po kilku

sekundach opuścił rękę.

- Nie powinniśmy siedzieć tak blisko siebie. Potrzebna mi raczej ochłoda, a nie rozgrzewka.

Znów się roześmiała.

- Gdyby doszło między nami do zbliżenia, zrobiłbyś to z namiętności, to znaczy, z pożądania, prawda?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Co to, u diabła, za rozmowa? Nie mogę uwierzyć. Wypiłaś za dużo?

- Nie. Przez ostatnie dwie godziny wypiałam tylko cztery szklanki wina i to jeszcze wtedy, gdy byłam we wsi. Wyjechałam stamtąd bez słowa i udałam się tutaj. Nie zrobiłam tego tylko pod wpływem chwilowego impulsu. Myślałam o tobie przez cały dzień, musiałam jednak zdobyć się na odwagę, aby zrobić to, czego pragnęłam.

Zaczął się podnosić, ale powstrzymała go.

- Nie bądź tchórzem, mój dzielny astronauto.

- To nie tchórzostwo, tylko, no wiesz, zwykły zdrowy rozsądek i rozwaga. Obawiam się, że zaczynam je tracić. Posłuchaj, Gulthilo, to głupota! Gdybyśmy byli na Ziemi, nie wahałbym się ani chwili, ponieważ oboje wiedzielibyśmy, o co chodzi. Tu jednak jest Mars. Pewne normy społeczne są inne, aniżeli na Ziemi, nie tak liberalne. Teraz zresztą i tam obyczaje zaczynają się zmieniać. Nie są już tak swobodne jak kiedyś. To jednak nie należy do sprawy. Nawet gdybyś była gotowa podjąć ryzyko i, hmm... zrobić to tylko w imię namiętności... Co ja mówię? Przemawiam jak postać z powieści wiktoriańskiej! Wiesz, co miałem na myśli.

Gulthilo podniosła się z trawy. Choć było ciemno, na jej twarz padała wystarczająca ilość światła, aby móc dostrzec, że Marsjanka uśmiecha się. Jeśli poczuła się urażona, nie dała tego poznać po sobie.

- Jesteś w błędzie, sądząc, że nie zrobię tego z tobą, jeśli nie będziesz we mnie zakochany - przerwała na chwilę. - Rozumiesz?

Nie chciał patrzeć na nią z dołu, podniósł się więc również. Wciąż jednak musiał zadzierać głowę do góry. Była bardzo wysoka.

- Mały czarny człowieku, którego tak bardzo kocham, wracam teraz do swojej wioski. Być może już nigdy cię nie zobaczę, choć mam nadzieję, że będzie inaczej. Bardzo bym chciała, abyś to ty przyszedł do mnie, a nie na odwrót. Jeśli to uczynisz, będę wiedziała, że zrozumiałeś, iż jesteś we mnie zakochany.

- Masz na myśli to, że poproszę cię o rękę? - zapytał ochryplym głosem.

- Oczywiście. Drżysz jak trącona struna harfy. Jesteś poruszony, prawda?

Wyciągnęła do niego ręce, objęła go i pocałowała w usta. Przez chwilę, gdy czuł nacisk jej wydatnych piersi i dotyk dużych, wielkich, miękkich warg na swoich ustach, miał wrażenie, że skapitułuje. Wypuściła go jednak z objęć. Cofnął się, lecz jej ręka została na jego ramieniu. Uścisk Gulthilo był bardzo silny.

- Szalom, Richard, choć mam wrażenie, że nie pokój ci teraz w głowie.

Roześmiała się cicho i oddaliła, kołysząc biodrami.

Orme wypuścił z płuc powietrze. Co za kobieta! Lwica! W jakim stanie go zostawiła! Odczuwał ból w kroku. Cały był rozdygotany.

Po drodze do domu uspokoił się nieco. Myśli przestały mu się kłębić w głowie. Możliwe - pomyślał, przeklinając swą ciągłą podejrzliwość - że ona pracuje dla marsjańskiego rządu, który kazał jej uwieść go i zmusić do małżeństwa. Gdyby do tego doszło, mógłby zerwać więzy z Ziemią i stać się Marsjaninem. Być może też miała go omotać, aby - jeżeli nie zechciałby zrobić z niej uczciwej kobiety, jak brzmiało stare powiedzenie - można go było wtrącić do więzienia jako przestępcę. Albo też...

Do diabła z tymi przypuszczeniami! Jeśli nawet była uwodzicielką, to z pewnością

niekonwencjonalną. Mogła go zdobyć, gdyby naprawdę się postarała.

Opodal domu minął pijaną, na wpół rozebraną parę leżącą pod krzakiem. Zanosiło się na kolejne małżeństwo.

Bronski siedział w pokoju, obserwując przebieg uroczystości na ekranie telewizora. Spojrzał na wchodzącego Orme'a, lecz nie odezwał się ani słowem.

- Możesz się nie obawiać - powiedział Orme. - Wróciłem. Cnota tubylczych niewiast pozostała nienaruszona. W każdym razie ta, którą ze mną widziałeś, jest nadal równie cnotliwa, jak przedtem.

- To byłaby straszna głupota - odpowiedział Bronski. - Kim ona jest?

- To ta kobieta o gockim imieniu. Opowiadałem ci o niej.

Francuz wstał z miejsca.

- Idę spać. Naprawdę martwiłem się o ciebie. Mogłeś popaść w straszliwe tarapaty.

- Nie wspominając o moralnej ujmie dla ciebie i pozostałych - odparł Orme. - Nie byłoby żadnych kłopotów. Musiałbym się po prostu z nią ożenić. Ma na to wielką ochotę.

- Chcesz powiedzieć...

- Tak. Oświadczyła mi się.

- I...

- Dałem jej kosza, choć nie powiedziałem tego wprost. Oznajmiłem jej tylko, że jej nie kocham.

- A gdybyś ją kochał?

- Nie wiem. Gdybym chciał się z nią ożenić, musiałbym nawrócić się na judaizm, to jest na marsjańską odmianę chrześcijaństwa, czy jak to tam zwał. Przecież wiesz. Gdybym to uczynił, stałbym się Marsjaninem. Moje więzy z Ziemią zostałyby zerwane. Tego by przynajmniej ode mnie oczekiwano. Czy potrafiłbym jednak... zostać po tej stronie? Za bardzo śmiesz mi to zdradą.

- Nie zgadzam się - odrzekł Bronski.

Zaczął analizować ten problem ze skrupulatnością rabina.

- Przede wszystkim - powiedział - winieneś dochować wierności nie Ziemi, jak to określiłeś, lecz w pierwszej kolejności twojej ojczyźnie - Kanadzie, a w drugiej - Konfederacji Północnoamerykańskiej. Nie masz, na przykład, żadnych zobowiązań w stosunku do państw komunistycznych. Myślisz o Ziemi jako monolitycznym tworze, przeciwstawionym równie monolitycznemu Marsowi. Mars jest takim monolitem, lecz Ziemia nie. Musisz uporządkować swój tok myślenia, że nie wspomnę o uczuciach.

- Jaka jest różnica między jednym a drugim?

Bronski zmarszczył brwi, a potem uśmiechnął się.

- U większości ludzi nie ma żadnej. No dobrze, pomyśl o tym sam. Ja idę spać.

Skierował się w stronę sypialni, lecz po chwili przystanął.

- Wiesz co, to było trafne spostrzeżenie.

- Które?

- To o różnicy między myślami a uczuciami.

- Zaczekaj - rzekł Orme. - Powiedziałem tylko... Nie wiem zresztą, czy mówiłem cokolwiek.

- Grunt, że wie najważniejsza częśćka twojej osoby. Dobranoc, Richard. Ty również powinieneś iść do łóżka. Jutro... to może być najważniejszy dzień w naszym życiu. Powinieneś wypocząć. Będą ci potrzebne wszystkie siły. Fizyczne, intelektualne i emocjonalne. Jeśli istnieje między nimi jakakolwiek różnica.

Orme życzył mu dobrej nocy, lecz sam chodził jeszcze w kółko po pokoju przez co najmniej dwie godziny. Jego myśli krążyły pomiędzy Gulthilo a człowiekiem, który mieszkał podobno we wnętrzu marsjańskiego „słońca”. Oboje oferowali mu, lub zdawali się oferować, nowe życie. W tej chwili jednak te oferty były nie do przyjęcia. Gdyby miało się to zmienić,



stanałby wobec nowego dylematu. Tak już jest, że nowe życie, nawet znacznie lepsze od starego, zawsze przynosi ze sobą nowe problemy, kolejne dylematy.

Czy naprawdę wierzył w autentyczność obu propozycji? Gulthilo mogła być agentką, która miała za zadanie skusić go, aby w rezultacie stał się Marsjaninem. Jeśli zaś chodzi o człowieka zwanego Jezusem, cała sprawa mogła okazać się oszustwem, a on mógł być kimś innym, niż twierdzili Marsjanie.

Kimkolwiek jednak był, nie pozostawało to zgodne z oczekiwaniami Orme'a, który wierzył - lub sądził, że wierzy - iż Jezus jest jednorodnym Synem Bożym i że jego przeznaczenie zostało określone jeszcze przed stworzeniem świata. Złożył on siebie w ofierze, aby cały świat mógł zostać zbawiony, aby mógł żyć w wiecznej szczęśliwości i uniesieniu, oglądając Boga twarzą w twarz. Nadejdzie dzień, zapowiedziany blisko dwa tysiące lat temu, Dzień Sądu, a wraz z nim z jednej strony najstraszliwsza trwoga, z drugiej zaś - bezgraniczna radość. Ci, którzy nie uznali Boga, pójdą do piekła. Piekło oznacza świadomość, że potępieni zostali na zawsze pozbawieni kontaktu z Bogiem.

Jednakże Jezus nie przebywał na Ziemi, lecz na Marsie. Był tylko człowiekiem, który w czasie, gdy żył na Ziemi, uważał się za Mesjasza, Żyda, który przybył, aby wskrzесиć święte Królestwo Izraela. Na dodatek okazało się, że bardzo niewiele z tego, co napisano o nim w Nowym Testamencie, odpowiadało prawdzie.

Orme powinien być wstrząśnięty tą informacją. Przeżył szok, zgoda, lecz nie tak wielki, jak należało tego oczekiwać. Dlaczego? Ponieważ jego wiara nie była wcale tak głęboka i mocna, jak mu się zdawało. Nie był niedzielny chrześcijaninem, to fakt, lecz wiara nie zapuściła głębokich korzeni w jego sercu. Nie miał mocnego przeświadczenia o jej prawdziwości. Nie w głębi duszy - tam gdzie mieszkają autentyczne żywe przekonania. Prawdziwe światło ukrywało się w ciemnej głębinie.

Wyszedł na zewnątrz. Wszędzie panował już spokój. Ludzie skryli się w swoich domach. Światła w mieszkaniach pogasły. Być może ulice były patrolowane przez policjantów, lecz Orme nie dostrzegł nikogo. Nigdy zresztą nie spotkał tu policjanta, choć wiedział, że istnieją. Jak mu powiedziano, nie nosili oni mundurów i było ich bardzo niewiele. To też świadczyło wymownie o tym społeczeństwie, jedynym w swoim rodzaju, przynajmniej w Układzie Słonecznym. Gdzie można było szukać lepszych warunków do życia? Nigdzie.

Idąc pogrążoną w ciszy ulicą, spojrzał na kulę zawieszoną pod sklepieniem jaskini. Świeciła teraz blaskiem ziemskiego Księżyca w pełni. Można było nawet dostrzec na niej te same plamy - przypominające człowieka na Księżycu ludziom Zachodu, a zająca Japończykom.

Tam w górze, wewnątrz lśniącej kuli, KTOŚ mieszkał - jeśli wierzyć Marsjanom. Orme nie miał powodu im nie wierzyć. Nie potrafił po prostu pogodzić się z tą myślą.

Zatrzymał się i stał przez chwilę, przygarbiony. Nagle uniósł obie ręce do góry i krzyknął:

- Hej TY, tam na górze! Czy znasz odpowiedzi na wszystkie moje pytania?!

Odzewu, rzecz jasna, nie było.

### 13.

Niebo mieniło się wszystkimi kolorami tęczy.

Orme wyglądający przez okno zauważył, że błękit został zastąpiony przez poziome pasma jasnego, lśniącego fioleto, błękitu, oranżu, czerwieni, zieleni, żółci, bieli i czerni. Barwy widma znaczyły całe sklepienie. Tu i ówdzie złote, ciemnoniebieskie, szkarłatne i srebrzyste gwiazdy zapalały się, ogromniały, by nagle eksplodować. Obłoki rozmaitych kształtów, kolo-

rów i odcieni kłębiły się w różnych miejscach nieboskłonu, pęczniały i pędziły po sklepieniu, zlewały się ze sobą, tryskając przy tym światłem, a potem, pulsując, gasły.

- Hej, Avram, popatrz na to!

Bronski podszedł do niego i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- Wstrząsa mną dreszcz, jak na to patrzę.

- Ciekawe, jak to robią? - zapytał Orme. - Całe sklepienie musi być pokryte urządzeniami elektronicznymi.

- Nie sędzę. Pamiętaj, że są znacznie bardziej zaawansowani niż my. Idę o zakład, że opiera się to na jakiejś nie znanej nam zasadzie. Tak czy owak, to nie jest dziś najważniejsza sprawa. Zapomnij, że jesteś inżynierem, Richard. Przynajmniej na jeden dzień.

Ludzie zaczęli wychodzić z domów. Włożyli najlepsze ubrania. Niezależnie od płci, odziani byli w długie, jedwabiste różnobarwne szaty. We włosy wpięli kwiaty. Śmiali się i podskakiwali. Wielu z nich trzymało się za ręce. Orme otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Usłyszał odległą muzykę licznych orkiestr. Uderzenia w bębny, dźwięki trąb, fletów, piszczałek, brzęk harf i cymbałów.

Nagle z tyłu odezwał się jakiś głos. Orme odwrócił się i ujrzał, że Bronski gestem przyzywa go z powrotem. Zawrócił i na ekranie holograficznego telewizora ujrzał uśmiechniętego Hfathona.

- Oczekujemy was na placu za godzinę - powiedział Krsz. - Lepiej ruszajcie od razu. Nie będzie łatwo przepychać się przez tłum.

Orme spojrział na zegarek.

- Tak, wiemy o tym. Czy nie moglibyście wysłać kogoś, żeby nas podwiózł?

- Dzisiaj tylko Mesjasz może jeździć samochodem - odparł Krsz. - Wszyscy przybyli już wczoraj i zatrzymali się u rodziny bądź przyjaciół. Powinienem był was uprzedzić, że będziecie musieli dostać się tu na piechotę. Pospieszcie się, proszę. Niech spłynie na was jego uśmiech. *Szalom*.

Obraz zniknął.

Orme spojrział na Bronskiego, wzruszył ramionami i rzekł:

- Miałem nadzieję, że potraktują nas w sposób szczególny. Ostatecznie jesteśmy ich gośćmi i ta uroczystość odbywa się po trosze na naszą cześć.

Francuz spojrział na niebo pokryte wspaniałymi rozbłyskami.

- Wciąż podejrzewasz, że to oszustwo?

- Tego nie powiedziałem. Po prostu trudno mi zapanować nad emocjami.

- Nie tylko tobie - odrzekł Bronski. - Chodźmy już lepiej.

Ponownie wyszli z domu. Orme pomyślał, iż to dobrze, że nie muszą zamykać drzwi. „To przecież nieistotne - skarcił się w duchu. - Czy rzeczywiście? Od rana staram się myśleć tylko o rzeczach nieistotnych. Po to, aby nie myśleć o... NIM.”

- Gdzie Madeleine?

- Powiedziała, że nie idzie. Źle się czuje.

- Czy uprzedziła o tym Hfathona?

Nadir pokręcił głową.

- Nie. Nie odezwała się do niego ani słowem.

Orme skrzywił się.

- To niezły numer. Czy naprawdę jest chora?

Shirazi skinął głową.

- Tak, ale mam wrażenie, że wyłącznie na tle nerwowym. Przeżywa bardzo silne napięcie. Ciągłe powtarza, że to jedno wielkie oszustwo, że nie ma po co tam iść. Mówiłem jej, że powinna to zrobić, gdyż w przeciwnym razie Marsjanie poczują się urażeni.

Orme'a czuł, jak wzbiera w nim gniew, lecz wytłumaczył sobie w końcu, że w gruncie rzeczy przeżywał takie same emocje, jak Madeleine. Przyczyną jej choroby był strach. Strach

przed tym, że to wszystko mogłoby się okazać prawdą.

Dlaczego jednak on, chrześcijanin jest tak przerażony? Czy nie powinien radować się wraz z Marsjanami?

- To bzdura - powiedział głośno. - Weźmy ją ze sobą... nawet gdybyśmy musieli wywlec ją siłą!

Poprowadził pozostałych do domu. Spodziewał się, że Madeleine włączy choć telewizor, aby obserwować wypadki. Jednakże aparat był wyłączony, a Danton leżała na łóżku. Usiadła, gdy wtargnął do środka.

- Mógłbyś przynajmniej zapukać.

- Wiedziałaś, że przyjdziemy. Jazda, Madeleine, wstawaj. Idziemy! Przestań zachowywać się jak dziecko!

Pod wpływem tych słów zerwała się na równe nogi z ogniem w oczach. Wrzasnęła coś po francusku, wykrzywiając twarz w okropnym grymasie. Następnie zatrzymała się, przetarła ręką czoło, otrząsnęła się i powiedziała po angielsku:

- Specjalnie mnie zdenerwowałeś, żebym wstała z łóżka, prawda?

Skinął głową.

- Musisz tam pójść, Madeleine, chyba że naprawdę źle się czujesz. Jeśli tak jest, wezwę lekarza.

Nie dodał, że lekarz będzie umiał stwierdzić, czy jest naprawdę chora, czy tylko symuluje.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - odparła. - Dam sobie jednak radę. Rzecz w tym...

- ...że podobnie jak i ja, boisz się, iż może to być prawda.

- Co? Przecież ty...

- Porozmawiamy o tym innym razem.

Wyszli na ulicę. Wkrótce zrównali się z tłumem. Oboje milczeli. Dwaj pozostali mężczyźni raz po raz odzywali się do siebie szeptem. Gdy przybyli wreszcie na plac, pochłonął ich ocean hałasu. Wszyscy dookoła rozmawiali. Grała, jak się zdawało, nie mniej niż setka rozmaitych orkiestr. Jeśli chodzi o liczbę ludzi, Orme miał wrażenie, że musi ich być przynajmniej milion. Tłoczyli się, tworząc olbrzymi pierścień, okalający okazałych rozmiarów kamienną platformę na środku placu. Orme nigdy przedtem jej nie widział, po prostu dlatego, że jej górna część znajdowała się do tej pory na poziomie nawierzchni. Teraz platforma zaczęła z wolna się podnosić. Stało na niej około pięćdziesięciu osób.

- Jak się mamy przepchać? To niemożliwe! - zawołał Shirazi.

- Hfathon na pewno o tym wie! - odrzyknął Orme. - Co on kombinuje? Powinien był załatwić, żeby sprowadzono nas tu wcześniej!

Podskoczył z wrażenia, gdy ktoś dotknął jego barku. Obejrzawszy się zobaczył Krsza ubranego w zieloną szatę z karmazynową szarfą na piersi.

Za nim znajdowała się długa srebrzysta łódź. Przynajmniej wyglądało to jak łódź wiosłowa, choć nigdzie nie było widać wiosł ani dulek. Krsz odwrócił się i odszedł, wskazując Orme'owi gestem, aby udał się za nim. Kapitan zawołał pozostałych i zaprowadził ich do pojazdu. Krsz wyciągnął spod szaty miniaturowy metaliczny róg. Przyłożył jeden z jego końców do warg i przemówił. Głos zabrzmiał potężnie.

- Proszę, wsiadajcie do *szrrt*.

Cała czwórka spojrzała po sobie nawzajem. Wszyscy wzruszyli ramionami i wdrapali się do środka, gdzie usiedli na niskich siedzeniach z wysokimi oparciami. Krsz usiadł wygodnie w fotelu znajdującym się na dziobie i odsłonił małą skrzynkę z licznymi dzwignikami.

- Trzymajcie się. To potrwa tylko minutę - przemówił przez swój „róg”.

Zamanipulował przyrządami. Pojazd wzniosł się łagodnie w górę, zatrzymał na wysokości sześciu metrów, zwrócił w stronę platformy i ruszył w jej kierunku, przyspieszając powoli. Nie było słycać żadnego odgłosu silnika, choć być może tonął on w ogólnym

tumulcie. Pasażerowie nie odczuli również żadnych wibracji.

Gdy łódź znalazła się ponad platformą, zaczęła powoli osiadać i wkrótce wylądowała. Krsz wskazał im gestem, że mają wysiąść. W chwilę później łódź podniosła się ponownie i popłynęła nad tłumem, tym razem szybciej. Następnie wylądowała po drugiej stronie i wówczas opuścił ją Krsz.

- Mogliście się tu dostać, prosząc po prostu ludzi, aby was przepuścili - odezwał się Hfathon. - Uczyniliby to. Byliście już jednak spóźnieni, wezwałem więc *szrrrt*.

Wyraz jego twarzy wskazywał, że oblali właśnie pewien rodzaj testu. „Pewnie na inteligencję” - pomyślał Orme. Nie wspomniał o oporach Madeleine. Mimo to Krsz z pewnością wiedział, że coś jest z nią nie w porządku. Odcień jej skóry był bliski szarości, a oczy miała dziwnie rozbiegane, jakby obawiała się, że coś może się na nią rzucić. Możliwe jednak, iż on sam wcale nie wyglądał lepiej. Czy mógł być blady pod swoim czarnym pigmentem i czy jego twarz zdradzała napięcie?

Również Bronski i Shirazi nie prezentowali się szczególnie.

Platforma wciąż powoli się podnosiła, gdy jednak znalazła się na wysokości dziesięciu metrów nad powierzchnią, znieruchomiła. Mijały minuty. Orme spojrzał w górę, w stronę kuli, przysłaniając ręką oczy. Świeciła równie jasno jak zawsze.

Z cizby stojącej na środku platformy wystąpił jakiś Krsz. Miał na sobie szatę w białoniebieskie pasy, a do prawdziwej brody przypiął sztuczną: długą, gęstą i czerwoną. W prawej dłoni dzierżył trzonek laski pasterskiej, wykonanej z jakiegoś ciemnoniebieskiego drewna.

- Rabin Manasse ben Machir - szepnął Hfathon do ucha Orme'a.

Rabin uniósł laskę. Zgiełk tłumu i muzyka ucichły. Słychać było tylko płacz niemowląt. Kobieta stojąca na skraju zbiorowiska, tuż pod platformą, odsłoniła pierś i zaczęła karmić dziecko, które natychmiast umilkło. Orme na widok tego wspaniałego biustu wyraźnie się ożywił. W tej samej chwili jednak ogarnął go wstyd. Odczuwał podniecenie seksualne, czekając na nadejście Mesjasza.

- Panie, wybacz mi - szepnął.

„Cóż mogę na to poradzić - pomyślał jednak. - Minęło już wiele czasu, a ja nie jestem święty”.

Rabin zaczął śpiewać. Przy trzeciej frazie tłum podjął śpiew. Słowa były w języku hebrajskim, którego Orme nie rozumiał, zaczął jednak śpiewać wraz z innymi. Najpierw używał bezsensownych słów, a potem przerzucił się na Modlitwę Pańską w języku angielskim.

Hfathon trącił go lekko i powiedział:

- Nie musisz śpiewać. Lepiej milczeć, niż wypowiadać niewłaściwe słowa.

Orme poczuł, jak twarz mu płonie.

Rabin ponownie uniósł swą laskę. Znowu zapanowała cisza, którą mącił z rzadka płacz niemowląt. Orme nie spojrzał w dół. Nie chciał, aby rozpraszał go widok nagich piersi. „On potrafi czytać w myślach i pozna prawdę” - pomyślał. W sekundę później doszedł jednak do wniosku, że to z pewnością bzdura. Ostatecznie, zgodnie z tym, co mu powiedziano, Mesjasz to tylko człowiek - choć adoptowany przez Boga - i wcale nie telepata. „Poza tym - pomyślał - nie wiem, czy to, co o nim mówią, jest prawdą. Być może Danton ma rację.”

W chwilę później szepnął:

- O, Panie, uchron mnie przed zwątpieniem. Spraw, abym uwierzył.

No i proszę! Czyż to nie dziecko odezwało się w nim? Dziecko wierzące we wszystko, co mu powiedzieli ojciec i matka? Dziecko, które nigdy nie umiera?

Zdał sobie sprawę, że podczas gdy był pogrążony w myślach, rabin wraz z tłumem rozpoczęli następny hymn, tym razem w języku *krsz*. Teraz mógł zrozumieć większość słów, przyłączył się więc do śpiewających. Trzeci hymn był jednak znów po hebrajsku, umilkł więc, czując na sobie surowe spojrzenie Hfathona.

Rabin uniósł laskę. Milion ludzkich głosów, nie licząc niemowląt, opadło w dół jak fala

rozbijająca się o brzeg. Pulsujące światła zaczęły gasnąć. Na sklepienie wrócił jednolity błękit. Po chwili słońce również zaczęło przygasać. Tłum wydał przeciągły okrzyk zachwytu. Kula rozjaśniła się czerwienią, a potem stała się niewidzialna. Jaskinię wypełnił mrok. Orme nie widział nawet Hfathona i Danton, stojących tuż przy nim. Wokół niego, jak i w jego wnętrzu, zapanował całkowity mrok. Słyszał jedynie krew pulsującą we własnych żyłach. Nawet niemowlęta zamilkły, choć Orme spodziewał się, że zarówno one, jak i nieco starsze dzieci, zapłaczą głośno.

Jak długo to trwało? Nie potrafił powiedzieć. Wydawało mu się, że upłynęło wiele minut. Nagle rozległ się grzmot. Orme podskoczył z wrażenia. Był to tylko odgłos laski rabina uderzającej o kamień. Po chwili protagonista natężył głos i tłum ponownie zaczął śpiewać.

Orme nie przestawał patrzeć w górę. Ujrzał niebawem pierwsze ciemnoczerwone rozbłyski wracającego do życia słońca. Stopniowo stawało się coraz jaśniejsze i w końcu jego blask był wystarczający, by dostrzec ludzi stojących obok. Było to jednak światło widmowe, w którym ludzie wyglądali jak duchy.

Pod koniec kolejnego hymnu słońce znów nieco pojaśniało. Po raz drugi tłum wydał okrzyk zachwytu. Orme mógł teraz dostrzec czarny punkt na tle pomarańczowej kuli. Zbliżał się do nich sukcesywnie.

Słońce pojaśniało jeszcze bardziej, choć nie na tyle, aby Orme nie mógł co chwila spoglądać na nie przez sekundę lub dwie. Było już widać wyraźnie zarys ludzkiej sylwetki.

Orme jęknął głośno i uściśnął dłoń Danton. Była zimna i wilgotna.

Z tyłu ktoś głośno pierdnął.

Orme parsknął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Spodziewał się, że winny spotka się z oburzeniem zebranych, lecz ku jego zdumieniu większość na platformie również wybuchnęła głośnym śmiechem. Rozejrzał się wokoło i dostrzegł Jaakoba, który - mimo że się uśmiechał - był czerwony ze wstydu. Rabin, który nie widział w tym nic zabawnego (aczkolwiek musiał wiedzieć, że śmiech jest sposobem na rozładowanie napięcia), uderzył laską o kamień i uciszył zebranych krzykiem.

Orme ponownie spojrzął w górę.

- Słyszę, że szczękasz zębami, Richard - oznajmiła Danton.

Zacisnął, mocno zęby, zdając sobie sprawę, że drży cały jak w gorączce.

- Ty też nie wyglądasz za dobrze, Madeleine - powiedział.

Również Shirazi nie sprawiał korzystnego wrażenia. Był błądy. Przygryzał nerwowo wargi. Bronski miał usta rozchylone, a zęby zaciśnięte. Zaciśnięte dłonie podniósł na wysokość splotu słonecznego.

Mężczyzna ubrany w szatę koloru błękitnego opadał powoli w dół. Stopy miał bose. Długie włosy ciągnęły się za nim. Zdawały się być koloru ciemnoczerwonego. Ramiona trzymał opuszczone wzdłuż ciała, a głowę odrzuconą do tyłu.

Rabin huknął:

- Ja Jezua ha Meszizach!

Tłum powtórzył ten okrzyk.

- Oto Jezus, Mesjasz!

Mężczyzna, który wylądował na platformie wśród okrzyków, wrzasków i łkań miliona ludzi, miał mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy i brodę koloru tycjanowskiego oraz miłą, nieco semicką twarz. Nie takie jednak rysy zostały uwiecznione na sławnym Całunie Turyńskim. Jego ramiona były muskularne, ale nie masywne. Dłonie - duże, o długich palcach. Oczy - czarne i lśniące. „Wargi - pomyślał Orme - nieco za grube, jak na człowieka rasy białej”. (Ale cóż on miał tu do powiedzenia?) Kości policzkowe osadzone wysoko, policzki nieco zapadnięte, nos długi i lekko haczykowany, podbródek masywny, z wyraźną kreską pośrodku. Skóra o pięknej, złocistobrazowej barwie.

Stał bez ruchu, przez chwilę spoglądając na ludzi zebranych na platformie. Następnie

odwrócił się, unosząc prawą rękę, i przemówił głębokim, wyważonym barytonem.

- Niech Duch Świętości uśmiechnie się do was, dzieci moje. Jest On z was bardzo zadowolony. Dzień powrotu już niedaleki.

Tłum bił brawo przez wiele minut. W końcu Jezus uciszył ich, unosząc rękę. Wszyscy natychmiast umilkli, z wyjątkiem niemowląt, które znowu zaczęły płakać.

- Powrót jest bliski, przed nami jednak jeszcze wiele pracy. Jutro wasi przywódcy zaznajomią was ze szczegółami. Ogólne zarysy planu są wam znane. Dlatego też nie spędzę tego dnia z wami, jak to bywało uprzednio.

Tłum przeciął jęk zawodu.

Jezus uśmiechnął się i oznajmił:

- Nie wrócę też jednak do domu tak szybko, jak to zwykłem robić. Tym razem spędzę z wami całe dwa tygodnie.

Milion ludzi wydał okrzyk radości.

- Spotkał was niezwykle zaszczyt! Na pewno zostaje z waszego powodu! - Hfathon ryknął Orme'owi w ucho.

Kanadyjczyk ledwie go słyszał. Odczuwał rosnące odrętwienie, nie na tyle jednak, aby nie zdawać sobie sprawy, że cały drży. Poczłł gwałtowną potrzebę oddania moczu. Postać Jezusa migotała, jakby powietrze pomiędzy nimi rozrzedzało się pod wpływem ciepła.

Jezus uniósł rękę. Ponownie, jakby za naciśnięciem guzika, tłum zamilkł.

- Pójdźcie dzieci moje do synagogi, oddać cześć waszemu Ojcu, a potem radujcie się jedzeniem, śmiechem, miłością i wszystkimi dobrymi rzeczami, którymi pobłogosławił was Ojciec. *Szalom*.

Jezus odwrócił się i podszedł w stronę czwórki Ziemian. Orme padł na kolana i ucałował wyciągniętą do niego rękę.

- Wybacz mi, Panie - powiedział. - Wątpiłem. Dopuściłem się złych uczynków...

Wszystko zawirowało. Gdy odzyskał przytomność, leżał na plecach. Otworzył oczy i ujrzł brodatą twarz.

- Co się stało?

- Zemdlaleś - odparł Hfathon. - Tak jak i Madeleine.

## 14.

Czwórka Ziemian znajdowała się w mieszkaniu Shirazich.

— To miało podłoże emocjonalne - stwierdził Orme. - Pozwoliłem zapanować nad sobą wyuczonym w dzieciństwie odruchom. Czuję się już znacznie lepiej. Naprawdę ochłonałem. Potrafię spojrzeć na to obiektywnie. - Uśmiechnął się blade. - Pod warunkiem, że nie ma GO w pobliżu.

Madeleine odzywała się bardzo mało od chwili, gdy opuściła platformę i wróciła do domu podtrzymywana przez Nadira. Orme przypuszczał, że czuła się zawstydzona i upokorzona. Nic dziwnego. Była zagorzałą ateistką od czasu, gdy skończyła osiemnaście lat. Otwarcie wyrażała pogardę dla tych, którzy sadzili, że Bóg może istnieć i naśmiewała się z tych, którzy twierdzili, że Jezus był Jego Synem. Co prawda Marsjanie nie mówili nic o narodzinach z dziewicy, a nawet temu zaprzeczali. Niemniej widok człowieka, który potrafi dowieść, że żyje już od ponad dwóch tysięcy lat, jak również jego znaczne podobieństwo do osoby, której portrety widziała tyle razy, choćby w domu rodziców, a także w kościołach i galeriach sztuki, spowodowały u niej potężny wstrząs. Dawno pogrzebana, lecz nigdy całkowicie nie wygasła wiara, zapanowała nad nią.

A może nagle zwątpiła w swoją rację? Może uległo właśnie zniszczeniu jej wyobraże-

nie o sobie samej jako racjonalistce, zawsze nastawionej sceptycznie, kierującej się wyłącznie przesłankami naukowymi? Kryzys tożsamości, brutalna, gwałtowna weryfikacja dotychczasowych wyobrażeń o sobie samym to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą przydarzyć się człowiekowi. Nie ma przed tym obrony, poza szaleństwem lub samobójstwem, chyba że zaatakowany ma naprawdę silny charakter.

Madeleine była silna. Tak przynajmniej Orme sądził do tej pory. W tej chwili wyglądała jednak, jakby dopiero zaczynała powracać do zdrowia po długiej chorobie.

Milczenie, które narastało po słowach Orme'a, przerwał Avram Bronski.

- Ja też o mało nie zemdlałem - powiedział. - Nie bądź na siebie zły, Richard To było wstrząsające przeżycie. Musimy jednak, jak powiedziałeś, ochłonąć. Ostatecznie można jakoś wytłumaczyć fakt, że on się unosił w powietrzu bez żadnego widzialnego napędu. W tym rzecz - widzialnego. Kto wie, jakie urządzenie mógł ukryć pod szatą? Ten pojazd, który zawiózł nas na platformę, również nie posiadał żadnych widocznych źródeł zasilania. Dlaczego z nim nie miałyby być tak samo?

Spostrzeżenia Bronskiego brzmiały rozsądnie. Nikt jednak nie uważał ich za bliskie prawdy. Z człowieka zwanego Jezusem promieniowała moc, która sprawiała, że zdawało się potwierdzać wszystko, co mówili o nim Marsjanie. Przyczyna leżała nie w jego słowach, w których nie było nic nadzwyczajnego, ani też w rysach jego twarzy czy postawie. Choć był przystojny, silny i prezentował się wspaniale, to wielu ludzi, których znali, posiadało te same cechy w równym lub nawet większym stopniu. On miał moc, charyzmę (słowo, które znaczyło tak mało, ponieważ tak często je nadużywano), były z niego niewidzialne błyskawice. Zarówno Krsze, jak i zamieszkali tutaj ludzie, gorąco pragnęli go oglądać, dotykać, przebywać z nim, aby spłynęła na nich choćby cząstka jego mocy. Jedynie czwórka marsonautów obawiała się go i myślała z lękiem o następnym spotkaniu. Równocześnie jednak przyciągało ich osobliwe pole magnetyczne, które wytwarzał. Tak czy inaczej, w najbliższej przyszłości będą się musieli z nim spotkać. Nie istniał żaden prosty sposób, by tego uniknąć.

Może jednak obawiali się nie tyle jego, co samych siebie. Późnym rankiem, gdy włączyli telewizor, ujrzeli go, jak wychodził z głównego budynku rządowego. Efekt wywierany przez obraz holograficzny był niemal tak potężny jak ten, który znali z platformy. W samym środku programu Danton wstała z krzesła i wyłączyła odbiornik. Nikt nie oponował.

- Nie wiem - powiedziała, kręcąc głową.

- Czego? - spytał Nadir.

- Po prostu nie wiem.

Wyszła bez słowa do sypialni. Irańczyk zaczął podnosić się z miejsca, aby pójść za nią, zmienił jednak zdanie.

- Martwię się o nią - rzekł, siadając z powrotem. - Nie chce mi zdradzić, co jej dolega.

- Wiesz, w czym rzecz - odparł Orme.

Shirazi nie odpowiedział. Nie było potrzeby tego robić. W tej samej chwili teleekran zaświecił i pojawiła się przed nimi twarz Hfathona.

- Szalom - zaczął. - Proszę was, przyjdźcie natychmiast na uniwersytet, aby rozpocząć pracę nad następnym programem dla Ziemi. Gdy zostanie nadany, będzie wam wolno od czasu do czasu porozmawiać z waszymi ludźmi.

Jeśli Hfathon oczekiwał, że ucieszą się na tę wiadomość, doznał zawodu. Cała trójka milczała, spoglądając ponuro. Wreszcie Orme przemówił:

- Za chwilę przyjdziemy, Hfathon. Przynajmniej my trzej. Nie wiem, jak Madeleine.

Puszyste brwi Krsza uniosły się w górę.

- Jeśli nie chce przyjść, to nie musi. Pamiętajcie jednak, że należy wytłumaczyć waszym kolegom na Ziemi, dlaczego jej nie ma. W przeciwnym razie mogą nabrać jakichś podejrzeń.

Ponieważ Shirazi nie zdradzał ochoty, by udać się po Madeleine, do drzwi jej sypialni zapukał Orme. Nieoczekiwanie oświadczyła mu, że przyjdzie za minutę.

Kapitan wrócił do pokoju z uśmiechem na twarzy.

- Może niepotrzebnie się tak przejmowaliśmy. Mam wrażenie, że już z nią dużo lepiej. Ostatecznie jest przecież bardzo zrównoważona psychicznie. W przeciwnym razie nie byłoby jej tu z nami.

Bronski uśmiechnął się z przekąsem.

- Wytrzymałość każdego ma swoje granice, a załamanie może zostać spowodowane przez czynniki, których nie da się wcześniej wykryć.

- Proszę bardzo. Bądź sobie pesymistą - odrzekł Orme.

Madeleine nie była zbyt ożywiona, ale odpowiadała na zadane jej pytania. Gdy jednak weszli do biura Hfathona, straciła oddech z wrażenia. Wyglądała, jakby miała natychmiast stamtąd uciec. Kanadyjczyk nie potępiał jej za to. Sam był nie mniej zdumiony. Za biurkiem Hfathona siedział Mesjasz.

Jezus wstał i przemówił serdecznym tonem:

- *Szalom*, przyjaciele. Przybyłem tu, aby wam pomóc w przygotowaniu programu. Mogę w znacznym stopniu przyspieszyć tę sprawę.

Orme usiłował znaleźć w sobie dość odwagi. Dlaczego właściwie czuł się jak niegrzeczne dziecko, przyłapane na czymś bardzo wstydlwym przez potężną i surową starszą osobę? Był wartościowym i dumnym mężczyzną. Byłoby śmieszne z jego strony po prostu dać się zastraszyć. Jezus nie groził mu przecież w żaden sposób. Wydawał się bardzo przyjaźnie nastawiony, gotów traktować innych jak niemal równych sobie. Dlaczego więc nie podejść do tego na luzie?

Łatwiej było pomyśleć, niż zrobić. Mimo to podszedł do Jezusa z wyciągniętą ręką i zdołał się nawet nieznacznie uśmiechnąć.

- *Szalom*, rabbi.

Jezus spojrział na wyciągniętą dłoń, a potem skierował pytające spojrzenie na Hfathona.

- Rabbi - powiedział Krsz - na Ziemi istnieje zwyczaj podawania sobie rąk na powitanie. Tutaj jednak całuje się dłoń Mesjasza - dodał, zwracając się do Orme'a.

Murzyn poczuł się nieco pewniej. Mesjasz nie był wszechwiedzący.

Jezus oświadczył:

- Oni są naszymi gośćmi. Nie mam nic przeciwko uhonorowaniu nieszkodliwego zwyczajowi. - Wyciągnął rękę. Marsonauta ujął ją. Poczuł potężny uścisk i lekkie mrowienie. Po-dejrzewał, iż tamten mógłby zmiąć jego dłoń, gdyby tylko zapragnął. Być może jednak ponosiła go fantazja.

Następnie Jezus podał dłoń pozostałym. Madeleine musiała zebrać wszystkie swe siły. Uścisnęła mu rękę mocno, patrząc przy tym prosto w jego wielkie ciemne oczy, przypominające oczy jelenia.

„Mocna baba! - pomyślał Orme. - Jest równie twarda, jak my wszyscy”.

Niemniej Madeleine lekko poblądła, zresztą Shirazi i Bronski także.

- Za waszym pozwoleniem - powiedział Jezus tonem, który wskazywał, iż spodziewał się, że przystaną na wszystko bez zastrzeżeń - zamierzam zrobić coś, co rzadko czynię. Ludzie to lubią, choć mówiłem im, że zbyt to przypomina tanie pseudomagiczne sztuczki. Mówiłem im też, że sami mogliby tego dokonać, gdyby tylko mieli dość wiary we własne siły. Hfathon i jego koledzy powiedzieli mi o książce, którą nazywacie Nowym Testamentem. Wiem, że mowa jest tam o tak zwanych cudach, które ponoć czyniłem podczas pobytu na Ziemi. Nie robiłem tego, choć mogłem. Wtedy jednak o tym nie wiedziałem. Nawet Syn Człowieczy nie jest doskonały, jak to ongiś rzekłem w Palestynie. Tylko Duch Boży ma tę właściwość. Tylko On jest dobry. Jestem jednak Jego adoptowanym synem i w związku z tym mogę dokonać kilku rzeczy, nieosiągalnych dla zwykłych śmiertelników. Przynajmniej na razie.

Podszedł do stołu i nalał wina do pięciu szklanek.



- Najpierw napijmy się razem, przyjaciele.

Orme wziął szklanekę z jego rąk. Pomyślał o swoich rodzicach, którzy twardo odmawiali spożywania jakichkolwiek napojów alkoholowych, chociaż wierzyli, że Jezus zamienił wodę w wino podczas wesela w Kanie Galilejskiej. Gdyby mogli ujrzyć Jezusa w tej chwili, dostaliby apopleksji.

Wypiwszy wino, podążyli za Mesjaszem przez szereg pokoi do olbrzymiego audytorium. Czekali tam na nich ekipy telewizyjne, wielu pracowników uniwersytetu oraz rzesza urzędników państwowych. Było też kilku szczególnie uprzywilejowanych studentów oraz, przypuszczalnie, paru krewnych i protegowanych osób na wysokich stanowiskach. Tutaj, podobnie jak na Ziemi, nepotyzm nie był zjawiskiem nieznanym. Był może trochę mniej ostentacyjny.

Jezus podszedł do szefów ekip telewizyjnych, aby z nimi porozmawiać. Każdy z nich musiał najpierw ucałować jego rękę. Orme'owi podobał się ten widok. Byli tacy pokorni i pełni respektu. Kontakty z przedstawicielami telewizji na Ziemi napełniały go odrazą. Strugali takich ważniaków. Zwłaszcza pracownicy telewizji państwowej. Rzecz jasna, sami lizali tyłki wyżej postawionym urzędnikom i politykom.

Przez kilka minut Orme kręcił się bez celu. Kamery irytowały go. Były to małe urządzenia wielkości paczki papierosów, które operatorzy trzymali jedną ręką, spoglądając jednocześnie przez wizjer przytwierdzony do grzbietu pudełka. Kilku miało na głowach opaski, do których przymocowali kamery, mniej więcej na wysokości oczu. Oczywiście wszelkie przewody czy kable dawno wyszły tu z użycia.

W głębi sali ulokowały się ekipy śledzące to, co rejestrowały kamery dokonujące montażu i innych dziwnych czynności, niezrozumiałych dla laika. Tuż obok znajdowała się trybuna, na której stała orkiestra. Orme spojrzał w tamtą stronę. Zdumiał się, ujrawszy Gulthilo, która ćwiczyła właśnie na swym flecie.

Podszedł do niej natychmiast

- Gulthilo!

Przestała grać i uśmiechnęła się do niego.

- Richard! Jak się masz?

- Poza tym, że jestem lekko wstrząśnięty, to nie najgorzej. Do jego obecności - wskazał ręką na Mesjasza - trudno przywyknąć.

Gulthilo spojrzała na Jezusa wzrokiem pełnym uwielbienia.

- Nigdy się do niego nie przyzwyczaisz.

Spojrzała na Orme'a i uśmiechnęła się.

Poczuł, że topnieje. Była tak piękna.

- Czy myślałeś o tamtej nocy?

- Nie zapomniałem o niej ani przez chwilę.

Było to kłamstwo, lecz rzeczywiście myślał o niej wiele.

- I co z tego wynikło?

- Kilkadziesiąt erekcji - oznajmił, zastanawiając się, czy tutejsze obyczaje pozwalają na tak śmiałą wypowiedź.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, lecz szybko tam powrócił.

- I to wszystko?

- Jasne, że nie. Posłuchaj, Gulthilo. Wydaje mi się, że jestem w tobie zakochany. Czy jednak poznałem cię naprawdę? A ty mnie? Pochodzimy z bardzo odmiennych kultur. Czy moglibyśmy żyć ze sobą bez konfliktów? W małżeństwie zawsze występują różnice zdań, nawet jeśli małżonkowie zostali wychowani w tej samej kulturze. Oczywiście podstawowym źródłem zdrażnień są różnice charakterów oraz płci. W naszej sytuacji jednak... Nie chodzi o to, że jesteś Żydówką. Jesteś marsjańską Żydówką, a to zupełnie inna sprawa! Gdyby nie to... no cóż...

- Ale ty też zostałbyś Żydem - odrzekła. - W przeciwnym razie nie moglibyśmy się pobrać. Nie wyszłabym za ciebie.

Zaległa między nimi cisza, choć wokoło nadal było gwarno. Muzycy dęli w trąby, rzępolili na skrzypcach, dmuchali we flety, uderzali w dzwonki, walili w bębny. Nieco dalej rozlegały się okrzyki członków ekip telewizyjnych oraz salwy śmiechu, być może wywołane czymś, co powiedział Jezus, ponieważ dobiegały z tłumu zebranego wokół niego.

- Nie mam zamiaru się z tobą spierać, ani cię prosić - oświadczyła. - Nie rozumiem jednak, jak możesz się wahać. Mam na myśli nawrócenie. Jesteś inteligentnym człowiekiem. W przeciwnym razie przez myśl by mi nie przeszło, aby wyjść za ciebie, niezależnie od tego, jak bardzo byłbyś fizycznie pociągający. Wiem, że bylibyśmy dobrym małżeństwem przez co najmniej sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat, a może dłużej. Wysłałam nasze fizyczno-chemiczno-psychologiczne dane do ośrodka i odpowiedzieli mi, że stanowimy świetnie dobraną parę. Twoje geny również są do zaakceptowania, choć stwierdzono dziedziczną skłonność do cukrzycy, a w wieku lat pięćdziesięciu pięciu mógłbyś zachorować na raka wątroby. Rzecz jasna, można temu zapobiec. Moglibyśmy mieć piękne i inteligentne dzieci. Bylibyśmy wszyscy tacy szczęśliwi. Nie znaczy to, że nie przeżywalibyśmy konfliktów czy przejściowych kryzysów, lecz z tym dalibyśmy sobie radę.

Życie na Marsie wydawało mu się jedną serią zdumiewających niespodzianek. Przez co najmniej minutę nie mógł wykrztusić słowa. Wreszcie eksplodował:

- Jezu Chryste!

Gulthilo spojrzała na niego zdziwiona. Zdał sobie sprawę, że odezwał się po angielsku.

- Chcesz powiedzieć - zaczął powoli w języku *krsz* - że wysłałaś tam moją mapę genetyczną, czy jak to się nazywa, nawet nie pytając mnie o zgodę?

- Dlaczego miałabym pytać?

- Ostatecznie miałbym zostać twoim partnerem. A co by się stało, gdyby badania wykazały, że całkowicie do siebie nie pasujemy? Czy kierujecie się wyłącznie nimi? Czy nie wolno wam zawierać małżeństwa z kim chcecie, niezależnie od tego, co mówi aparatura?

- Oczywiście, że wolno. Niektórzy nie zwracają na to uwagi. Przecież istnieje też namiętność, jak chyba dobrze wiesz. Jednakże dwa tysiące lat praktyki wykazały, że te badania potwierdzają się w 98,1 procent przypadków. Nie chodzi przecież o sezonowe małżeństwo. Mówię o dobrym, porządnym małżeństwie, o trwałej, wzajemnej miłości. Co prawda, sądząc z tego, co usłyszałam od ciebie, większość ludzi na Ziemi nie posiada cech niezbędnych do stworzenia takiego związku.

- Może trochę przesadziłem - odrzekł. - No dobrze, a co z pozostałymi, z tym 1,9 procent?

- Nie mają dzieci. Z jakichś przyczyn są bezpłodni.

- Myślałem, że wasi uczeni potrafią uczynić płodnym każdego.

- Teoretycznie potrafią. Jednakże te przypadki przeczą temu.

Zawahała się, po czym wskazała ręką gdzieś za jego plecy, a następnie szybko ją cofnęła.

- Nigdy tego nie powiedziano publicznie, ale wszyscy uważają, że to on jest powodem tej bezpłodności.

Orme obejrzał się.

- Kto? Aha, masz na myśli jego?

Gulthilo skinęła głową.

Orme spojrzał na nią z niedowierzaniem:

- Nie gadaj! Czy wiesz, co ty mówisz? Czy on może zapobiec poczęciu za pomocą... czego...? Samej myśli? Teleantykoncepcja?

- Nie wiem, jak on to robi. Jednak to prawda. Tak przynajmniej sądzimy. Jak inaczej można by to wytłumaczyć?

- Najprawdopodobniej odpowiedzialni za to są wasi uczeni, czy raczej wasz rząd.
- O nie! - odpowiedziała. - To byłoby sprzeczne z prawem.
- A więc on łamie prawo?
- On jest źródłem wyższego prawa.

Orme westchnął. Jeśli wierzyła, że rządzący państwem nie robią niczego potajemnie, była naiwna. A może jednak miała rację? Ostatecznie znała swój świat lepiej niż on. Czy rząd tutaj ośmieliłby się zrobić coś nielegalnego? Wszyscy jego członkowie wiedzieli doskonale o parze oczu, które śledziły ich ze „słońca” i - przynajmniej w teorii - widziały wszystko.

- Odeszliśmy za daleko od mojego pytania - stwierdziła.

Przypadek zrzucił, że został zwolniony z obowiązku udzielenia odpowiedzi. Podszedł do niego jakiś Krsz i poinformował go, że powinien wraz z innymi zająć miejsce w wydzielonym sektorze i tam czekać w spokoju, aż przyjdzie kolej na jego wystąpienie.

Richard udał się za nim aż do narożnika sali. Usiadł tam wraz z Bronskim i Shirazim, którzy sprawiali wrażenie, jakby chcieli się odezwać, lecz nie starczało im odwagi. Po kilku minutach orkiestra zaczęła przygrywać.

Hfathon, skapany w jasnym świetle, stanął na samym środku olbrzymiej sali. Kilkunastu kamerzystów ustawionych w różnych miejscach, skierowało na niego obiektywy. Orme popatrzył w górę i dostrzegł jeszcze dwóch. Usadowili się na balkonach, wysoko na ścianie.

Reżyser dał znak. Muzyka przeszła w zawrodożenie zakończone uderzeniem cymbałów, pod wpływem którego Orme aż podskoczył.

Hfathon, uśmiechając się, zaczął mówić po grecku.

## 15.

„Za około jedenaście minut - pomyślał Orme - przekaźniki umieszczone na satelitach wokół Ziemi zaczną odbierać te transmisje. We wszystkich stacjach telewizyjnych, na całej planecie, zasiedli już zapewne uczeni, specjaliści od nowotestamentowej greki, którzy będą pospiesznie tłumaczyć wszystko na swój język ojczysty. Niektóre wyrazy mogą stanowić dla nich zagadkę, ponieważ nie wchodziły na Ziemi w zakres słownictwa tego języka. Ich znaczenie będą musieli odgadnąć później”.

Hfathon oraz dziesięciu jego towarzyszy uczyli się wprawdzie angielskiego od swoich „gości”, lecz lekcje nie trwały więcej niż godzinę i nie odbywały się codziennie. Minie jeszcze kilka miesięcy, zanim uczniowie zaczną mówić płynnie. Hfathon jednak, podobnie jak trzej inni Krsze, miał znakomity akcent z Toronto i mógł być zrozumiany wszędzie, gdzie mówiono po angielsku.

Orme zaproponował, że przemówi sam, co wyeliminowałoby potrzebę angażowania tłumaczy, jednakże odmówiono mu, nie podając żadnego wyjaśnienia.

Sądził, że „gospodarze” upierali się przy grece *koine*, ponieważ chcieli być bardziej autentyczni. Ziemianie nie mogli teraz wątpić, iż Marsjanie znali język Nowego Testamentu i to lepiej niż uczeni z Zielonej Planety. Był to kolejny dowód na prawdziwość ich słów. Można było co prawda twierdzić, że nauczyli się tego języka od Bronskiego, lecz ów potrafił jedynie biegle w nim czytać. Poza tym nawet najbardziej podejrzliwym trudno byłoby uwierzyć, że Marsjanie zadawali sobie tyle trudu z nauką *koine* tylko po to, aby dodać jeszcze jeden szczegół do swojego, i tak już bardzo starannie przygotowanego, oszustwa.

Nagle Hfathon przestał mówić. Orkiestra zagrała kilka taktów utworu przypominającego początkowy fragment VII symfonii Beethovena. Jezua ha Meszijach, Jezus Chrystus - „albo jego przekonujący sobowtór” - pomyślał Orme - wyszedł powoli na środek. Hfathon, zatrzymując na nim spojrzenie, wycofał się w cień.

Jezus podniósł rękę. Muzyka umilkła. Zaczął mówić po grecku głębokim głosem, pod wpływem którego ciarki przebiegły Orme'owi po plecach.

Kanadyjczyk rozejrzył się wokół i nabrawszy pewności, że nikt na niego nie patrzy - choć mogły być na niego skierowane ukryte kamery - szepnął Bronskiemu do ucha:

- Co on mówi?

Bronski odwrócił głowę, tak iż jego usta znalazły się tuż przy uchu Orme'a. Równocześnie starał się jednym okiem obserwować mówiącego.

- Powiada, że nie lubi tego robić, lecz sądzi, iż zachodzi potrzeba, aby zademonstrował swoją moc. Zdaje sobie sprawę, że w takiej sytuacji łatwo o oszustwo, lecz - jak twierdzi - dokonywał takich samych rzeczy w warunkach laboratoryjnych, pod ścisłą kontrolą. W późniejszym terminie zostanie nadany zapis filmowy tego wydarzenia. Rzecz jasna, można podejrzewać, że Marsjanie podadzą fałszywe dane na temat tych eksperymentów, więc za jakiś czas przebywający gościnnie na Marsie Ziemianie obejrzą następny pokaz, aby mogli przekonać się, a co za tym idzie, również mieszkańców swojej planety, że jego moc jest autentyczna.

- Tak, ale na Ziemi powiedzą, że zmuszono nas, abyśmy to potwierdzili.

- O tym właśnie teraz mówi. O! O!

- Co? Co?

- Oświadczył, że jeśli to nie wystarczy, przekona wszystkich, gdy przybędzie na Ziemię!

Rozległo się chóralne:

- Ja Jezua!

Orme zaczął coś mówić, lecz jakiś twardy przedmiot ugodził go w plecy. Obejrzał się i zobaczył stojącego za nimi olbrzymiego Krsza. W rękę trzymał długą drewnianą tykę, końcem której szturchnął Ziemianina. Krsz pokręcił głową, przykładając palec do warg. Orme czuł się tak, jakby kościelny zwrócił mu uwagę podczas nabożeństwa.

Postać w błękitnej szacie, stojąca na środku sali, wyciągnęła ręce nad głową. Następnie uniosła się na wysokość około trzech metrów ponad podłogę i - wciąż wyciągając ramiona - wykonała trzy pełne obroty. Orkiestra zaczęła grać jakąś szaleńczą muzykę w tonacji moll.

- Jak na pokazie iluzjonistycznym - mruknął Richard. Był jednak przekonany, że to nie żaden trik.

Jaki efekt mogło wywołać oświadczenie Jezusa, że zamierza on przybyć na Ziemię? Konsternację, rzecz jasna. Zwłaszcza wśród mężów stanu i osób religijnych. To była najbardziej niepokojąca wiadomość, jaka kiedykolwiek dotarła na Ziemię. Jej implikacje nie ograniczały się do sfery religii. Dadzą się one odczuć na każdym polu - politycznym, religijnym, naukowym, ekonomicznym, psychologicznym i tak dalej.

Jak wiele krajów pozwoli swoim obywatelom obejrzeć ten program? Z pewnością nie kraje komunistyczne. Tam aparatczycy obejrzą go, lecz nigdy nie pozwolą na to szerokim masom. Nie da się jednak ukryć takiej rzeczy na zawsze i wkrótce pojawią się pochodzące z przemytu kasety, choćby ze wszystkich sił starano się temu zapobiec.

Ciekawe jednak, co robią rządy demokracji socjalistycznych? Czy przekazują program, czy też zastanawiają się teraz gorączkowo, jaką podjąć decyzję? Jeśli ta transmisja zostanie udostępniona, wiele grup społecznych zareaguje historycznie. Zaprotestują różne kościoły: protestanci, rzymscy katolicy i chrześcijanie obrządku wschodniego, zapewne też ortodoksyjni i reformowani Żydzi, muzułmanie, choć ci ostatni nie byli liczącą się siłą polityczną w Ameryce Północnej, i kto wie, ile jeszcze mniej znanych sekt. Reakcja bardziej liberalnych kościołów jest trudna do przewidzenia. Wszystkich jednak, łącznie z liberałami, dręczycy będzie jedna myśl: a co, jeśli to naprawdę jest Jezus, a oni wszyscy byli w błędzie?

Jeśli chodzi o Hindusów, spróbują oni przyswoić tego marsjańskiego Jezusa swojej religii, tak jak to robili z niemal każdym nowym bogiem. Nie, jednak nie mogli tego uczynić,

ponieważ ten Jezus zaprzeczał, jakoby był bogiem. Poza tym odrzuciłby on religię hinduską w całości.

Jeśli zaś chodzi o agnostyków i ateistów, będą oni tak samo zaniepokojeni i zareagują równie gwałtownie.

Była to polityczna bomba atomowa, podrzuczona ziemskim przywódcom. Cóż mogli z nią zrobić? Nie uda im się przecież pominąć całej sprawy milczeniem. Politykierzy nieźle się spocą, będzie ich dręczyć zgaga, a kolejki do toalety w budynkach rządowych wydłużą się w okamgnieniu.

Kanadyjczyk przerwał rozmyślania, gdy Jezus wylądował łagodnie na podłodze. Mesjasz powiedział coś, uśmiechnął się, a następnie zwrócił twarz w ich stronę i wskazał na Orme'a. Przynajmniej ten odniósł takie wrażenie.

- On zaraz... - powiedział Bronski cichym, lecz podekscytowanym głosem.

Richard Orme nie usłyszał reszty zdania. Nagle wzbiał się w powietrze i popłynął ponad krzesłami w stronę człowieka wskazującego na niego palcem. Nie opierał się. Ostatecznie był przyzwyczajony do stanu nieważkości. Czuł odrętwienie, jednak nie przeszkadzało mu to żywić nadziei, że nie wydawał się przestraszony lub śmieszny. Jezus powinien być przynajmniej go uprzedzić.

- Nie bój się! - krzyknął Jezus w języku *krsz.* - Nic ci się nie stanie.

Powiedział też coś po grecku. „Zapewne - pomyślał Orme - tłumaczył słowa, które wyrzekł przed chwilą”. Nie było czasu zastanawiać się nad tym nieistotnym szczegółem. Orme wystrzelił nagle w górę, głową niemal dotykając sufitu. Z dołu i z boku kamerzyści skierowali na niego swe przyrządy. Próbował się uśmiechnąć, lecz w tym momencie właśnie wywinął koziołka i, wciąż obracając się, choć nie tak szybko, aby zakręciło się mu w głowie, opadł w dół. Na wysokości dwóch metrów nad podłogą wirowanie ustało. Orme zawisł w powietrzu.

- Przepraszam cię, Richardzie Orme - powiedział Jezus. - Musiałem to uczynić, ponieważ twoje słowo, jako kapitana obecnych tu Ziemian, będzie miało większą wagę.

Zgiął palce i Murzyn wylądował łagodnie u boku Mesjasza. Odzyskał nagle swój ciężar. Stał na podłodze, mrugając oczami i uśmiechając się. Był to jednak uśmiech głupkowaty.

- Teraz - powiedział człowiek w błękitnej szacie - byłbym wdzięczny, gdybyś powiedział swoim ludziom, po angielsku rzecz jasna, że nie było w tym żadnego oszustwa.

Orme zaczął coś mówić. Poczul jednak, że jest zdyszany, odczekał więc chwilę, zaczerpnął tchu i rzekł:

- To, co mówi Jezus, jest prawdą. Nie doczepiono do mnie żadnych przewodów, żadnych urządzeń napędowych... nic z tych rzeczy. To dla mnie całkowite zaskoczenie. Nie wiem, jak on to zrobił, ale...

Nie powinien był użyć imienia Jezus. Ujawnił przez to, że wierzy, iż ten człowiek rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje.

A czy nie wierzył?

- Dziękuję - powiedział Jezus.

Orme odwrócił się i udał w stronę sektora, lecz nagle przystanął. Drżał tak bardzo, że nie mógł dalej iść. Wyglądało na to, że nogi za chwilę odmówią mu posłuszeństwa. I wówczas tajemnicza moc znów uniosła go w górę, przemieściła w stronę krzesła, zatrzymała tuż nad nim, odwróciła i łagodnie posadziła na miejscu.

- Ja Jezua ha Meszjach! - krzyknął tłum.

Jezus podniósł ręce. Zapanowała cisza. Po chwili na scenie pojawili się człowiek i Krsz. Ciągnęli za sobą klatkę umieszczoną na kołach. W jej środku znajdował się wielki baran. Za nimi szedł Krsz trzymający w jednym ręku krótką, tępo zakończoną włócznię, a w drugim wielki topór.

Baran beczał i walił rogami w pręty klatki. Niezależnie od tego, jaki czekał go los, nie okazywał strachu. Był gotów do walki.

Mężczyźni zatrzymali się przed Jezusem i złożyli mu pokłon. Jeden z nich otworzył drzwi klatki. Przez minutę baran stał nieruchomo, po czym wybiegł ze swojego więzienia, szarżując prosto na człowieka w błękitnej szacie. Rzesze ludzi wstrzymały oddech z wrażenia. Niektórzy krzyczeli głośno, lecz Jezus nie zwracał na nich uwagi. Wbił wzrok w barana i wskazał na niego palcem. Zwierzę zatrzymało się z drżeniem.

Krsz - mężczyzna umięśniony znacznie silniej, niż większość jego współplemieńców - wystąpił naprzód i stanął z boku zwierzęcia, unosząc w górę topór. W stalowym ostrzu odbiło się światło. Jezus wyrzekł coś i Krsz wziął potężny zamach. Ostrze topora przebiło się przez wełnę, skórę, masywne mięśnie karku oraz kości. Głowa zwierzęcia upadła na posadzkę. Trysnęła krew, zalewając połę szaty oraz nagie stopy Jezusa.

Orme'owi zebrało się na wymioty. Bronski i Danton powiedzieli coś zduszonym głosem. Shirazi krzyknął głośno w swym ojczyzmym języku.

Tłum jednak zachował milczenie.

- To nie jest rytualnie czysty, czyli koszerne sposób zabijania zwierząt - szepnął Bronski. - Myślę jednak, że i tak go nie zjedzą, więc to nie ma znaczenia.

Jezus podszedł do barana przez kałużę krwi, zatrzymał się, wziął w ręce jego głowę i uniósł ją wysoko. Krew pociekła mu po dłoniach i ramionach. Następnie uklęknął, przyłożył odciętą głowę barana do martwego tułowia i wstał. Wzniósł oczy ku górze. Jego usta poruszyły się bezdźwięcznie. Ponownie uklęknął, przesunął palcami wzdłuż rany i znowu wstał. Cofnął się nieco.

Baran podniósł się niepewnie na nogi. Głowa nie odpadła mu.

Jezus wskazał na niego palcami i zwierzę weszło z powrotem do klatki. Zatrzaśnięto drzwi. Klatka, dwaj holujący oraz Krsz z toporem, skryli się w cieniu.

- Ja Jeszua ha Meszichach!

W tym okrzyku było tyleż lęku, co i triumfu.

Bronski złapał Orme'a za ramię.

- Na Boga! Krew paruje.

Tak było. Czerwona ciecz wrzała intensywnie. Po dwudziestu sekundach podłoga, szata i ubrany w nią człowiek były równie czyste, jak przed zarżnięciem barana.

Jezus wznosił ręce i wypowiedział po hebrajsku jakieś słowa, prawdopodobnie błogosławieństwo. Następnie odszedł. Tego dnia Orme nie widział go już więcej.

Choć Bronski był nie mniej wstrząśnięty, niż jego towarzysz, nie utracił swej rabini-cznej dociekliwości.

- Ciekawe - mruknął - czy będzie musiał zostać rytualnie oczyszczony, skoro poplamiał się krwią? A może, jako że jest Meszichem, wszystko, co robi, jest koszerne? Ale ponieważ krew wyparowała i fizycznie jest czysty, to niewykluczone, że w ogóle nie można mówić o nieczystości. Masz jeszcze jakieś inne wyjaśnienie?

## 16.

Ktoś, kto o „zachodzie słońca” lustrowałby okolicę z wieży gmachu rządowego, nie dostrzegłby żadnego światła poza dwoma domami, gdzie mieszkali goje, oraz bladą kulą zawieszoną tuż pod sklepieniem.

Lecz oto nagle, w oknach wszystkich domów, ujrzałyby małe światełka, jak gdyby Bóg powiedział: „Niech się stanie światło”. Były to lampki łojowe zapalane przez głowę rodziny. Ich paliwo pochodziło z tłuszczu „czystych” zwierząt. Przy ich świetle odmawiano wieczorne modlitwy. Cała rodzina zbierała się przy oknie, podczas gdy ojciec recytował litanie do Stwórcy. Później lampki gaszono i włączano światła elektryczne. Rodziny zasiadały do sma-

cznego i sutego posiłku, a radość płynęła jak wino.

Tego wieczora, podczas kolacji w domu Shirazich, gdzie jadła cała czwórka Ziemiaków, atmosfera była ożywiona, lecz niezbyt radosna.

- Ta owca to mógł być robot - oświadczyła Madeleine. Położyła widelec przy talerzu, na którym stygł jej posiłek.

- Na pewno tak było. To jedyne rozsądne wyjaśnienie, a ja nie zamierzam wysłuchiwać niczego, co nie jest rozsądne.

- Sama jesteś nierozsądna - wtrącił się jej mąż. - Czy sądzisz, że potrafilibyśmy zbudować robota, który byłby tak podobny do żywego zwierzęcia?

- My nie. Ale oni są znacznie bardziej zaawansowani technicznie.

- Może sądzisz też, że Jezus też jest robotem? Albo wszyscy Marsjanie?

- Ironia jest tu zbyt cenna, Nadir. Nie podoba mi się także twoja sugestia, iż cierpię na urojenia.

- Nic takiego nie powiedziałem - odparł Shirazi. - Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że wykazujesz nienaukową postawę. Jesteś zbyt uparta. Nie tylko w tej sprawie, w innych również.

Wciąż miał do niej żal z powodu, że nie zgodziła się gotować im posiłków. Madeleine twierdziła, że tak samo należy to do jej zadań, jak i do jego, a poza tym ona nie umie gotować i tyle.

- A podobno jesteś biochemikiem - nie dawał za wygraną Nadir.

Ta uwaga bynajmniej nie złagodziła napięcia między nimi.

- W każdym razie ja nie jestem robotem - oświadczył Orme. - I wiem, że nie zastosowano żadnych urządzeń mechanicznych czy elektrycznych, aby pomóc mi wzbiec się w górę. Nawet jeśli Marsjanie znają tajemnicę antygravitacji, to z pewnością nie użyli żadnych urządzeń antygravitacyjnych w stosunku do mnie.

Danton podniosła widelec, przyjrzała się pieczeni wołowej, gotowanym kartoflom, szparagom i... odłożyła sztucce na bok.

- Może mają coś w rodzaju wiązki przyciągającej? - upierała się.

Orme roześmiał się:

- Z pewnością bym to poczuł.

- A co z parującą krwią? - zapytał Bronski.

- To jakiś związek chemiczny albo mieszanina.

- Musiałaś przecież czuć, że to zwierzę żyło - powiedział Orme.

- Nic nie czułam.

- Ty nigdy nic nie czujesz - wtrącił się Nadir. - Wiem o tym aż za dobrze.

- Nie mieszajmy do tego spraw osobistych — odparła chłodno.

Nadir podniósł się gwałtownie i wyszedł z domu wzburzony. Zapewne z chęcią trzasnęłyby za sobą drzwiami, lecz niestety zamykały się hydraulicznie.

- Nie wiem, co z nim począć - powiedziała Danton. - Mogłoby nam być razem dobrze, gdyby nie ten cały... Jezus.

Orme i Bronski milczeli. Dręczyły ich te same wątpliwości, co Irańczyka. Jednakże Nadir, jako muzułmanin, przeżywał jeszcze silniejsze opory. Bronski ostatecznie wychowywał się w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej. Było mu łatwiej powrócić do wiary przodków. Orme był chrześcijaninem, mimo że po nawróceniu stałby się Żydem - w pewnym sensie - nadal pozostałby chrześcijaninem. Oczywiście nie w znaczeniu, jakie nadawała temu słowo większość Ziemiaków. „Przynajmniej do tej pory” - pomyślał ponuro.

Nadir Shirazi, podobnie jak jego dwaj towarzysze, był już teraz całkowicie pewien, że człowiek zwany Jezusem nie był zwykłym śmiertelnikiem. Wedle jego religii Chrystus był prorokiem, największym przed narodzinami Mahometa. Żaden pobożny muzułmanin nie wyrażał się źle o Jezusie. Muzułmanie sprzeciwiali się jedynie bałwochwalczemu stosunkowi

chrześcijan do niego. Nie był on Synem Boga poczętym w sposób niepokalany ani tym bardziej nie był Bogiem. Trójca Święta nie istniała. Tutaj jednak Shirazi napotkał człowieka, który wydawał się być Jezusem i zaprzeczał, jakoby był Bogiem bądź narodził się z dziewicy. Uważał się jednak za Syna Bożego, choć jedynie adoptowanego. Zmartwychwstał naprawdę, choć Koran - święta księga muzułmanów - zaprzeczał nawet temu, jakoby umarł on na krzyżu.

Główną przeszkodą na drodze nawrócenia był dla Shiraziego fakt, że musiałby zostać Żydem. Mahomet, podejmując wysiłek założenia nowej religii, został zdradzony przez jakieś pustynne plemiona żydowskie, zresztą składające się głównie z nawróconych Arabów. Niemniej jednak uprzedzenia wobec Żydów istniały od zarania nowej wiary. Jednakże Prorok zaliczył naród żydowski w poczet ludów Księgi, czyli Starego Testamentu, który otaczał cześć. Co bardziej tolerancyjni władcy muzułmańscy w czasach średniowiecza, zwłaszcza w Iberii, gwarantowali Żydom swobodę wyznania, a nawet niekiedy mianowali ich wezyrami. W wielkim poważaniu byli żydowscy filozofowie i uczeni. Jednakże kwestia palestyńska, syjonizm oraz utworzenie państwa Izrael zaostriżyły konflikt. Miał on charakter w równym stopniu polityczny, ekonomiczny i narodowościowy, co religijny, lecz większość muzułmanów traktowała go wyłącznie jako religijny. Shirazi był Irańczykiem, nie Arabem, i jego kraj do niedawna nie był bezpośrednio zaangażowany w wojnę przeciwko Izraelowi. Niemniej wielu Irańczyków popierało swoich braci w wierze, a być muzułmaninem oznaczało mieć Żydów w pogardzie.

Shirazi zaprzyjaźnił się z Bronskim bez oporów. Odebrał rzetelne wykształcenie i zachowywał sceptycyzm co do literalnej wykładni Koranu. Przebywając w Iranie, miał dosyć rozsądku, aby dzielić się tymi poglądami jedynie z bliskimi przyjaciółmi, którzy byli podobnego zdania. W końcu jednak musiał uciekać za granicę, ponieważ nie mógł dłużej znieść braku wolności słowa. Poza tym kilku jego mniej ostrożnych przyjaciół trafiło do więzienia.

Shirazi mógł utrzymywać zażyłe stosunki z poszczególnymi Żydami, lecz wciąż nie opuszczała go głęboka niechęć do ich religii.

Niekiedy sam był gotów przyznać, że zachowanie to miało podłoże czysto emocjonalne, lecz silnie wpojone odruchy zwykle tłumili głos rozsądku. Zdawał sobie z tego sprawę, nie mógł jednak na to nic poradzić. A teraz otrzymał niezbite dowody, iż to judaizm jest prawdziwą wiarą. Musiało tak być, skoro Jezus, o którym sądził, wbrew Koranowi, że pozostały po nim tylko próchniejące kości w kamiennym grobowcu, oczekujące na zmartwychwstanie wszystkich zmarłych w dniu Sądu Ostatecznego, był nadal żywy. Z tych powodów Shirazi przeżywał wewnętrzne rozdarcie, mimo że przyznawał, iż Jezus był tym, za kogo się podaje. Walka, która toczyła się w jego wnętrzu, nie ustępowała zaciętością tej, którą przeżywała Danton, jedynie podłoże konfliktu było odmienne.

Orme również prowadził swą prywatną wojnę domową. Sposób na osiągnięcie pokoju z samym sobą wydawał się łatwy. Wystarczyło udać się do najbliższego rabina i wyrazić chęć nawrócenia się. Pragnął to uczynić zarówno z pobudek racjonalnych, jak i emocjonalnych. Jednakże coś w nim nadal stawiało opór. Nie wiedział, co to takiego. Może brało się to z tego, co słyszał na temat Antychrysta, fałszywego Chrystusa, który miał się pojawić w dniach poprzedzających nadejście Sądu Ostatecznego. Czytał o nim w Biblii, słyszał w wielu kazaniach. Również jego rodzice często o nim mówili.

Wielu miało wziąć Antychrysta za prawdziwego Chrystusa. Czy ten Jezus był Antychrystem?

Orme nie wiedział. Nie miał żadnego sposobu, żeby to sprawdzić. Musiał polegać na swojej wierze czy też, inaczej mówiąc, intuicji. Gdyby był prawdziwym chrześcijaninem, potrafiłby dostrzec prawdę kryjącą się za zasłoną, odróżnić rzeczywistego Jezusa od fałszywego. Może w tym właśnie tkwił problem. Orme nie był prawdziwym chrześcijaninem. Chociaż jego wiara nie polegała tylko na czcnych deklaracjach, była zbyt słaba.



Nadal siedzieli w milczeniu. Richard wstał nagle z krzesła.

- Idę się przejść - oznajmił. - Czuję się tu jak na pogrzebie. Chcę porozmawiać z żywymi ludźmi.

Bronski również się podniósł.

- Wracam do domu. Przepraszam cię, Madeleine. Dziękuję za kolację.

- Myślę, że wszyscy jesteśmy na dobrej drodze do wariackowa - powiedziała. - Nic dziwnego. Znajdujemy się w irracjonalnym otoczeniu.

Orme podziękował Madeleine za kolację i wyszedł. Bronski podążył za nim na ulicę.

- Przejdiesz się ze mną? - zapytał Kanadyjczyk.

- Nie. Muszę przemyśleć parę spraw. Albo wyczuć. Sam nie wiem. Mam nadzieję, że przyjdzie mi coś do głowy.

- Nawet jeśli nie wiemy, co myśleć - powiedział Orme - nie jesteśmy w tym osamotnieni. Wyobrażam sobie, co muszą czuć miliardy ludzi na Ziemi.

- Nie mogą być aż tak wstrząśnięci jak my. Ostatecznie my byliśmy na miejscu, a oni oglądali tylko program telewizyjny. To taka sama różnica jak między sytuacją, gdy naprawdę do ciebie strzelają, a oglądaniem na ekranie aktora uchylającego się od kul.

Powiedzieli sobie „dobranoc” i Orme wyruszył przed siebie. Jedyne światło pochodziło z okien domów, no i z „księżycy”. Ten ostatni był jednak przynajmniej o jedną czwartą jaśniejszy, aniżeli ziemski Księżyc w pełni. Część kuli była tej nocy zaciemniona, tak aby imitować jedną z faz naturalnego satelity Ziemi. Gdy Orme zobaczył ten efekt po raz pierwszy, zainteresowało go, jaki to ma cel. Powiedziano mu, że cykl odpowiada dokładnie fazom Księżyca, tak jak się go widzi w Palestynie. Daty starożytnych świąt, wyznaczanych właśnie na podstawie faz Księżyca, były nadal przestrzegane, choć z pewnymi modyfikacjami związanymi z tym, że plon zbierano tu trzy razy w roku.

„Słońce”, rzecz jasna, zawsze stało w zenicie, nie można więc było ustalać dat świąt zależnie od zimowego i letniego przesilenia. Mimo to nadal przestrzegano tu ziemskiego kalendarza. Również dzień marsjański odpowiadał długością ziemskiemu. Pascha i Jom Kippur były obchodzone raz do roku, a Święto Namiotów trzy razy.

Orme uważał, że łatwiej byłoby po prostu umówić się, że „księżyc” ma fazy. Zapewniłoby to lepsze oświetlenie. Szaul odpowiedział mu, że to prawda, aczkolwiek nocne światło nie jest im aż tak potrzebne. Większość ludzi nie wychodziła z domu po zmierzchu, poza okresami świątecznymi, a kiedy to robili, mogli korzystać z elektrycznych latarni lub reflektorów.

Nawet idąc ulicą, i to bynajmniej nie boczną, Orme był niemal samotny. Kilku rowerzystów, para jadąca powozem, dwóch pieszych i jedna grupa przemierzająca się autem, oto wszyscy, których napotkał w przeciągu godziny.

Miał już zamiar zawracać, gdy dostrzegł miejski parking. Dlaczego by się nie przejechać? Wybrał najbliższy pojazd, długi samochód z trzema rzędami siedzeń. Wkrótce gnał już po superautostradzie, oświetlając sobie drogę silnymi reflektorami. Po piętnastu minutach skręcił i znalazł się na szosie prowadzącej prosto do jakiejś wioski. Ponieważ blask „księżycy” był dość silny, a Orme nie jechał szybciej niż piętnaście kilometrów na godzinę, postanowił wyłączyć światła. Przyjemnie było przemykać niczym widmo pomiędzy rzędami wysokich drzew, rosnących wzdłuż szosy, mijać domy, z których przez otwarte okna dobiegały urywki pieśni, wybuchy śmiechu i odgłosy ożywionej rozmowy. W pewnej chwili dostrzegł przed sobą jakiś wielki kształt. Zwolnił, lecz okazało się, że to tylko przechodząca przez ulicę krowa. Jakiś nieostrożny rolnik zostawił otwartą bramę. To go pocieszyło. Niekiedy wyobrażał sobie, że Marsjanie są nieomylni i jego własna niedoskonałość przepelniała go smutkiem. Na szczęście nie była to utopia. Marsjanie okazywali się takimi samymi ludźmi jak on, choć obracali znacznie większą część swego potencjału ku dobru. Nie wykluczało to jednak lekkomyślności czy niedbalstwa.

W chwilę później minął dom, z którego dobiegały odgłosy kłótni. Ujrzał mężczyznę i kobietę stojących przy oknie i wygrażających sobie nawzajem.

Jeszcze jeden fakt zdawał się potwierdzać, że Marsjanie nie byli idealnymi androidami. Różnica polegała na tym, że tutaj kłótnia najpewniej nie zakończy się bijatyką ani morderstwem. Jeśli jest to poważny spór, którego nie potrafią rozstrzygnąć sami, udadzą się do miejscowego arbitra, który uczyni to za nich. Tego wymagał zwyczaj, a tutaj tradycję szanowano.

Trzeba przyznać Marsjanom, że potrafili zachować dobre zwyczaje, a odrzucić złe. To, co się sprawdzało, było dobre, jeśli tylko nie wchodziło w konflikt z moralnością. Przynajmniej z reguły tak było.

Czy jednak ten system sprawdziłby się na Ziemi?

Tutaj działał dobrze, ponieważ mieli człowieka na „słońcu” (a także na „księżycu”), który obserwował ich uważnie.

Praktycznie, choć nie w teorii, głową ich państwa i rodziny był Bóg.

Na Ziemi jednak nie było Jezusa. Przynajmniej fizycznie.

Orme, opuściwszy wioskę, przyspieszył i popędził bocznymi drogami, jeśli można nazwać pędem prędkość pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Światło „księżycy” padało na drogę pomiędzy drzewami, tworząc na jezdni czarno-białe wzory. Mrok, jasność, mrok, jasność. Była to znakomita ilustracja jego życia tutaj. Na Ziemi zresztą również. Czy na końcu drogi napotka oślepiające światło, przyćmiewające wszystkie inne?

Tak się istotnie stało. Nie było ono może oślepiające, ale w każdym razie jasne. Nie licząc księżycy, z pewnością najjaśniejsze, jakie napotkał od chwili, gdy rozpoczął przejażdżkę. Pochodziło z dużego domu, stojącego w znacznej odległości od drogi. Z trzech stron otaczały go potężne drzewa. Wielkie lampy, zwisające z arkady, oświetlały parking znajdujący się od frontu. Stało na nim przynajmniej dwadzieścia samochodów, sześć rowerów i dwa powozy.

W budynku nie było okien, a jedyne drzwi były zamknięte. Orme zatrzymał samochód. Wyglądało na to, że jakieś towarzystwo bawi się tam w najlepsze. Czy powinien się do nich przyłączyć? Zapewniano go, że zostanie mile przyjęty wszędzie, gdzie się pojawi, z wyjątkiem niektórych budynków rządowych. Nagle poczuł, że doskwiera mu samotność. Spacer i przejażdżka nie przyniosły mu upragnionej ulgi.

Podczas gdy stał tam niezdecydowany, ujrzał, jak otwierają się drzwi. Ze środka dobiegała muzyka i śmiechy. Wiatr przyniósł woń wina i czegoś mocniejszego. W drzwiach pojawiła się sylwetka mężczyzny. Z tyłu widać było stoły, za którymi siedzieli goście, a jeszcze dalej tańczące pary.

Mężczyzna wyszedł na zewnątrz i kiedy znalazł się pod wiszącymi lampionami, Orme zawołał:

- Filemon?!

Człowiek podszedł przez parking i zbliżył się do drogi, gdzie mógł dostrzec w blasku księżycy czarną twarz Orme'a. Filemon zatrzymał się i pogładził ręką rude kręcone włosy. Mruknął coś pod nosem, po czym zawołał głośno:

- Richard Orme! Jak tu trafiłeś?

- Przez przypadek. Jechałem sobie przed siebie i nagle zobaczyłem te wszystkie samochody i rowery. Pomyślałem, że może odbywa się tu jakaś zabawa. Czułem się samotny, więc...

Filemon minął samochód i rozejrzał się na wszystkie strony.

- Czy jesteś pewien, że nikt za tobą nie jechał?

- Nie. Dlaczego ktoś miałby to robić?

- Nieważne. Zaparkuj w pobliżu drzwi.

Młody sportowiec usiadł obok Orme'a i pochylił się nad nim. Murzyn poczuł silny odór alkoholu.

- Przyprowadziłbym cię tu już wcześniej, ale za bardzo rzucasz się w oczy z tą czarną skórą i kręconymi włosami. Poza tym nie byłem pewien, jak na to zareagujesz.

Orme zaparkował wóz.

- O czym mówisz?

- Nieważne. Chodź ze mną.

Kanadyjczyk zastanawiał się, skąd Filemon zdobył wysokoprocentowy alkohol. Nie wiedział, że produkowano go tutaj. Wszedł do budynku. Młody Marsjanin zamknął za nim drzwi. Głośna muzyka uderzyła Orme'a po bębenkach, zaś odór wina, mocniejszych trunków oraz spoconych ciał zaatakował jego nozdrza. Czuł się jak w dyskotecie na Ziemi. Brakowało jedynie dymu z papierosów, co akurat mu odpowiadało. Gdy zebrani ujrzeli go, zamilkli nagle. Orkiestra jednak grała nadal. Filemon skinął dłonią na znak, że wszystko w porządku. Rozmowy rozległy się na nowo. Orme podejrzewał, iż teraz mówiono głównie o nim. Podążył za sportowcem do małego okrągłego stołu, wokół którego stały wąskie krzeselka. Trzy z nich były wolne, a na czwartym siedziała piękna kobieta o ciemnej karnacji. Filemon usiadł, wskazał Orme'owi krzesło i przedstawił nowo przybyłemu swoją towarzyszkę.

- Debhora bat Elazar. Ona oczywiście wie, kim ty jesteś.

Nie wyglądała na zaskoczoną. Jej szkliste oczy oraz woń alkoholu mówiły, że w tej chwili bardzo niewiele rzeczy mogłoby zwrócić jej uwagę.

Filemon, zauważywszy wyraz twarzy Orme'a, zachichotał.

- Wypiła za dużo. Ona tak zawsze.

Orme nie mógł się pogodzić z myślą, że istnieje tu podobne miejsce. Znalazł się w marsjańskim odpowiedniku nielegalnego szynku z czasów prohibicji.

Filemon krzyknął głośno do barmana i po chwili kelnerka ubrana w przejrzysty strój przyniosła dwa drinki. Towarzyszka sportowca odezwała się niewyraźnie, twierdząc, że ona też chce się napić. Filemon powiedział jej, że ma już dość, po czym dziewczyna znowu zapadła w otępienie. Chwilę później zasnęła z głową opartą o stół.

Orme spróbował trunku o lekko fioletowym zabarwieniu. Smakował jak burbon z sokiem z granatów oraz odrobiną toniku.

- Skąd to bierzecie? - zapytał.

- Nasz czcigodny gospodarz pędzi go z pszenicy z domieszką innych składników. Pij. To znakomity trunek.

Pierwszy łyk nie smakował Orme'owi, lecz potem płyn przechodził mu przez gardło już łatwo i powodował miłe ciepło w żołądku. Po chwili mężczyzna poczuł odrętwienie i ożywienie zarazem.

- No, no!

- To świetna pochwała - odrzekł Filemon. - „No, no”.

- Nie rozumiem - powiedział Orme, wskazując ręką na całe pomieszczenie. - Czy to nie jest nielegalne?

- W zasadzie jest. Otóż, mój czarnoskóry przyjacielu z odległej i pełnej nieprawości Ziemi, rozumiesz, od czasu do czasu czujemy się stłamszeni i zniewoleni, niektórzy z nas nawet przez cały czas, przychodzimy więc tutaj albo do innego podobnego lokalu - tylko w tej jaskini jest ich tuzin - i upijamy się oraz robimy inne rzeczy, które nie spodobałyby się starszym. I to, obawiam się, nawet bardzo.

Orme wypił kolejny łyk i wskazał palcem na parę siedzącą przy stoliku w odległym rogu. Obejmowali się czule i całowali.

- Takie jak ci tam?

Filemon odwrócił głowę i przymrużył oczy.

- A nawet gorsze.

Starał się mówić wyraźnie, lecz w efekcie cedził słowa.

Orme pociągnął następny łyk i zapytał:

- Czy tych dwoje wkrótce się pobierze?  
- To nie jesz... szt pewne.  
- A więc młodzi buntownicy, tacy jak ty, przychodzą tutaj, aby sobie ulżyć. Myślałem, że jesteś bardzo wstrzemięźliwy. Jak udaje ci się utrzymywać formę?  
Filemon wysączył zawartość szklanki i zamówił następną kolejkę.  
- Przez najbliższe dwa miesiąca... miesiące nie będzie zawodów. Przyszedłem tylko szę... się odprężyć. Mam czas. Zdażę... zdażą... przepraszam, zdażę wrócić do formy.  
Orme pokręcił głową.  
- Zatkalo mnie. Byłem naiwny. Naprawdę wierzyłem, że wszyscy tutaj postępują tak, jak się tego od nich oczekuje. Ale... co się stanie, jeśli was złapią?  
Kelnerka przyniosła im dwie następne szklanki. Debhora dźwignęła nagle głowę, spojrzała zamglonym wzrokiem i wyciągnęła rękę po alkohol. Filemon odepchnął ją na bok i dziewczyna zasnęła z powrotem.  
Filemon przechylił za jednym zamachem pół szklanki i powiedział:  
- Publiczne upokorzenie dla nasz... nas... wszysz... do diabła!... wszystkich. Areszt domowy. Mnóstwo pouczeń. Nie mógłbym sztartować przez cały rok i w miejscu publicznym przez miesiąc muszałbym noszycz oszle uszy. Chyba jednak warto szę na to narażycz. Popatrz na tę Debhore. Zawsze się tak zalewa. Jak mamy się ze sobą kochać?  
- A więc - powiedział Orme - w balsamie z Gileadu jest mucha.  
- Wiesz co - powiedział poważnym tonem Filemon - nigdy nie widziałem muchy. Czytałem o nich oczywiście. Widziałem obrazki. Ale tak naprawdę to nie wiem, co to jeszt... jest mucha.  
- Jeśli przylecisz na Ziemię, dowiesz się. Przedstawię was sobie.  
Podniecenie zaczęło opadać. Ogarniało go rozczarowanie. Powtarzał sobie, że nie powinien myśleć w ten sposób. Marsjanie to nie anioły, lecz ludzie. Nie można od nich oczekiwać, że wszyscy sprostają głoszonym przez siebie szczytnym ideałom. Jak jednak można tak postępować, żyjąc pod samym okiem Mesjasza, wiedząc, że naprawdę jest on tym, za kogo się podaje, a prawdopodobnie kimś więcej, i mając go za przykład? Dlaczego w ogóle pragnęli to robić?  
Rzecz jasna, w każdej grupie znajdują się czarne owce. Trudno było zresztą nazwać klientów tego szynku czarnymi owcami. Wszyscy na Ziemi, z wyjątkiem garstki osób o purytańskim nastawieniu, uznaliby to, co robili oni, za normalne. Nie byli źli czy występni. Ich zachowanie martwiło go jednak, gdy porównywał je z tym, które cechowało większość populacji.  
Muzyka przestała grać. Dziko podskakujący i wirujący tancerze, z których część padła na ziemię, zeszli, zwlekli się lub spełzli z parkietu. Muzycy opuścili platformę usytuowaną na końcu baru. Dopiero wtedy Orme dostrzegł flecistkę, która do tej pory była częściowo zasłonięta przez pozostałych muzyków.  
Wstał z krzesła tak gwałtownie, że o mało nie przewrócił stołu. Szklanka Filemona przewróciła się i spadła na podłogę. Również Debhora ześliznęła się z krzesła i zwała na parkiet  
Richard wytrzeszczył oczy, po czym krzyknął:  
- Gulthilo!

## 17.

- Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłam, jak wchodzisz - powiedziała.

Zamówiła drinka i usiadła. Kelnerka przyniosła szklankę dla niej i dla Orme'a.

Filemon podniósł się niepewnie. Zrobił oburzoną minę i podszedł do baru.

- Znalazłem się tu przez czysty przypadek - oświadczył Orme. - Czy jesteś tu stałym gościem?

- Nie, ale przychodzę tu od czasu do czasu. Są też oczywiście inne miejsca.

- Ale dlaczego? - zapytał.

- Dlaczego są też inne?

- Nie. Wiesz, o co mi chodzi.

Ujęła jego prawą dłoń i pocałowała ją.

- Dlatego, że lubimy przychodzić do podobnych lokali, aby się poniżyć. Fajnie jest się zalać, poflirtować, czasami nawet kochać się ze sobą. Mamy dzięki temu lepsze samopoczucie, przynajmniej przez chwilę. Poza tym... no, chcemy się od czasu do czasu wyrwać na wolność...

- To dziecinada.

- Czyżby? Nie zapomnij, że sam Jezua powiedział: „Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego”. \*

Uniosła szklankę.

- Zdrowie dzieci i jemu na pohybel.

Orme był oburzony.

- Nie mówisz tego poważnie?

- Popatrz na siebie. Siedzisz tu, pijąc *krribrht* w miłym towarzystwie Synów i Córek Szarości. Nie sprawiasz wrażenia, żebyś miał zamiar na nas donieść.

- Szarości? Wypiła kolejny łyk.

- Au! - krzyknęła, wciągając powietrze przez otwarte usta. - Mocna, prawda? Tak jest, Synowie i Córki Szarości. Nie jesteśmy przecież Synami Ciemności. Nie jesteśmy naprawdę źli. Po prostu chcemy się dobrze zabawić, choć wielu ludzi, których znam, powiedziałoby, że nie ma w tym nic dobrego. Tak więc choć nie postępujemy może jak Synowie Światła, nie zachowujemy się też jak Synowie Ciemności. Naszym obszarem jest Szarość. Przestrzeń znajdująca się pomiędzy. Przynajmniej gdy jesteśmy tutaj. Przez resztę czasu...

- Zachowujecie się jak prawdziwe niewiniątka.

- To chyba ziemskie określenie. Tak, to prawda.

Orme westchnął i pociągnął kolejny łyk.

- Niezadowoleni i odstępcy w niebie. Kto by pomyślał.

Poczuł przeciąg. Spojrzał za siebie. Dwoje Krszów weszło do środka, kierując się ku stolikowi w odległym rogu. Widać było, że wypili już coś przedtem.

- Krsze również - stwierdził.

- Dlaczego nie? - odrzekła Gulthilo. - Są rozumni, a więc są ludźmi. Posłuchaj, nie jesteśmy źli, tylko odrobinę nieposłuszni. Nasze grzechy nie są ciężkie. On nam wybaczy. Pod warunkiem, że nas złapie.

- A jeśli to się stanie? Będziecie musieli przejść straszliwe upokorzenie.

Pociągnęła łyk ze szklanki.

- Myślę, że różnica pomiędzy nami a grzesznikami z Ziemi polega na tym, że my jesteśmy gotowi zapłacić za nasze grzechy. Mówiono o was, że nie jesteście zbyt odpowiedzialni.

- Nie słyszałem, żeby ktokolwiek wspomniał o grzechu i grzesznikach, odkąd opuściłem dom rodzinny - odrzekł. - Na swój sposób to nawet rozczulające.

- No więc, co z tobą - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Czy zdecydowałeś się już?

Pod wpływem jej dotyku przeszył go dreszcz. Odsunął jednak rękę.

Odruchowo podniósł szklankę, aby dolano mu następnego drinka, lecz odstawił ją na-

\* Ewangelia według św. Łukasza(18,17)

tychmiast. Zaczynał już pod wpływem alkoholu tracić hamulce. Jeszcze kilka łyków i zaciągnie ją w krzaki, a to będzie oznaczało oświadczyzny. A może nie będzie? Wspominała coś o „kochaniu się”.

- Posłuchaj - oznajmił ostrym tonem. - Czy zachowywałaś wstrzeźliwość wyłącznie ze mną, abym się z tobą ożenił? Czy miewałaś kochanków przez cały czas, gdy powtarzałaś mi, jak bardzo mnie kochasz i jak bardzo pragniesz wyjść za mnie?

Roześmiała się.

- Mówiłam ci już, że jestem zbyt śmiała. Nie powiem ci jednak, czy miałam kochanków. To nie ma nic wspólnego z moją miłością do ciebie. Poza tym, nawet jeśli ich miałam, i tak byłabym ci wierna po ślubie. Nadal jednak unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

Orme milczał. Wypiła kolejny łyk i znów się roześmiała.

- Jesteś zazdrosny! - oświadczyła.

- Powiedzmy, że jestem. No i co z tego?

Na dłuższą chwilę zaległa między nimi cisza. Do stolika podszedł wysoki mężczyzna z dużą brązową brodą.

- Za chwilę koniec przerwy, Gulthilo. Ahab mówi, że chce dziś zamknąć wcześniej. Zagramy jeszcze trzy kawałki i koniec.

- Czy możecie obejść się beze mnie? - zapytała dziewczyna. - Omawiamy właśnie sprawę naszego małżeństwa.

Lider orkiestry zrobił zdziwioną minę, skinął jednak głową i odszedł.

- Teraz - rzekła Gulthilo - będziemy mogli usunąć wszelkie przeszkody.

- Mówiliśmy już...

Przerwał. Dwóch mężczyzn stanęło naprzeciw siebie przy sąsiednim stole, wykrzykując obelgi i groźby. Przypuszczalna przyczyna tego zwarcia - ruda dziewczyna o wydatnym biuście - bezskutecznie starała się ich uspokoić. Nagle jeden z mężczyzn - barczysty, o zielonych oczach i z czarną brodą - sięgnął ręką ponad stołem i złapał drugiego za ubranie. Tamten, wyższy, lecz szczuplejszy blondyn o niebieskich oczach, uderzył napastnika w twarz. Kobieta spadła z krzesła. Krzyczała. Stół przewrócił się i obaj mężczyźni runęli na podłogę.

Richard wstał szybko od stolika i usunął się na bok. Jakiś człowiek, spiesząc z pomocą jednemu z walczących lub pragnących ich rozdzielić, wpadł na Murzyna z impetem i powalił go na podłogę. Orme przetoczył się i spojrzał w górę akurat, aby zobaczyć, jak Gulthilo kopie napastnika w żebra. Tamten padł na bok, lecąc dalej, niż uczyniłby to w warunkach przyciągania ziemskiego, i zderzył się z barmanem przeskakującym właśnie przez kontuar.

Jakaś ciemnowłosa kobieta zaatakowała z piskiem Gulthilo, rozczapierzając palce. Dziewczyna zadała jej cios w brzuch i brunetka zwymiotowała na nią. Kolejna napastniczka, niewątpliwie koleżanka poprzedniej, objęła Gulthilo od tyłu za szyję i pociągnęła ją ku sobie, wgniatając flecistce w plecy kolano.

Kanadyjczyk zerwał się z podłogi jak pasikonik, skoczył w górę, wylądował tuż za brunetką i chwycił ją mocno. W tej samej chwili ktoś zadał mu cios pięścią w skroń. Orme padł oszołomiony na ziemię, zdołał jednak kopniakiem zbić napastnika z nóg. Tamten próbował podnieść się, jęcząc z bólu, lecz Richard kopnął go w brodę, co wyłączyło gościa na jakiś czas z walki.

- Bez bijatyki! Bez bijatyki! - krzyczał barman. Z nosa leciała mu krew. Jedno z uszu wyglądało na nadgryzione. Jego przeciwnik, równie pokrwawiony jak on, leżał na podłodze, potrząsając głową. Nikt nie zwrócił na to wezwanie uwagi. Nikt poza Orme'em chyba go nawet nie usłyszał. Cały lokal zamienił się w pole bitwy. Ziemianin wstał niepewnie na nogi i rozejrzał się, szukając wzrokiem Gulthilo. Minęła dłuższa chwila, zanim odnalazł ją w tłumie. Siedziała okrakiem na piersi brunetki, waląc jej głową o podłogę.

Richard ruszył w tę stronę. Jakaś kobieta ugryzła go w łydkę. Oparł się z całej siły dłonią o jej czoło tak, że otworzyła usta i odsunął ją na bok kopniakiem.

Nie było łatwo odciągnąć Gulthilo od jej na wpół przytomnej ofiary. Krzyczała, wrywała się i próbowała sięgać dłońmi do tyłu, aby podrapać mu twarz, zanim zauważyła, że to on.

- Zjeżdżajmy stąd! - zawołał i zaczął popychać ją w stronę drzwi.

- Dlaczego?! - wrzasnęła, wciąż się opierając. - To naprawdę fajna zabawa!

- Ktoś może zostać ciężko ranny lub nawet zabity! - krzyknął.

- Jahuu! - wrzasnęła, pociągając z całej siły za ucho jednego z dwóch mężczyzn walczących obok. Zaatakowany próbował opędzić się od niej ręką, co wykorzystał jego przeciwnik, zadając mu cios pięścią w gardło.

Rozgniewany Orme zaczął popychać Gulthilo przed sobą. Potknęła się i osunęła na kolana. Dwóch mężczyzn runęło na nią, wymieniając przekleństwa. Złapała jednego za jądra i zacisnęła kurczowo dłoń. Mężczyzna wrzasnął i potoczył się na bok, skowycząc z bólu.

Drugi z walczących nie okazał jednak wdzięczności. Walnął ją w twarz tak mocno, że padła na podłogę. W odpowiedzi Orme kopnął go w podbródek.

Gulthilo była oszołomiona, dzięki czemu Richard zdołał wreszcie bez przeszkód podnieść ją na nogi. Byli już blisko drzwi, gdy przez hałas przebił się głos trąbki, a następnie szybko ratarat na bębnie. Ktoś ryknął:

- Spokój! Nadchodzi policja!

Zapanowała cisza, zakłócana tylko przez jęki i postękiwania. Na zewnątrz rozległ się ostry dźwięk gwizdka, a po chwili walenie w drzwi.

- Otwierać w imieniu prawa!

Barman Ahab pokuśtykał w stronę drzwi i zamknął je wielkim drewnianym rygłem. Następnie odwrócił się i krzyknął:

- Wszyscy za mną! Weźcie ze sobą rannych!

Pobiegł do drzwi znajdujących się obok estrady i zatrzymał się przy nich, popędzając tłum niecierpliwymi gestami. Orme pomógł Gulthilo wstać i poprowadził ją do wyjścia. Przez minutę w drzwiach panował zator. Wszyscy próbowali wydostać się równocześnie. W końcu korek rozładował się i Kanadyjczyk przeszedł wraz z dziewczyną przez szeroki, lecz krótki korytarz. Właściciel dotknął krawędzi ściany na jego końcu. Ściana opuściła się w dół, odsłaniając wąskie schody biegnące spiralnie przez wykuty w skale komin.

Orme pomógł Gulthilo zejść po schodach do wielkiego pomieszczenia, na którego drugim końcu znajdował się wlot tunelu.

Ahab nie zszedł z nimi w dół. Zawołał z góry:

- Idźcie prosto, a kiedy wyjdziecie na zewnątrz, uciekajcie! Ja zostaję! Są już chyba u mnie w domu, więc i tak się z tego nie wykręcę! Nie bójcie się! Nie podam im żadnych nazwisk!

Ci, którzy byli zdolni to zrobić, wydali słabymi głosami okrzyk na jego cześć. Ściana zamknęła się za nimi.

- Dobra - rzekł lider orkiestry. - Zróbcie tak, jak powiedział. Ja zgaszę za wami światło i zamknę drzwi.

Gulthilo mogła już iść o własnych siłach. Ruszyła przed Richardem w głąb oświetlonego tunelu. Po około stu jardach korytarz zaczął lekko się wznosić. Niebawem dotarli do końca.

Była tam pokrywa, a prowadziło do niej kilka schodów. Wielki, tęgi mężczyzna, który rozpoczął bijatykę, oparł się plecami o wąż i uniósł go powoli. Posypało się na niego trochę piasku i droga przed nimi stała otworem.

Orme wyszedł na zewnątrz. Znalazł się w cieniu wielkiego drzewa. Wyglądało na to, że jest to w środku lasu. Tuż obok, w przebłyskującym przez gałęzie światłe księżycu, połyskiwał mały strumyk. Sowa opadła gwałtownie w dół i zaraz wzbiła się, trzymając w szponach małe zwierzątko.

- To my - szepnęła Gulthilo - a sowa to policja.  
- Jak tu przyjechałaś? - zapytał. - Samochodem czy na rowerze?  
- Samochodem z przyjaciółmi. Na szczęście byliśmy ostrożni i założyliśmy rękawiczki, aby nie pozostawić odcisków palców na wypadek obławy. Jednak policja będzie wiedziała, z których parkingów pochodzą samochody. Wszyscy, którzy mieszkają w okolicy, będą przesłuchani.

Ziemianin jęknął.

- Moje odciski palców będą na kierownicy!  
- Powiedz im, że zatrzymałeś się, aby coś zjeść i że nie znasz nikogo z gości. Przesłuchają cię, ale jeśli będziesz się trzymał swojej wersji, nic ci nie grozi. Biedny Ahab, z pewnością ucierpi! Jego rodzina okryje się wstydem.

- Wiedział, na co się naraża.

Grupa, która początkowo tłoczyła się pod drzewem, zaczęła się rozpraszać. W pobliżu rozległy się gwizdki. Policjanci rozpoczęli poszukiwania. Wkrótce dotrą do lasu. Orme i Gulthilo zatoczyli szeroki łuk wśród drzew i po niedługim spacerze wyszli na drogę. Była to ta sama droga, przy której stała gospoda.

Ruszyli wzdłuż niej, podbiegając niekiedy, gotowi czmychnąć pomiędzy drzewa, gdyby tylko dostrzegli jakiegokolwiek światła.

- Tutaj się rozstaniemy - oświadczyła dziewczyna. - Ja muszę skręcać w lewo. Idź do autostrady, następnie skręć w lewo i wkrótce znajdziesz się na swoim terenie. - Przerwała. - Chyba że chcesz pójść do mnie.

- Nie. Nie chodzi o to, że nie chcę, ale mają moje odciski palców i jeśli znajdą mnie z tobą, odgadną, że byłeś u Ahaba.

- No i jak?

Nie musiał pytać, o co jej chodzi. Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. Zwolniwszy uścisk, powiedział:

- No dobrze. Pobierzemy się.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Kochasz mnie? - zapytała.

- Albo cię kocham, albo oszalałem. Jedno z dwojga.

- Oszalałeś z miłości.

Pocałowała go czule mówiąc:

- To bardzo dziwne miejsce i sytuacja na oświadczyzny. Mnie się jednak podoba. *Szalom*, Richard.

Odwrócił się natychmiast i oddalił lekkim truchtem. Po chwili zwolnił kroku. Księżyc stawał się coraz jaśniejszy, zamieniając się z wolna w słońce. W świetle dnia złapią go szybko. Byłoby głupotą wracać na piechotę, zaczął więc rozglądać się za samochodem.

Po dziesięciu minutach natrafił na pojazd zaparkowany przed wiejskim domem. Wsiadł do niego i odjechał spieszenie, ponieważ usłyszał w domu szczekanie psa. Nie minęło więcej niż dziesięć minut, gdy poczuł dotknięcie na swym prawym barku. Zdumiało go to tak bardzo, że skręcił z drogi i o mało nie uderzył w drzewo.

Obejrzał się. Gdy zobaczył siedzącego na tylnym siedzeniu mężczyznę, nacisnął hamulec. Samochód zjechał na bok i zatrzymał się z przednimi kołami tuż przed rowem.

- Jezus?! Ale mnie przestraszyłeś!

Po chwili dodał:

- Jak, na... Szeol... się tu dostałeś?

Mężczyzna w błękitnej szacie przesiadł się z tylnego siedzenia na miejsce obok kierowcy.

- To głupie pytanie. Przepraszam, że cię przestraszyłem, ale to takie zabawne.

- Mogliśmy się obaj zabić.



- Ja nie. Jedź dalej.

Serce Orme'a waliło jak młot Drzał cały. Mimo to wrócił na drogę bez komplikacji. Po chwili Jezus rzucił:

- Policja mogła was oboje aresztować już dawno, ale powiedziałem, żeby tego nie robili.

- Dziękuję - odrzekł Kanadyjczyk. Starał się przybrać obojętny ton, lecz nie zdołał zapanować nad drżeniem głosu. - Czy mogę zapytać, dlaczego?

- Możesz. Nikt nie zostanie aresztowany. Ahab ben Ram będzie poddany dokładnemu przesłuchaniu, a potem zwolniony. Może wystraszy się na tyle, że zamknie swój lokal lub dopilnuje, żeby funkcjonował zgodnie z prawem. Niektórzy z jego klientów przeniosą się po prostu do innych spelunek, lecz większość, mam nadzieję, opamięta się i uspokoi. Musisz zrozumieć, że policja wie o istnieniu tych lokali od chwili ich założenia. W gruncie rzeczy przez ostatnie tysiąc pięćset lat żaden nie pozostawał nie wykryty przez dłuższy czas. Policja jednak jest bardzo tolerancyjna. Te miejsca stanowią rodzaj wentyla bezpieczeństwa dla zbuntowanej młodzieży. Młodzi upijają się i powtarzają sobie nawzajem swe kontestatorskie banały. Czasami nawet planują jakieś głupstwa, lecz rzadko je realizują. Jeśli do tego dochodzi, szybko kładzie się temu kres. Ci, którzy biorą w tym udział, płacą wysoką cenę.

- Czy można zapytać jaką?

- Można. Zatwardziali winowajcy są wysłani do pewnej jaskini, gdzie przebywają tak długo, aż policja się nie upewni, że odczuwają skruchę. Tych, którzy ją wyrażają, badam osobiście, aby wykluczyć wszelką możliwość oszustwa.

Chłodny ton wypowiedzi Jezusa przyprawił Orme'a o dreszcz.

- A co dzieje się z tymi, którzy nie wyrażają skruchy?

- Lepiej nie pytać. Jednak naprawdę bardzo dobry ułamek młodych ludzi trafia w tamto miejsce. Musisz zrozumieć, że istnieje coś takiego, jak prawdziwe zło. Z tego, co mi opowiadano, wnioskuję, że wy, obywatele socjalnych demokracji, porzuciliście całkowicie pojęcia dobra i zła. Teraz mówicie tylko o niekorzystnych warunkach ekonomicznych i społecznych, złych rodzicach i nieodpowiednim wychowaniu. Komuniści natomiast wierzą, że niewłaściwe myśli i czyny są skutkiem błędnej ekonomiki i niesłusznym poglądom politycznym. Czy mam rację?

- To jest nieco bardziej skomplikowane, ale w zasadzie tak.

- Wiesz, że na Marsie nikt nie cierpi z powodu złych warunków ekonomicznych, politycznych czy społecznych. Życie rodzinne jest z reguły pełne radości, a zbyt surowi lub niesprawiedliwi rodzice szybko spotykają się z naganą ze strony krewnych. Jeśli to nie pomaga, wkraczają władze lokalne. Zdołaliśmy doprowadzić do takiej sytuacji, gdyż zaczęliśmy jako bardzo mała społeczność. Ludzie ją tworzący wywodzili się z różnych ras i narodów, jednakże już w trzecim pokoleniu nastąpiła całkowita integracja. Jedna religia, jeden język, no i, rzecz jasna, pozytywny przykład ze strony Krszów, którzy byli bardziej zaawansowani. - Przerwał. - Mieli również mnie. - Przerwał ponownie. - Już niedługo na Ziemi również będą mnie mieli.

- Jeśli wolno mi przypomnieć, rabbi - powiedział Orme. - Ziemia jest znacznie większa od Marsa. Tutaj musisz pełnić nadzór jedynie nad milionem ludzi. Nas jednak jest dziesięć miliardów. Ponadto na Ziemi istnieje olbrzymia różnorodność języków, ras, narodowości, obyczajów i instytucji społecznych.

- Wolno ci przypomnieć. Przestań być taki napięty i pełen pokory. Odpręż się.

- Nie potrafię.

- To z powodu tego, kim jestem. Mimo swej wielkiej mocy nigdy nie potrafiłem doprowadzić do tego, aby ktokolwiek poczuł się w mojej obecności na luzie, z wyjątkiem jednej osoby. To jest cena, jaką muszę płacić za to, że jestem Mesjaszem.

Orme zebrał się na odwagę.

- Czy mogę... Kim jest ta osoba?

- To moja żona. No, jesteśmy na miejscu. Oto mój dom. Zaraz za tym budynkiem z dachem w kształcie cebuli. Zatrzymaj się przed nim. Mógłbym przelewitować z samochodu, ale nie lubię robić tych sztuczek w miejscu zamieszkania.

Murzyn był tak zdumiony, że o mały włos nie minął wskazanego budynku. Jego pasażer wysiadł, powiedział „*Szalom*” i podszedł do drzwi. Był to duży dom, choć i tak skromny, jak na Mesjasza i adoptowanego Syna Bożego. Nie było widać żadnego policjanta. Zapewne nie było ich również w ukryciu. Orme nie mógł poskromić ciekawości. Zawołał:

- Rabbi, jeśli nie przeszkadzam, czy mogę zamienić z tobą słówko?!

- Oczywiście - odrzekł Jezus z uśmiechem.

Richard wysiadł z samochodu i podbiegł do ganku.

- Zdumiałeś mnie, rabbi. Nigdy nie słyszałem, żebyś miał żonę. To jest... niewyobrażalne! Nie chciałem cię urazić, ale...

- To dlatego, że wy, chrześcijanie, uważaliście mnie za cudownie poczętego Syna Ducha Świętości, a także za Niego samego. Sądzisz, że skalałbym się, gdybym miał stosunek z kobietą. Z tego, co słyszałem, to wyobrażenie pochodzi od człowieka, którego nazywacie świętym Pawłem. To on wpadł na pomysł, że człowiek nie powinien się żenić, chyba żeby „płonął”, aby użyć jego dziwnego wyrażenia, to znaczy, po prostu, gdyby musiał zaspokoić swoje pożądanie. Święty Paweł uważał, że ponowne przyjście nastąpi jeszcze za jego życia i w związku z tym nie ma sensu żenić się i mieć dzieci. Nie mogę mieć do niego o to pretensji, ponieważ to ja byłem za to odpowiedzialny. Sądziłem bowiem błędnie, że dzień gniewu jest bliski i obiecałem moim uczniom, że niektórzy z nich go dożyją. Jeśli zaś chodzi o to, że na Ziemi zachowywałem celibat, to trzeba pamiętać, że żona po prostu przeszkadzałaby mi w mojej misji, a poza tym nie byłaby szczęśliwa, nie mówiąc już o tym, że groziłoby jej wielkie niebezpieczeństwo. Niemniej nawet jako Mesjasz nadal pozostaję człowiekiem i mogę błądzić. A także odczuwać pożądanie.

Otworzył drzwi i powiedział:

- Dlaczego nie zjesz ze mną śniadania? Moglibyśmy jeszcze trochę porozmawiać. Miałem zamiar już niebawem pomówić z całą waszą czwórką o pewnych sprawach, możesz jednak po prostu przekazać im wszystko, co ci powiem.

Oszołomiony, z pochyloną głową, spoglądając spode łba, Orme wszedł do środka. Pokój gościnny był gruntownie umeblowany, lecz nie bardziej, niż w innych domach, w których bywał.

- Miriam! - zawołał Jezus.

Po chwili nadeszła wysoka śniadolica kobieta w błękitno-szkarłatnej szacie. Miała piękną twarz (chód Orme widywał już piękniejszą) i bujną figurę - duży biust, wąską talię i bardzo szerokie biodra. Sądząc po kostkach nóg, uda również musiały być tęgie.

Pocałowała Jezusa, który oświadczył:

- Będziemy mieli gościa na śniadaniu, Miriam. On wie, kim jesteś. Ty, oczywiście, również nie mogłaś wziąć go za nikogo innego.

- Cieszę się, że mogę cię poznać - powiedziała. - Obyś żył w dobrym zdrowiu. Śniadanie będzie za pięć minut!

Jezus zaśmiał się mówiąc:

- Wciąż nie możesz się pogodzić z tą myślą, Richardzie. Jestem mężczyzną. Zachowywałem celibat i czystość na Ziemi, ponieważ przebywałem tam przez krótki czas, tutaj jednak w celibacie żyć nie mogę, choć nadal przestrzegam zasad czystości. Poza tym, gdybym się nie ożenił, kobiety z mojej trzódki krytykowałyby mnie, za moimi plecami, rzecz jasna. Ostatecznie są Żydówkami. Ognisko domowe płonie w spokoju tylko wtedy, gdy pod dachem znajduje się szczęśliwa kobieta. Gdy przebywałem na Ziemi, nie miałem własnego domu. Byłem wędrowcem poświęcającym się głoszeniu mojej prawdy.

- Ale... dzieci?

- Wyrzekłem się ich posiadania. Spędzam w domu jedynie kilka dni w miesiącu, a dzieci potrzebują ojca, który byłby z nimi przez cały czas. Miriam zaspokaja swe macierzyńskie pragnienia poprzez nauczanie w szkole. Wychodząc za mnie, wiedziała, że nie będziemy mogli mieć potomstwa. Wiedziała też, że będę się z nią widywać jedynie od czasu do czasu, uważała jednak, że warto. Radość, jaką przynoszą spędzone ze mną chwile, wynagradza jej długie okresy samotności. Ja również jestem z nią szczęśliwy. Umyjmy teraz ręce i twarz. Nie jest dobrze czerpać z darów Stwórcy brudnymi rękoma, choć istnieją sytuacje, w których jest to wybacalne.

- Wiem. Czytałem co nieco na ten temat - odparł Orme.

## 18.

Orme czuł się dziwnie, gdy Jezus podawał mu jedzenie, lecz starodawnego zwyczaju, mówiącego, że jest to obowiązkiem gospodarza, przestrzegano nawet w tym domu. Śniadanie było smaczne i obfite - melon, winogrona, chleb, miód, mięso baranie i wołowe oraz wino.

Choć Marsjanie przechowywali zamrożone krzewy kawowe, które wciąż można było ożywić, nigdy tego nie uczynili. Orme powiedział Hfathonowi, jakie jest ich zastosowanie i Krsz oświadczył mu, iż zobaczy, co się da w tej sprawie zrobić. Jak na razie Richard nie słyszał, aby poczyniono jakieś kroki.

Miriam jadła wraz z nimi, lecz obsługiwała się sama. Jadła szybko i niewiele i wyszła na targ po zakupy, zanim mężczyźni zdążyli spożyli połowę posiłku.

Jedząc chleb z miodem, Jezus powiedział:

- Spodziewałem się, że wszyscy czworo poprosicie, aby was przyjęto w poczet Bractwa Synów Światłości, to jest Hebrajczyków. Jak dotąd jednak nie wystąpiliście z podobną prośbą. Co was powstrzymuje? Zatwardziałość serc?

Przeżuł kęs chleba i połknął go, po czym ciągnął:

- A może nadal nie jesteście przekonani, że jestem prawdziwym Mesjaszem? Wydaje się wam, że moja moc nie jest tym, czym wydaje się być, i że, w gruncie rzeczy, oszukuję was?

Orme miał wrażenie, że jedzenie w jego żołądku zmieniło się w kawał żelaza. Wolałby uniknąć poruszania tak poważnych tematów podczas posiłku. Nie było jednak na to żadnego sposobu. Nie miał odwagi zaproponować Jezusowi, aby porozmawiali o tym kiedy indziej.

- Trzech z nas jest przekonanych, że w pokazie nie było żadnego oszustwa - powiedział.

- Jedna osoba wciąż usiłuje znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale...

- Masz na myśli tę kobietę, Madeleine Danton. To nie było pytanie.

- Tak. Czy mogę zapytać, skąd o tym wiesz?

- Znam dusze was wszystkich.

- A więc - odparł Orme, zdobywając się na odwagę - powinieneś wiedzieć o tym, co nas powstrzymuje.

- Powiedziałem, że znam wasze dusze, to znaczy, cechy charakteru, ale nie potrafię, ani też nie zamierzam, czytać w waszych myślach.

- Sądzę - odrzekł powoli Orme - że powodem naszych wahań jest fakt, iż wychowywaliśmy się w różnych religiach, z których żadna nie przygotowywała nas na to, co znaleźliśmy tutaj. W gruncie rzeczy to, w co nauczono nas wierzyć, jest tak odmienne od zastanej tu sytuacji, czy nawet z nią sprzeczne, że... hmm... trudno nam się z tym pogodzić. Byłoby chyba łatwiej przyjąć za swój całkowicie obcy system wierzeń. Tutaj jednak... niektóre rzeczy odpowiadają temu, co głosiły nasze religie, lecz inne... no, są całkowicie rozbieżne... Rozu-

miesz, co mam na myśli.

- Nie powinno tak być. Hfathon powtórzył mi, co mówił Bronski; że uczeni na Ziemi od dawna wiedzieli, iż wasze święte księgi pełne są interpolacji i nabożnych fałszerstw, że znaczna część waszych dogmatów opiera się na błędnych interpretacjach, zamierzonych, bądź nie, a wspomniane teksty zawierają sprzeczności, które można pogodzić ze sobą jedynie za pomocą desperackich i urągających logice wysiłków.

- To prawda, lecz zdecydowana większość ludzi o tym nie wie albo nie chce wiedzieć. Muszę przyznać, że ja również byłem jednym z nich.

- Nadal jesteś - stwierdził Jezus, popijając łyk wina. - Bronski mówił też o Antychryście - ciągnął. - Być może to właśnie cię niepokoi. Nie zrozumiałem dokładnie uwag na jego temat, poprosiliśmy więc jedno z ziemskich państw - twoją Kanadę - aby przesłano nam pełny tekst książki, którą nazywacie Nowym Testamentem. Rzecz jasna w oryginale, po grecku.

„Cóż to musiała być za sensacja! - pomyślał Orme. - Jezus Chrystus prosi o przesłanie mu tekstu Ewangelii!”

- Zwróciliśmy się też do Izraela o przekazanie nam pełnego tekstu świętych ksiąg żydowskich. Porównamy je z naszymi.

Długonogi kot o rdzawej sierści, długich uszach i pojedynczych pręgach na głowie, nogach i ogonie wszedł do pokoju, miauknął i wskoczył Jezusowi na kolana. Ten pogłaskał zwierzę, które zaczęło mruścić i wbiło w Orme'a spojrzenie swych złocistych oczu. Jezus uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie jakiś żart, i powiedział:

- Oczywiście możliwe, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Mógłbym być owym Antychrystem, o którym pisał człowiek nazywany przez was świętym Janem. Swoją drogą, czy to prawdopodobne, żeby był on Jochananem, jednym z moich dwunastu uczniów?

Orme odchrząknął:

- Powszechnie uważa się, że tak jest, lecz Bronski twierdził, że nie ma na to żadnych dowodów.

- Nieważne. Sądząc z cytatów podanych przez Bronskiego, jest to bardzo poetycka wizja apokalipsy. Jan miał, rzecz jasna, na myśli Imperium Rzymskie, gdy mówił o siedmiogłowej bestii i wielkiej nierządnicy babilońskiej. Jest też również oczywiste, że oczekiwał nadejścia Mesjasza i Dnia Sądu jeszcze za swego życia. Ja zresztą też. Niemniej to nie należy do sprawy, choć jest interesujące. Co z tym Antychrystem? Gdybym ja nim był, musiałby także istnieć Chrystus, Mesjasz. Czy wierzysz, że on naprawdę istnieje? Czy też w głębi swojego serca uważasz, że on również jest mitem?

- Nie - odrzekł Orme ochryplym głosem. - Nie, wcale tak nie myślę. Wierzę w Jezusa Chrystusa, mojego Zbawiciela i Odkupiciela całej ludzkości.

- W porządku. A więc... mógłbym być jego wielkim antagonistą.

Jezus uśmiechał się, jakby ta dyskusja sprawiała mu olbrzymią radość.

- Rozważmy pozostałe możliwości. Czy Antychryst jest tym diabłem, tym szatanem, o którym, jak twierdzi Bronski, tak często wspomina Nowy Testament?

Orme kaszlnął i pociągnął łyk wina, jako że zaschło mu w gardle.

- Chyba nie. Antychryst będzie chyba zwykłym człowiekiem, choć diabeł pokieruje jego kroki.

- Ten diabeł jest - jeśli dobrze zrozumiałem - upadłym aniołem, którego imię brzmi Lucyfer. To słowo pochodzi z łaciny i oznacza „przynoszący, niosący światło”. Zgadza się?

- Tak.

- Jednym ze świętych tekstów hebrajskich jest Księga Hioba. W niej Lucyfer to tylko jeden z aniołów, choć bardzo ważny i nie jest on zły. Pełni tymczasowo funkcję prokuratora oskarżającego Hioba. To wy, tak zwani chrześcijanie, uczyniliście z niego upadłego diabła, istotę z rogami i ogonem.

- To jest stara ludowa legenda - odparł Orme. - Nikt już dzisiaj nie wierzy, że on napra-

wdę ma rogi i tak dalej.

- Rzecz w tym, że wy, chrześcijanie, potrzebowaliście złej siły o mocy niemal równej Bogu. To przekonanie zostało zresztą najprawdopodobniej zapożyczone od Persów. W ten sposób znaczną częścią winy za zło na świecie można było obarczyć właśnie Lucyfera. Jest jednak oczywiste, że człowiekowi nie potrzeba wpływu żadnego ducha, żeby stał się złym. Jego własne zło jest wystarczająco silne. Istnieją duchy i anioły, lecz nie są one złe. Przypuśćmy jednak, że jestem szatanem. Co bym wtedy robił na Marsie? Rzecz jasna zbierałbym ciemne siły, aby podbić Ziemię, całkowicie nad nią zapanować i wprowadzić tam rządy zła. Moi nieprzyjaciele zostaliby zabici, a ja zaprowadziłbym panujące nad całym światem królestwo, w którym oddawano by cześć wyłącznie złu. Co prawda, sądząc z tego, co słyszałem o Ziemi, nie jestem pewien, czy szatan nie panuje nad nią już teraz.

Jezus roześmiał się. Kot na jego kolanach poderwał się zaskoczony. Mesjasz uspokoił zwierzę, głaszcząc je pomiędzy uszami.

- Rozejrzyj się wokół siebie. Czy naprawdę możesz uwierzyć, że Marsjanie to źli ludzie, a ja jestem szatanem? Oczywiście, mógłbym mimo to być Antychrystem, a panujące tu dobro mogłoby stanowić jedynie fasadę czy też maskę. Istnieją jednak również inne możliwości. Rozważmy niektóre z nich. Jak byś ustosunkował się do czegoś, co z naukowego punktu widzenia mogłoby istnieć? Nie ma w tym niczego nadprzyrodzonego, choć nie można w tej chwili udowodnić, że mieści się to w uniwersum rzeczy naturalnych. Tak jak sam Stwórca, który nie będąc częścią natury, może posłużyć się nią w swoich zamiarach. Wyobraźmy sobie, że podczas swych międzygwiazdnych podróży statek kosmiczny Krszów zatrzymał się na planecie, na której, jak sądzili, życie nie istniało. Była ona nieco większa od Ziemi, a jej słońce znacznie potężniejsze od ziemskiego. Był to błękitny olbrzym. Krsze faktycznie wylądowali kiedyś na takiej planecie.

Powiedzmy też, że chód nie istniało tam życie, jakie znamy, instrumenty Krszów wykryły jednak niezwykle zjawiska elektromagnetyczne, twory przemieszczające się po powierzchni planety w pozornie przypadkowy sposób. W rzeczywistości poruszał nimi wiatr. Elektromagnetyczny wiatr z błękitnego olbrzyma. Powiedzmy również, że Krsze nigdy nie poznali prawdziwej natury tych tworów. Próbowali schwytać niektóre z nich, lecz nie potrafili tego dokonać. Wyobraźmy sobie też, że to elektromagnetyczne zjawiska były w rzeczywistości istotami rozumnymi. Zbudowane z pół czystej energii, miały one tak samo złożoną budowę jak ludzie i były równie inteligentne. Pod pewnymi względami nawet inteligentniejsze.

Ich wspólnota nie przypominała tych, które znamy, istniało tam jednak życie społeczne. Porozumiewały się pomiędzy sobą za pomocą języka złożonego ze słów będących elektromagnetycznymi impulsami o modulowanej częstotliwości.

Powiedzmy ponadto, że jedna z tych istot charakteryzowała się olbrzymią ciekawością. Zamiast uciekać przed niezwykłymi formami życia, które wylądowały na jej planecie, postanowiła je zbadać. Poprzez liczne eksperymenty stwierdziła, że potrafi zapanować nad ciałami przybyszów, czy może raczej nie tyle zapanować, co zjednoczyć się z nimi. Dzięki temu mogła nie tylko dzielić myśli i uczucia swego gospodarza, lecz w praktyce stać się nim. Potrafiła nawet zawładnąć swoim gospodarzem w taki sposób, że ten nie zdawał sobie z tego sprawy.

Jezus ponownie roześmiał się i pociągnął łyk wina.

- Interesująca opowieść, prawda? Co więcej, ta istota stwierdziła również, iż umie przekształcić swe pole energetyczne do tego stopnia, aby stać się tak podobną do któregoś z przybyszów, że jego towarzysze nie zauważą różnicy. Dla nich sobowtór nie różnił się niczym od nich samych ani od tego, kim były przedtem. Rzecz jasna, zarówno sobowtór, jak i osoba „zintegrowana” musieli podlegać tym samym ograniczeniom, co zwyczajne istoty. Nie mogli chodzić po wodzie, unosić się w powietrzu, czy naprawić uszkodzonych komórek dotknięciem palca. Albo przywracać umarłych do życia. Gdyby robili podobne rzeczy, mogłoby

to wywołać pytania i spowodować wątpliwości, które doprowadziłyby do wszczęcia dochodzenia. Krsze nie przypominali pełnych przesądów Ziemiaków z tamtej epoki. Nie uwierzyliby, że ta niezwykła moc stanowi nieoczekiwany dar Stwórcy. Mogliby się domyślić prawdy. Gdyby tak było, użyliby swoich precyzyjnych instrumentów i odkryli niepokojącą elektromagnetyczną aktywność, która nie mogła występować u Krszów. Niemniej istota dowiedziała się o tym szybko i nauczyła się ekranować swe promieniowanie do tego stopnia, że nie sposób było go wykryć.

Dlaczego jednak nie ujawnić się przed Krszami? Czy zrobiliby jej oni krzywdę? Nie wydawało się to prawdopodobne. Byli pokojowo nastawionym ludem. Pozwoliliby energetycznej istocie na spędzanie części czasu w reaktorze, który dostarczył paliwa napędzającego statek. Rozumiesz, ta istota, podobnie jak wszystko, co żyje, potrzebowała pożywienia, którego dostarczała jej radioaktywność. Mogła ją pochłaniać czy trawić, ale nie musiała nic wydalać. Zużywała sto procent pobieranej energii.

- Słońce - mruknął Orme.

- Masz na myśli tę kulę, która unosi się w jaskini. Tak, źródłem jej energii jest reaktor atomowy, choć znacznie bardziej wydajny niż budowane w twoim świecie. To tłumaczyłoby, dlaczego spędzam tak wiele czasu na słońcu. Odnawiam tam swą substancję w więcej niż jeden sposób. To znaczy, tak brzmiałoby wytłumaczenie, gdybym naprawdę był ową energetyczną istotą. Rzecz jasna jest to jednak tylko przypuszczenie, które dostarcza mi rozrywki i, mam nadzieję, tobie również.

Powiedzmy też, że ta istota postanowiła na razie się nie ujawniać. Uznała, że musi poznać przybyszów znacznie lepiej, zanim zdecyduje się podjąć takie ryzyko. Tak więc opuszczała od czasu do czasu swego gospodarza, aby spędzić pewien okres w reaktorze. Zdażyła zająć po kolei ciała wszystkich Krszów, zanim statek dotarł na Ziemię. Poznała swych gospodarzy dobrze, lepiej niż oni znali samych siebie. W końcu posiadała umiejętność odczytywania ich podświadomości, podobnie jak ja, gdybym naprawdę był tą istotą, potrafiłbym czytać w twojej podświadomości. Jednak nawet gdyby tak było, nie uczyniłbym tego teraz. Widzisz, jednocześnie ze swymi gospodarzami, sam również stałem się człowiekiem. Stwierdziłem, że wycieczka do podświadomości nie należy do rzeczy przyjemnych. To nie jest miłe miejsce, mój synu. Rzecz jasna, wszystko co mówię to produkt wyobraźni. Nadal zakładam, że jestem tą hipotetyczną istotą.

Wróćmy więc do przygód czysto energetycznej istoty, która stała się człowiekiem. Na szczęście, czy może niestety, rozwinęło się u niej ludzkie sumienie. Nie mogła tego uniknąć, ponieważ stała się w pełni człowiekiem. Problemy etyczne, które nie tylko nigdy dotąd jej nie obchodziły, lecz o których w ogóle nawet nie słyszała, pochłonęły ją teraz bez reszty.

Czy można było zgodnie z etyką zająć ciało innej istoty rozumnej i zapanować nad nim? Odpowiedź brzmiała: nie. A czy wolno było po prostu przebywać w ciele gospodarza, pozostawiając mu jego wolną wolę? Odpowiedź brzmiała: tak. Jednakże, jako gość w obcym ciele, istota była tylko pasożytem i do tego bardzo znudzonym. Pragnęła panować nad ciałem, tak aby było ono posłuszne jej woli. Nie mogła jednak tego zrobić, ponieważ byłoby to złe.

Nie mogła też przekształcić energii swego ciała w materię i stać się sobowtórem któregoś z Krszów. Ujawnienie obecności w tej chwili mogłoby spowodować wielkie zamieszanie. Ponadto, gdyby Krsze dowiedzieli się, że istota potrafi zapanować nad ich ciałami i umysłami, mogliby uznać, że jest zbyt niebezpieczna, a ponieważ byli inteligentni i posiadali zaawansowaną naukę, znaleźliby sposób na jej zniszczenie; gdyby go zaś nie znaleźli, mogliby po prostu wyrzucić ją w przestrzeń i tam pozostawić.

Jezus przerwał. Nie przestawał się uśmiechać.

- Mam wrażenie, że jedzenie nie sprawia ci przyjemności. Miriam jest znakomitą kucharką, więc powinno ci smakować.

- Jest bardzo dobre - odrzekł Orme. - Tak się zasluchałem, że zapomniałem o śniadaniu.

Odkroił kawałek baraniny i zaczął go przeżuwać, wydawało mu się jednak, że mięso utraciło smak.

Jezus kontynuował:

- I wtedy statek przybył na Ziemię. Jak wiesz, Krsze spędzili tam trzy lata. Istota energetyczna zastanawiała się, czy nie pozostać na Ziemi, pozwalając Krszom odlecieć bez niej. Ziemia była jednak straszliwym miejscem z punktu widzenia Krszów, jak również mojego, ponieważ stałem się teraz jednym z nich. Okropne choroby: trąd, rzeżączka, ospa i cała reszta. Straszne warunki, w których żyła większość ludzi. Wojny, masakry, głupie prawa, nienawiść, nędza dzieci... Czy muszę wyliczać dalej? Mimo to litowałem się nad nimi i pragnąłem zmienić ich dolę. Krsze również planowali powrócić któregoś dnia i podzielić się swą nauką, techniką oraz organizacją społeczną. Niektórzy z nich twierdzili jednak, że udostępnienie tym krwiożerczym dzikusom metod produkcji broni może doprowadzić jedynie do kolejnych nie-szczęść.

Ostatecznie, elektromagnetyczna istota postanowiła powrócić wraz z Krszami na ich planetę. Stać się jednym z nich i wśród nich żyć. Nie byłoby to łatwe, ponieważ Krsze rejestrowali wszystkich obywateli i nagłe pojawienie się nieznanego człowieka spowodowałoby wszczęcie dochodzenia. Niewykluczone jednak, że istota mogłaby przybrać postać dopiero co zmarłego Krsza, pozbyć się jego ciała i zająć jego miejsce.

W końcu statek opuścił Ziemię. Wśród ludzi znajdujących się na jego pokładzie był Maciej i niektórzy z jego towarzyszy.

Wiele mówili o Mesjaszu Jezui, Pomazańcu Miłosiernego. Udało im się nawrócić pozostałych Ziemian na swoją religię, lecz z Krszami nie osiągnęli niczego. Wtedy istocie przyszedł do głowy pomysł. Postanowiła uformować ciało przypominające idealnie zmarłego Jezusa i - jako Jezus - oznajmić, że postanowiła wyruszyć wraz z Krszami do ich świata, aby tam szerzyć swoją wiarę, a po jakimś czasie powrócić na Ziemię, do samej Jerozolimy, aby założyć Nowe Królestwo Syjonu, jak to przepowiadała - choć niezbyt jednoznacznie - księga, którą nazywacie Biblią.

Orme zakasłał i zapytał:

- Przepraszam, rabbi, ale czy nie byłoby to nieetyczne?

Jezus milczał przez chwilę, przeżuując kęs chleba z miodem.

- W wąskim sensie tak. Jednakże ta istota dostrzegła sposób na zapewnienie Ziemianom zdrowia i szczęścia. Tak więc wyższa moralność i wyższe prawo odniosły zwycięstwo.

- Słyszałem to już przedtem - odrzekł Orme.

- Och, chcesz przypomnieć, że źli ludzie mówią o wyższej moralności, aby usprawiedliwić swe niegodziwe czyny. To prawda, lecz w tym przypadku nie ma wątpliwości, że rozumowanie istoty było słuszne. Ważne też, że nie zamierzała ona - jako Jezus - używać siły, aby zaprowadzić na Ziemi Królestwo Mesjańskie, gdyż to musiałoby niestety doprowadzić do wojny. Powiedziałem już jednak kiedyś: „Nie przyszedłem przynieść pokój, ale miecz”. Pokój nadejdzie później.

- I co dalej? - zapytał Richard. - Co zdarzyło się potem?

- Widziałeś, co się zdarzyło. Synowie Ciemności wytropili statek Krszów i musieli oni skryć się pod powierzchnią Marsa. Resztę wiesz.

- Niezupełnie, rabbi - odrzekł Orme. - Wielu rzeczy mi nie powiedziano. Być może ukrywano je celowo. Na przykład dlaczego czekałeś tak długo na... hmm... milenium? Na powrót na Ziemię? Z pewnością Krsze mogli powrócić tam już po stu latach lub nawet wcześniej.

- Tak, lecz nie było ich wtedy wielu. Poza tym ludzie musieli zintegrować się z Krszami, a wiara - głęboko zapaść korzenie. Co więcej, po szybkim powrocie zastaliby ludzi na Ziemi w takiej samej sytuacji, w jakiej ich zostawili. Krsze twierdzili, że z biegiem czasu Ziemianie dokonują postępu w nauce i być może staną się też bardziej humanitarni. Osiągną

stadium, w którym marsjańska nauka i technika oraz instytucje społeczne będą mogły zostać zrozumiałe i przyswojone.

Krsze postępowali więc tak, jak poleciła im istota nazywająca siebie Jezusem. Oznajmił im on, że gdy nadejdzie czas powrotu na Ziemię, dowiedzą się o tym, gdyż będzie to - zgodnie z przepowiednią Macieja - chwila, w której Ziemianie dotrą do Marsa. Jest też możliwe, że istota zwana Jezusem podpowiedziała Maciejowi, jak powinno brzmieć jego proroctwo.

Przez chwilę panowała cisza. Jezus skończył śniadanie i rzekł:

- Złożmy dziękczynienie naszemu Stwórcy za te dary.

Orme niemal nie słuchał hebrajskiej modlitwy. Czy ten człowiek go nabierał? Czy wygłupiał się po prostu? Czy też...

Jezus wstał z krzesła i powiedział:

- Możemy porozmawiać jeszcze przez chwilę. Potem będę cię musiał prosić o zakończenie wizyty, ponieważ czekają mnie ważne zajęcia.

Udali się razem do salonu. Jezus usiadł na wielkim, bardzo miękkim krześle, a Orme zajął miejsce na kanapie.

Jezus złączył ze sobą koniuszki palców i rzekł:

- Można też snuć inne przypuszczenia. Wyobraźmy sobie na przykład, że to nie istota energetyczna zapanowała nad jednym z Krszów podczas ich pobytu na planecie błękitnej gwiazdy, lecz że było to inne stworzenie, pochodzące z planety zamieszkałej przez istoty człekokształtne. Nie byłaby to istota energetyczna, lecz jakiś niezwykle rodzaj pasożyta przypominającego odrażającą glistę. Stworzenie to posiadałoby zdolność przedostania się do ciała innej istoty i zagnieżdżenia się wśród jej tkanek jak robak. Mogłoby ono opanować mózg istoty rozumnej i, w pewnym sensie, samo stać się rozumne. Przypuśćmy też, że to stworzenie podążyło mniej więcej tą samą drogą, którą opisałem, opowiadając o istocie energetycznej, choć, być może, czyniłoby to w złych intencjach.

- Ale ta teoria nie wyjaśnia, skąd brałaby się jego moc.

- Mógłbym zasugerować, że to glistopodobne stworzenie potrafiło wyzwolić w istotach ludzkich potencjał, z którego istnienia nie zdają one sobie sprawy. Przynajmniej jak dotąd. Wciąż im to powtarzam, lecz nikt nie chce mi uwierzyć.

- Która z tych opowieści jest prawdziwa, rabbi?

Jezus przemówił głośno. Jego ciemne oczy lśniły jak szklane szybki, przez które widać wnętrze gorącego pieca.

- Usłyszałeś prawdę i ujrzałeś ją na własne oczy! Powtarzam ci, synu człowieczy, że ten oto syn człowieczy powiedział ci wszystko, co musisz wiedzieć! Nie pozostawało ci już wiele czasu, aby odnaleźć drogę prowadzącą ku zbawieniu!

Orme zadrżał na widok płomieni i gromu.

Jezus podniósł się z miejsca. Surowy wyraz zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca uśmiechowi.

- Możesz już odejść. Niech pokój i błogosławieństwo Miłosiernego spłyną na twoją głowę.

Wyciągnął rękę. Orme wstał, podszedł do niego i ucałował ją, wyczuwając w sobie nagły przypływ mocy.

## 19.

- Piszę właśnie - oznajmił Bronski - nieautoryzowaną biografię Jezusa.

Jego biurko zawałone było stertą papierów oraz urządzeniami elektronicznymi. Spod tego stosu Francuz spojrzął na swego kapitana, który spacerował niespokojnie po pokoju.



- W gruncie rzeczy będzie to krótka książka. Raczej streszczenie niż dokładny opis życia. Chcę ją ukończyć, zanim powrócimy na Ziemię. Może nawet zdążę zrobić to tak szybko, że da się przetransmitować ją przed naszym startem.

Poprzedniego dnia poinformowano marsonautów, że będą pasażerami na marsjańskim statku, który poleci na Ziemię. Nie było to dla nich niespodzianką. Spodziewali się, że zostaną wykorzystani jako świadkowie i że będą mogli potwierdzić, iż nie zdawali fałszywych relacji pod naciskiem swoich gospodarzy.

Orme powtórzył pozostałym swą rozmowę z Jezusem. Madeleine uznała natychmiast opowieść o energetycznej istocie za prawdziwą.

- Igra sobie z nami - powiedziała. - Mówi nam prawdę, wiedząc, że w nią nie uwierzymy.

- Ty jednak uwierzyłaś - odrzekł Nadir. - Jestem prawie pewien, że przeżywasz załamanie nerwowe. W przeciwnym razie nigdy nie dałabyś wiary równie fantastycznej opowieści. To czysta *science fiction*.

- Prędzej uwierzę w to, niż że jest Jezusem Chrystusem! - krzyknęła.

- Dlaczego nie? - zapytał Bronski.

Rozgorzała gorączkowa dyskusja. Wszyscy przerywali sobie nawzajem, podnosząc głos. Bronski sprawił jednak, że nagle umilkli. Oświadczył im, że ma zamiar się nawrócić. Załatwił już wszystko z najbliższym rabinem. Po godzinie rabin zatelefonował i poinformował go podnieconym głosem, iż ma dla niego wspaniałą wiadomość. Mesjasz osobiście poprowadzi ceremonię.

- No to pierwsza klasa - powiedział Orme. - Zazdroszczę ci.

Tym żartem pokrył to, co odczuwał naprawdę. Faktycznie zazdrościł Bronskiemu i nienawidził za to sam siebie. Ostatniej nocy, gdy Avram spał, modlił się w jednym z pokojów.

- Panie, ukaż mi prawdę. Powiedz, czy ten człowiek rzeczywiście jest Jezusem Chrystusem, Twoim Synem, czy też Antychrystem... A może jest tą istotą energetyczną? Oświeć mnie. Nie pozwól, żebym popełnił najgorszy z błędów. Jestem jednym z Twoich dzieci i z pewnością nie byłoby dla Ciebie zbyt trudne wskazać mi właściwą drogę. Proszę Cię, Ojcze. Amen.

Nie oczekiwał, że na pokój spłynie jasne światło i że przemówi grzmiący głos. Niemniej, gdy nic się nie wydarzyło, poczuł rozczarowanie. Nie przemówił nawet jego słaby głos wewnętrzny, ani nie zaświeciło jego własne światelko. Wstał, naprężył się, pokręcił i wydał długie westchnienie. Przez kilka sekund miał wrażenie, że ktoś za nim stoi. To było identyczne uczucie, jakiego doznawał, gdy budził się w nocy z przeświadczeniem, że ktoś stoi przy jego łóżku.

Kto to był? Co to było? Efekt nerwowego przeciążenia? Niewyraźna świadomość obecności samego Boga? Czy może prawdziwy Jezus pozwolił mu wyczuć swoją obecność, aby Orme zrozumiał, że nie jest sam? Który z Jezusów to był? Ten, o którym Orme słyszał w dzieciństwie, czy też żywy Jezus, Mesjasz narodu wybranego, a w przyszłości wszystkich ludzi? Czy istniała między nimi jakakolwiek różnica? Czy chrześcijanie rzeczywiście się mylili?

A może ten Jezus rzeczywiście był istotą energetyczną?

Gdyby Orme nie widział w tym świętokradztwa, przekląłby Jezusa za to, że opowiedział mu tę historię. Wywołała ona u Kanadyjczyka poważne zwątpienie, choć nie było to przecież zamiarem człowieka w błękitnej szacie. A może było? Może chciał sprawdzić, co Orme myśli naprawdę.

Od rana Richard toczył bój sam ze sobą. „Trudniej jest walczyć ze swoją jaźnią niż z aniołem - pomyślał. - Jakub miał łatwiejsze zadanie ode mnie”.

Przestał krążyć po pokoju i wyrzwał przez okno.

- Idzie Nadir - powiedział. - Wygląda, jakby przeszedł przez piekło.

Po chwili Irańczyk wszedł do środka. Twarz miał pobladłą i przygnębioną, a oczy podkrążone. Ręce mu drżały.

- Madeleine mnie rzuciła - rzekł z wysiłkiem. - Dziś rano oświadczyłem jej, że zdecydowałem się zostać Żydem. Zaczęła na mnie krzyczeć i kazała mi się wynosić. Próbowałem przemówić jej do rozumu, ale dostała szału. Nie było sensu z nią dyskutować. Groziła, że mnie zabije, jeśli nie zejdem z drogi. Wyśmiewała się ze mnie, że ja, muzułmanin, mam zamiar zostać Żydem.

Orme spojrział na drugą stronę ulicy, gdzie stał dom Shirazich. Nie mógł jednak dostrzec nic przez okno.

- Bardzo mi przykro z powodu Madeleine - powiedział Bronski - cieszę się jednak, że podjąłeś tę decyzję. Być może Danton się uspokoi. Myślę, że wie, którądy prowadzi droga, lecz po prostu nie potrafi się zmusić, aby na nią wkroczyć.

Orme również martwił się tym. Jednakże wiadomość, że Irańczyk zamierza się nawrócić, wstrząsnęła nim. Co sprawiło, że obaj zmienili zdanie? Dlaczego on nie potrafi zrobić tego samego?

- I tak musiałbym ją porzucić - stwierdził Nadir. - Jest poganką, a Ludowi Przymierza nie wolno zawierać małżeństw z poganami. Prawdopodobnie zresztą i tak byśmy się rozwiedli. Z nią nie sposób wytrzymać.

Trudno odgadnąć, dlaczego w tej chwili, usłyszawszy te właśnie słowa, Orme powziął swoje postanowienie. Nie rozbłysło żadne potężne światło ani nie zabrzmiały trąby. Wszystko odbyło się tak spokojnie jak narodziny myszy w mrocznym kredensie.

- Zaraz wracam - powiedział, drżąc z podniecenia.

Spojrzeli na niego. Wychodząc usłyszał, jak Bronski woła za nim: - Dokąd idziesz?

- Dowiecie się!

W godzinę później, ustalwszy gdzie można ją znaleźć, zatrzymał samochód przed szkołą, w której uczyła Gulthilo. Uprzedzona telefonem, czekała na niego w pokoju przy wejściu.

Miała na sobie szatę wyszywaną w błękitne i czerwone kwiaty.

Można było wyczuć piżmową woń jej perfum. Włosy spływały jej na plecy złocistą falą. Błękitne oczy lśniły. Usta rozchylały się w szerokim uśmiechu.

- Nie chciałeś powiedzieć, dlaczego musimy się natychmiast zobaczyć - rzekła na powitanie. - Myślę jednak, że wiem. Pragniesz mnie poślubić?

- Zgadza się - odrzekł i wziął ją w ramiona. Usłyszała za sobą chichot dziewczynek, które podsłuchiwały pod drzwiami gabinetu.

Ceremonia przyjęcia wiary była krótka, lecz robiła wrażenie.

Zebrał się potężny tłum - około stu pięćdziesięciu tysięcy gapiów. Część z nich przyszła ze względu na historyczne znaczenie wydarzenia: ten rytuał był odprawiany po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat. Drugim powodem była obecność Mesjasza.

Jezus przybył samochodem, zapewne ku rozczerowaniu tych, którzy mieli nadzieję ujrzeć lewitację. Miał na sobie błękitną szatę oraz *tefilin*, czyli filakterie - miniaturowe skórzane szkatułki, zawierające po cztery cytaty z Prawa, noszone na czole i na lewym ramieniu.

Miał także swój tałas - chustę modlitewną. Wedle Prawa Żyd musiał podczas modlitwy owinać się chustą i założyć *tefilin*, lecz gdy Orme jadł śniadanie z Jezusem, jego gospodarz nie uczynił tego. Ostatecznie, jako Mesjaszowi przysługiwała mu pewna swoboda. Teraz jednak był odziany tak, jak przystało głównemu rabinowi.

Towarzyszyła mu żona, Miriam, która rzadko pokazywała się publicznie. Przybyła innym samochodem. Gdy wysiadła, a potem skierowała się do synagogi, ludzie stojący najbliżej usiłovali dotknąć jej ubrania, a jeśli nie mogli tego zrobić, próbowali dotknąć choć tych, którym się udało. Tak jakby sądzili, iż z jej męża przechodzi na nią moc wyczuwalna nawet po przeniknięciu przez dwie dalsze osoby. Być może jednak był to tylko wyraz publi-

cznego uwielbienia.

Orme, Bronski i Shirazi czekali na stopniach *beth kinneseth*, czyli synagogi. Z wnętrza dobiegały dźwięki orkiestry. Była tam Gulthilo. Wcześniej, przechodząc obok Richarda, puściła do niego oko. Była naprawdę niepoprawna.

Gdy Jezus wkraczał do środka, odezwały się trąby i cymbały.

Za nim podążyli konwertyci oraz dygnitarze. Orme był kompletnie oszołomiony podczas składania przysięgi, obrzezania (które miało charakter symboliczny, ponieważ cała trójka miała już napletki usunięte), modlitw oraz posiłku, który spożywali po uroczystości w wielkiej auli uniwersytetu. Jego szczęście podszyte było zwątpieniem. Czy rzeczywiście postąpił słusznie? Czy nie pozwolił się ponieść emocjom? W tych sprawach jednak zawsze rozstrzyga serce.

Następnego dnia przeżył ceremonię niemal równie oszołamiającą. W jej trakcie zapomniał o swych wątpliwościach.

Ślubu z Gulthilo udzielił mu Jezus osobiście. *Mistitha*, czyli zaślubiny miały charakter bardzo podniosły, później jednak uczcili je niesłychanie żywołowo. Słowo *mistitha* wywodziło się z aramejskiego, gdzie oznaczało hulankę. Z pewnością było to odpowiednie określenie. Orme przypuszczał, że gdyby nie obecność Jezusa, goście posunęliby się jeszcze dalej. Nikt nie mógł opowiadać dowcipów o nowożeńcach i ich nocy poślubnej ani upić się w sztok w jego obecności. Gdy wyszedł, zabawa wybuchła z nową siłą, lecz nowożeńcy nie zostali już długo. Matka Gulthilo pragnęła opowiedzieć Orme'owi więcej o swojej córce, lecz Gulthilo rzekła:

- On wie o mnie wszystko, mamó. - Po czym pocałowała ją i oboje uciekli.

Pojechali do małego domku stojącego na brzegu jeziora w przyległej jaskini i nie tracąc czasu wskoczyli do łóżka. O szóstej rano wyczerpanego Orme'a obudził przenikliwy dźwięk dobiegający z telewizora. Zwłóknął się z posłania i podszedł do aparatu. Na ekranie pojawił się Nadir Shirazi.

Jeszcze nim usłyszał jego głos, Richard wiedział już, że Irańczyk przynosi złe wieści. Żał wyżył głębokie rysy na jego twarzy.

- Madeleine zadzwoniła do mnie przed godziną. Powiedziała mi, że ma zamiar się zabić. Błagałem ją, żeby tego nie robiła, lecz rozłączyła się. Zanim zdołałem dotrzeć do domu - nocowałem u Bronskiego, rozumiesz - wbiła już sobie nóż głęboko w serce. Przepraszam, że obudziłem cię tak wcześnie, ale... uważałem... że powinieneś się dowiedzieć.

Rozpłakał się. Orme odczekał, aż Nadir uspokoił się nieco i powiedział:

- Przyjedziemy najszybciej, jak tylko można. To jednak daleka droga...

- Nic nie szkodzi. Hfathon wyśle po was latającą łódź.

Gulthilo i Orme przybyli do szpitala po piętnastu minutach.

Bronski, Shirazi, Hfathon i lekarz - Krsz o imieniu Dawidh ben Jiszak - siedzieli w poczekalni.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, iż ona nie żyje! - zawołał Kanadyjczyk.

- Tak też było - odrzekł Nadir - lecz oni zaleczyli rany. Serce podjęło na nowo pracę i Madeleine jest żywa.

- Ale co z dopływem tlenu do mózgu... Jak długo była martwa, zanim dostarczono ją do szpitala?

- Dziesięć minut. W sumie nie żyła co najmniej pół godziny, ale ludzie w karetce, gdy tylko przyjechali, umieścili ją w komorze niskich temperatur. Mimo to...

Orme pomyślał, że Madeleine utraci władze umysłowe, stanie się wegetującą rośliną. Czy w ogóle warto było ją ratować? Potem przypomniał sobie o Jezusie Chrystusie. Czyż nie mógł on przywrócić jej komórek do stanu wyjściowego?

Wziął Bronskiego na bok i zapytał go o to. Francuz odpowiedział:

- Nie było potrzeby prosić go o przybycie. Wszystko, co można zrobić, zostało uczynio-

ne natychmiast. Nie zapominaj, Richard, że ich wiedza medyczna jest znacznie bardziej zaawansowana od naszej. Jeśli zaś chodzi o jej mózg, no cóż, doszło do nieodwracalnych uszkodzeń. Nawet on nie mógłby jej pomóc. Istnieją pewne rzeczy, które po uszkodzeniu tylko Stwórca mogły naprawić.

- Co masz na myśli?

- Jej wspomnienia. Wiele komórek, w których były przechowywane, musiało ulec zniszczeniu. Można je odtworzyć, lecz ponieważ ich zawartość już nie istnieje, byłyby jedynie pustymi pojemnikami czekającymi na wypełnienie.

- No tak, ale co z Łazarzem? Nie żył od trzech dni, a gdy Jezus go wskrzesił, był jak nowy.

Bronski uśmiechnął się ze smutkiem.

- Wciąż nie potrafisz odróżnić Jezusa z Ewangelii od Jezusa historycznego. Nikt nie mógłby ożywić zwłok, które gniły przez trzy dni w tak gorącym klimacie. Ta historia została wymyślona po śmierci Jezusa, a być może nawet za jego życia. Jest to po prostu jedna z niezwykłych opowieści, jakie powtarzano w tamtych czasach o wybitnych ludziach.

Tak też było. Madeleine przeżyła, jej ciało było zdrowe, a inteligencja równie wysoka jak poprzednio. Gdy jednak przemówiła, okazało się, iż sądzi, że ma dwanaście lat i przebywa w domu swoich rodziców w Montrealu. Spodziewając się czegoś podobnego, lekarze podali jej wielką dawkę środka uspokajającego celem złagodzenia szoku. Minie wiele czasu, zanim zdoła zrozumieć, co się z nią stało, jeżeli kiedykolwiek w ogóle do tego dojdzie.

## 20.

Czego Orme dowiedział się o Marsie? Niewiele z tego, czego się spodziewał (a jego oczekiwania nie były wielkie), choć znacznie więcej, niż potrafił sobie wyobrazić.

I co z tego, że wiedział, iż Marsjanie są Żydami, skoro tyle w ich codzienności wciąż go zaskakiwało, a nawet niepokoiło.

Jednym z powodów były jego utrwalone wyobrażenia na temat Żydów. Ale im więcej czasu spędzał na Marsie, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że choć zawsze dumny był z tego, iż nie ma żadnych uprzedzeń, w rzeczywistości miał ich znacznie więcej, niż mógłby przypuszczać. Może zresztą nie były to uprzedzenia, lecz zwykła ignorancja, jednak uznał, że trudno wytyczyć pomiędzy nimi granicę.

Ponadto marsjańscy Żydzi nie byli i nie mogli być identyczni z ziemianami, choć istniały znaczne podobieństwa. Dwa tysiące lat temu ich drogi rozeszły się. Ci, którzy zostali na Ziemi, utrzymywali bliskie kontakty z setkami różnych społeczności pogańskich. Ich sąsiedzi - goje - wywierali na nich wpływ bez względu na to, jak mocno Żydzi walczyli o zachowanie swej tożsamości kulturowej.

- Żydzi, którzy osiedlili się dawno temu w Chinach - powiedział Bronski - wśród orientalnych gojów stali się w końcu pod względem fizycznym nie do odróżnienia. Utracili też znaczną część swojego dziedzictwa. Żydzi w getcie rzymskim, choć zachowali swoją religię, pod wieloma względami upodobnili się do Włochów. Nie mogli uniknąć przejścia wielu cech kultury włoskiej. Nie ma w tym nic dziwnego. Żydzi zawsze starali się dostosować do warunków, gdziekolwiek się osiedlili. W przeciwnym razie nie przeżyliby. W efekcie jednak na przykład ci z getta rzymskiego stali się podobni do Włochów. Słyszałem od wielu Żydów tłumaczenie, że Żydzi włoscy wyglądają jak Włosi, holenderscy jak Holendrzy, sefardyjscy jak Hiszpanie czy Portugalczycy, a jemeńscy jak Arabowie, ze względu na pewien rodzaj ochronnej mimikry. To śmieszne, nienaukowe wytłumaczenie. Powodem jest fakt, że nie chcą oni przyznać, iż bez względu na to, jak mocno starali się zachować czystość „rasową”, posia-

dają domieszkę innych, obcych genów. Jedną z przyczyn były gwałty, główną jednak rolę odegrało cudzołóstwo. Rzecz jasna strumień genów przepływał też w drugą stronę i niejeden antysemita ma żydowskiego przodka. Żydzi, zwłaszcza ci pobożni, nie chcą lub nie mogą brać pod uwagę tego wytłumaczenia. Nie rozumiem dlaczego. Przez tyle wieków prorocy żydowscy lamentowali, że ich ziomkowie parzą się z gojami lub też, by użyć mniej nasyconego emocjonalnie, a za to dokładniejszego określenia, krzyżują się z nimi. Czytałeś Biblię, to wiesz, o co mi chodzi.

Bronski dodał, że nie mogło to jednak poważnie zagrozić tożsamości żydowskiej, która nie była oparta na czystości „rasowej” lecz religijnej. Poza tym każde dziecko urodzone przez Żydówkę było, zgodnie z ich prawem, uważane za Żyda i tak też wychowane. Często jednak wytykano je palcami, a poza tym zabroniono mu wstępu do Świątyni.

- Zresztą, nie miało to znaczenia - oświadczył Bronski - ponieważ od roku 70 Świątynia nie istniała, podobnie jak w okresie niewoli babilońskiej. Znowu pograżyłem się w dygresjach, ale co w tym złego? Dygresje są równie interesujące, jak główny wywód. Wszystkie grupy etniczne ulegały wpływom kulturowym przy kontaktach z obcymi. Co jednak dla innych stanowiło wpływy, dla ortodoksyjnych Żydów było regresem - zanieczyszczeniem, skalaniem, złem. Ze swojego punktu widzenia mieli całkowitą rację. Jak by mogli pozostać wybranym narodem Boga, jeśli przestaliby trzymać się swojej religii i przestrzegać któregoś z Praw Mojżeszowych? Zmienić choćby na jotę któreś z głównych przykazań oznaczało pozwolić wężowi postawić stopę za próg ich domu. - Uśmiechnął się. - Zakładając, że wąż ma stopy. Powiedzmy, wsadzić tam nos. Jednakże Żydzi marsjańscy byli izolowani zarówno od swych ziemskich braci, jak i od gojów. Nie wycierpieli straszliwych prześladowań, które stały się udziałem ich ziemskich kuzynów, ani też nie odczuwali pokusy przejęcia obyczajów gojów, ponieważ nie znali nikogo takiego. Zupełnie nie rozumieją niuansów i skojarzeń emocjonalnych, które towarzyszą słowu „Żyd”. Tutaj, gdy Krsze i Ziemianie przeciężyli dzielące ich różnice kulturowe, co ułatwia fakt, że Krsze stali się Żydami, społeczeństwo przybrało jednorodny charakter. Na początku istniały pewne tarcia, lecz nie miały one gwałtownego charakteru. Przez ponad dwa tysiące lat Mars nie znał wojen, zamieszek, masowych migracji wywołanych przez strach. Bardzo rzadko odbywały się tu nawet pokojowe demonstracje. Zdarzały się bójkі pomiędzy pojedynczymi osobami i małymi grupami, a niekiedy morderstwa. Były one jednak tak sporadyczne, iż Bronski przyznał, że ma czasami wątpliwości, czy Marsjanie naprawdę są ludźmi. Szybko wszakże dodał, iż, podobnie jak Mark Twain, jest niewątpliwie uprzedzony do gatunku *homo sapiens*.

Marsjańskie społeczeństwo dowodziło jednak, że ludzie mają potencjalne zdolności życia w pokoju i współpracy oraz że *homo sapiens* (tak samo jak „homo Krsz”) nie jest urodzonym zabójcą.

Albo, jeśli by nim był, społeczeństwo marsjańskie stłumiło lub skutecznie ograniczyło agresję i pęd do wojny.

- Zgoda - odrzekł Orme. Zauważył jednak, że teraz, gdy ma nastąpić kontakt z cudzoziemcami, Marsjanie szykują się do wojny.

- Nie. Oni nie wypowiadają wojny. Nie będą walczyć, jeśli nie zostaną zaatakowani. Byliby jednak szaleni albo bardzo głupi, gdyby nie przygotowali się na najgorsze. Znają historię Ziemi i panującą na niej obecnie sytuację. Muszą spodziewać się ataku.

- Wiedzą, że do niego dojdzie. Rzecz w tym, że mogliby uniknąć wojny, gdyby nie opuszczali Marsa. Lub gdyby nie próbowali nawracać Ziemian. Wiedzą o tym, mają jednak zamiar spróbować nawrócić całą ludzkość. Zdają sobie sprawę, że doprowadzi to do wojny. Miliony, może nawet miliardy, zginą bądź ucierpią straszliwie. Można powiedzieć, że Marsjanie są w pewnym sensie agresorami.

Bronski uśmiechnął się krzywo.

- Wciąż mówisz „oni”, a nie „my”. Zapominasz, że my obaj również zaliczamy się do

nich. Wciąż nie jesteś prawdziwym Marsjaninem. Być może nigdy się nim nie staniesz.

- A co z tobą? Też mówisz o nich „oni”.

Bronski wzruszył ramionami.

- To wymaga czasu. Nie mogę zapomnieć o Ziemi, podobnie jak starożytni Żydzi w czasach niewoli babilońskiej nie mogli zapomnieć Jeruzalem.

Jednym z tematów, od roztrząsania których Bronski nie potrafił się powstrzymać, była kwestia predyspozycji Marsjan do prowadzenia wojny.

- Co oni mogą wiedzieć o okropnościach wojny? To dziedzina im nie znana. Coś, o czymś czytali, ale czego nigdy nie doświadczyli. Dwa tysiące lat pokoju wytworzyło atmosferę psychiczną, której my, Ziemianie, nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Jest prawdą, że każde ich pokolenie szkoliło się na wypadek wojny, była to jednak tylko zabawa. Jak zareagują, gdy będą zmuszeni zabijać i ginąć? Czy dwa tysiące lat pokoju uczyniło ich niezdatnymi do wojny?

- Mała o przekrwionym spojrzeniu, która drzemie w nas wszystkich, przebudzi się i wyskoczy ze swej klatki.

- Jeżeli rzeczywiście istnieje w nas takie stworzenie.

- Jednak on twierdzi, że trzeba to zrobić, że to jest słuszne - rzekł Orme.

- Gdyby powiedział to ktoś inny, nie uwierzyłbym.

Obaj wiedzieli, że wciąż mają zastrzeżenia w stosunku do tego, co miało się zdarzyć, że nie pozbyli się wielu wątpliwości i pytań. Stale jednak powtarzali sobie samym, a także sobie nawzajem, że nie przewyciężyli jeszcze swych ziemskich odruchów. Z pewnością nadejdzie czas, gdy się ich pozbędą i staną się równie marsjańscy jak tubylcy. Tymczasem musieli cierpieć. Orme był w gorszym stanie, niż przyznawał się przed Bronskim, czy nawet często przed samym sobą.

Jedną z wielu rzeczy, które odróżniały marsjańskich Żydów od ich ziemskich współbraci, były początkowe oddziaływania Krszów.

W pierwszym okresie wywarli oni potężny wpływ. Wyprzedzali swych „gości” w nauce i technice o co najmniej dwa i pół tysiąca lat.

Uważali Ziemian za kulturowo zapóźnionych (i nie bez powodów).

W istocie, gdyby nie Jezus, którego mocy nie sposób było zaprzeczyć ani się jej przeciwstawić, przekształciliby Ziemian, lub przynajmniej ich dzieci, w Krszów - pod względem psychicznym, nie fizycznym.

Stało się jednak coś niezwykle i trudnego do przewidzenia. Zaszło właśnie to, co wydawało się najmniej prawdopodobne: Krsze nawrócili się.

I choć już w pierwszym pokoleniu przyjęli Prawo bez zastrzeżeń, to przecież nadal pozostali sobą. W ten sposób szybko doszło do nieuniknionych zmian w jego wykładni oraz w sposobie życia Żydów zabranych z Ziemi. Jak świadczyły o tym nagrania, Maciej i jego libijscy Żydzi przeciwstawiali się wielu z tych zmian, lecz sam Jezus nie tylko tego nie robił, lecz nawet je pobłogosławił.

Potem nikt już się nie sprzeciwiał, przynajmniej otwarcie.

W każdym razie różne interpretacje Prawa i stopniowa ewolucja w duchu humanitaryzmu zawsze charakteryzowały religię mojeszową. Jakkolwiek podstawowe prawdy wiary pozostawały nienaruszone.

Krsze i ludzie zintegrowali się w miarę szybko. Mieszkali tuż obok siebie. Ich dzieci bawiły się razem. Wspólnie uczęszczali na te same uroczystości religijne. Jedyna różnica polegała na tym, że Krsze nie mogli zostać kapłanami, ani też pełnić służby w świątyni. Nie płynęła w ich żyłach krew Aarona i Lewiego.

Jedną ze zmian, które zaszokowałyby ortodoksyjnych żydów, było niewielkie odstępstwo od tekstu modlitwy porannej obowiązującej każdego dorosłego mężczyznę. Od tysiącleci mężczyźni wypowiadali trzy błogosławieństwa:

*„Błogosławiony bądź Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata, który nie uczyniłeś mnie poganinem.*

*Błogosławiony bądź Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata, który nie uczyniłeś mnie niewolnikiem.*

*Błogosławiony bądź Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata, który nie uczyniłeś mnie kobietą”.*

Na Marsie nie było pogan i szansa, że któryś z Żydów stanie się poganinem, była znikoma. Niemniej na Ziemi żyło ich mnóstwo, a pewnego dnia Marsjanie mieli wyruszyć na Ziemię, aby się z nimi spotkać. Tak więc pierwszy werset pozostawiono bez zmian.

Za życia pierwszego pokolenia nie zmieniono też trzeciego błogosławieństwa. Potem jednak, pod naciskiem Krszów oraz kobiet spośród rodzaju ludzkiego znajdujących się pod wpływem ich poglądów, zmodyfikowano jego treść:

*„Błogosławiony bądź Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata, który nie uczyniłeś mnie zwierzęciem”.*

Ponieważ miejsca dla rosnącej populacji było niewiele, pierwsze przykazanie Boże nakazujące płodność musiało podlegać pewnym ograniczeniom. Każda para mogła mieć jedynie troje dzieci. Gdy jednak małżonkowie osiągnęli dziewięćdziesiąty rok życia, pozwolono im, jeśli tego pragnęli, na jeszcze dwoje, a w wieku lat stu osiemdziesięciu na dwoje następnych.

Gdy dzieci opuściły już dom, rodzice mieli prawo się rozwieść.

Było to jednak źle widziane. Rozwód był źródłem plotek i powodował wymówki ze strony krewnych. Kiedy dochodziło do zbliżenia z nowym partnerem, było ono z reguły uświęcone przez małżeństwo przed lub wkrótce po fakcie.

Ziemiakom Żydom społeczeństwo marsjańskie wydawałoby się z początku dziwaczne. Wiele z jego cech odpowiadałoby im, lecz wiele innych mogłoby zbić ich z tropu. Wkrótce jednak przystosowaliby się do niego, chyba że chcieliby pozostać ultraortodoksyjni. Jakkolwiek życie na Marsie mogło wydawać się dość egzotyczne i przynosiło mnóstwo niespodzianek, jego charakter był z gruntu żydowski. Masy przenikała myśl o Bogu. Wszyscy pogrążeni byli w oceanie boskości. W przeciwieństwie jednak do ryb, nieświadomych żywiołu, w którym pływały, Marsjanie nigdy nie zapomnieli o Stwórcy i o Przymierzu, które zawarł On z ich przodkami, a przez to również z nimi.

## 21.

- Czy to ty stałeś przy moim łóżku w nocy, czuwając nade mną? - zapytał Orme.

- Jestem z każdym z mojej owczarni, w dzień i w nocy - odparł Jezus.

Nie chciał powiedzieć na ten temat nic więcej.

Orme był zdziwiony i lekko rozgniewany. Cóż to miało znaczyć? Dlaczego Jezus nie mógł rzec tak lub nie? Jego odpowiedź przypominała tę, której udzielił faryzeuszom, gdy zapytali, czy wolno płacić podatek cesarzowi. Powiedział wówczas: „Oddajcie więc Cezarowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga”.\*

Przez następne dwa tysiąclecia bardzo często cytowano owo zdanie. Posługiwano się nim, określając w rozmaity sposób powinności człowieka wobec rządu i religii. Nigdy jednak nie osiągnięto zgody, co należy do Cezara, a co do Boga.

Natomiast odpowiedź Jezusa na pytanie saduceuszów dotyczące wskrzeszenia umarłych brzmiała: „Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych”.

Z drugiej strony Jezus stwierdził wyraźnie, że zmartwychwstanie nastąpi, lecz wskrze-

\* Ewangelia według św. Łukasza (12, 17).

szeni nie będą się żenić ani wychodzić za męża, lecz będą jak aniołowie. Co miało to oznaczać? Że zapanuje całkowita wolność seksualna i ludzie będą utrzymywać stosunki z kim i kiedy zechcą? Czy też, jak twierdziły Kościoły, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety staną się bezpłciowi, a więc nie będą już mężczyznami i kobietami? Gdy tylko Orme o tym pomyślał, odczuwał w okolicy swych genitaliów dziwne skurcze, jakby ze strachu przed wielkim nożem kastratora.

Orme miał wiele pytań. Gdy dowiedział się, że Jezus żyje i można mu je zadać, pomyślał, że nareszcie pozna odpowiedź. Jednakże Jezus z Marsa, podobnie jak ten, o którym czytał w książkach, posługiwał się zagadkami. Bronski przypuszczał, że odpowiedzi kryją się gdzieś wśród wielu zapisów słów Jezusa sporządzonych na Marsie. Nie było teraz jednak czasu na ich przejrzenie. Wkrótce wyruszali na Ziemię.

Tego pamiętnego dnia wszyscy trzej Ziemianie znaleźli się w wielkiej szczęsnej jaskini położonej tuż pod powierzchnią planety. Wokół nich stało siedem statków kosmicznych - sześć cylindrycznych, a siódmy, trzy razy większy od pozostałych, w kształcie półkuli, z której sterczało sześć długich cylindrów zakończonych olbrzymimi kulami. Do każdego ze statków wchodziło w dwóch rzędach ludźmi. Nie mieli już na sobie swych sięgających do kostek szat ani sandałów. Byli umundurowanymi żołnierzami gotowymi do wojny, choć żywili nadzieję, że nie okaże się ona konieczna. Mieli na sobie wysokie niebieskie buty, czerwone workowate spodnie, białe tuniki do bioder i czarne plastikowe hełmy. Na piersiach, ramionach i nakryciach głowy nosili metalowe insygnia, pochodzące ze świata Krszów, oznaczające rodzaj służby oraz stopień wojskowy. Wielu miało pasy, do których przypięto futerały z bronią w kształcie pistoletu. Niektóre jej egzemplarze były laserami zdolnymi zabić człowieka z odległości trzech mil lub przeciąć z odległości pół mili płytę stalową metrowej grubości.

Pośród dwudziestu tysięcy ludzi tylko czterech nie miało mundurów. Jezus założył swoją błękitną szatę, a Ziemianie uniformy IASA. Mesjasz uważał, że nie byłoby korzystne, gdyby wyglądali na członków marsjańskich sił zbrojnych.

- Jesteście z nami i stanowimy jedność. Miłujemy was, lecz mieszkańcy Ziemi mogą uznać was za zdrajców. Lepiej żebyście z początku wyglądali jedynie na nawróconych. Jesteście mieszkańcami królestwa Ducha Bożego, a więc jego żołnierzami, lecz Synowie Ciemności pełni będą podejrzeń i trwogi. Nie mogą sądzić, że należycie do nas. Musicie pozostać Ziemianami, nie Marsjanami. W ten sposób staniecie się pomostem pomiędzy nami, pomostem ku porozumieniu i pokojowi. Później będziecie mogli założyć strój Synów Światła. Królestwo Ducha Bożego nie sposób zaprowadzić przemocą. Nie udajemy się na Ziemię, aby niszczyć i zabijać. Zaprowadzimy rządy Mesjasza za pomocą dobrego przykładu, miłości oraz darów.

Oczywiście może dojść do walki, lecz to nie my zaatakujemy pierwsi. Widzicie - ciągnął, a na jego wargach igrał uśmiech - człowiek, którego nazywacie świętym Janem, autor Apokalipsy, był poetą. Opisał on nadejście Mesjasza w sposób pobudzający wyobraźnię, pełen przenośni i niejasnych, ale za to sugestywnych symboli. Oparł też swą wizję na elementach nadprzyrodzonych. Jednakże nadejście Mesjasza, ustanowienie królestwa Ducha Bożego i położenie fundamentów pod Nowe Jeruzalem nie odbędzie się tak, jak ów poeta przepowiadał. Niebiosy mogą się rozstać, może nadejść czterech jeźdźców, a bestia o siedmiu głowach wyjść z morza, wszystko to jednak będzie miało miejsce jedynie w sensie metaforycznym. Większa część podboju odbędzie się dzięki środkom naukowym i technicznym, które wywołają to, co nazywacie szokiem kulturowym. Na przykład obwieścimy, i będzie to prawda, że niedawno nasi uczniowie osiągnęli coś więcej niż zwykle odwiekanie starości. Możemy powiedzieć mieszkańcom Ziemi, że jesteśmy zdolni dać im nieśmiertelność. Wykluczając, rzecz jasna, zabójstwa, nieszczęśliwe wypadki i samobójstwa.

Orme był zdumiony.

- Panie, czy to może być prawda? - zapytał. - Nie, wybac mi, nie wątpię w twoje sło-



wa. To jednak zdumiewające.

- Jeśli jednak tylko nieliczni będą umierać, wkrótce zabraknie na Ziemi miejsca dla dzieci - powiedział Bronski.

Stojący obok Hfathon odezwał się cicho:

- Nie zwracajcie głowy Mesjaszowi tak oczywistymi sprawami.

Jezus jednak podjął temat:

- Nie powiedziałem, że tylko nieliczni umrą. Na początku będzie dużo wolnego miejsca. Później, gdy Ziemia zostanie powtórnie zapełniona, znajdzie się przestrzeń życiowa dla nowych dzieci.

Orme poczuł mdłości. Nadejdzie wojna, najstraszniejsza ze wszystkich, które znała ludzkość. A może słowa Jezusa miały inny sens, który dopiero przyszłość odsłoni?

- To nie ma znaczenia - powiedział Jezus. - Wobec wieczności pięćset lat czy milion nie ma specjalnej różnicy. Nasz plan wymaga czasu. Możemy okazać tyle cierpliwości, ile kochająca matka dzieciom. Prędzej czy później wszyscy, którzy zasługują na zmartwychwstanie, zostaną wskrzeszeni. Nasi uczeni są przekonani, że pewnego dnia będziemy zdolni to uczynić. Zapisy rzeczy minionych są przechowywane w substracie wszechświata, czyli, mówiąc inaczej, w ciele Stwórcy. Nasi uczeni określają to mianem eteru. Jak wiem, wasza nauka odrzuciła tę koncepcję. Ignorancja ziemskich uczonych jest dziś nie mniejsza aniżeli w czasach starożytnych. Pewnego dnia zmarli zostaną wskrzeszeni. Pięćset lat czy tysiąc, jakież to może mieć znaczenie dla tych, którzy śpią?

- Panie - zapytał Orme - czy ludzie na Ziemi również usłyszą o tym?

- Przekonasz się. Rozważ to sam. Wszystko zostało stworzone przez Miłosiernego, lecz często używa on ludzi jako swoich narzędzi. Odnosi się to zarówno do zmartwychwstania, jak i do zaprowadzenia Królestwa Mesjasza.

Jezus odwrócił się od nich, aby przemówić do grupy oficerów. Orme odszedł na bok, z lekka oszołomiony. Bronski powiedział coś, nie mogło to jednak być nic pilnego, ponieważ wyrzekł to cicho i nie powtórzył po raz drugi. Choć Orme pożegnał się już z Gulthilo, wrócił przez rozległy plac do metalowego płotu, za którym stały rodziny odlatujących.

Tuż za bramą znajdowała się jego żona. Poprzedniego dnia oznajmiła mu, że jest w ciąży. Oboje przyjęli tę wiadomość z radością, ale i z obawą. Już nazajutrz Orme musiał odlecieć na Ziemię i nie podobna było przewidzieć, kiedy wróci. Nawet gdyby Gulthilo nie spodziewała się dziecka, nie mogłaby polecieć z nim. Istniało niebezpieczeństwo wojny, toteż wszystkie kobiety pozostały na miejscu. Później, w przypadku pomyślnego obrotu spraw, kobiety miały przybyć na Ziemię jako nauczycielki i administratorki. Jednak nawet wtedy Gulthilo nie mogłaby dołączyć do męża ze względu na obowiązki macierzyńskie.

Ujrzawszy go, uśmiechnęła się, choć już nie tak otwarcie jak przed godziną.

- Co się stało, Richard?

- Nic takiego, poza tym, że jestem wstrząśnięty. Przed chwilą dowiedziałem się, iż uczeni twierdzą, że pewnego dnia będą w stanie wskrzeszać zmarłych.

Uścisnęła mu dłoń poprzez metalową siatkę.

- Nie ma w tym nic zaskakującego. Jezus zawsze powtarzał, że kiedyś do tego dojdzie. Nie wiedziałam, że dokonano ostatnio jakiegoś przełomowego odkrycia. Naukowcy, którzy pracowali nad tym od tysiącleci muszą być pewni, że potrafią tego dokonać. W przeciwnym razie Mesjasz nie powiedziałby ci, że tak jest. Z pewnością niedługo poinformują o tym w telewizji. Wszyscy się bardzo ucieszą. Być może zostanie ustanowione nowe święto.

- Pocałuj mnie raz jeszcze - powiedział i dotknął wargami jej ust Orme pozbył się wrażenia, że świat jest nieokreślony, nierzeczywisty i odległy. Ponownie wydał mu się równie konkretny i pełen ciepła, jak żona i istota żyjąca w jej łonie.

- Niech Stwórca będzie z tobą - powiedziała cicho. - Ja również będę, nie miej co do tego wątpliwości. Wrócisz, zanim dziecko się urodzi. Jeśli to tylko możliwe, będziesz wtedy

ze mną. Prawo tego wymaga, a Mesjasz jest miłosierny.

- Do zobaczenia, kochanie - odrzekł i oddalił się. Nie odczuwał takiej pewności, jak ona. Tylko Jedyne wiedział, jakie powitanie zgotują Synom Światła Synowie Ciemności.

## 22.

Jedną z wielu rzeczy, których Orme nie rozumiał, było to, jak flota kosmiczna mogła podjąć wyprawę, nie przeprowadziwszy uprzednio szkolenia załóg. Powiedziano mu, że od pięćdziesięciu lat, w przeświadczeniu, że ów dzień kiedyś nadejdzie, prowadzono ćwiczenia na symulatorach.

Dzięki temu, gdy statki zostały ukończone, nie brakowało ludzi zdolnych nimi kierować.

Załogi odbyły posty i modlitwy. Ci, którzy z jakichś przyczyn stali się rytualnie nieczyści, poddali się oczyszczeniu. Wszystko było gotowe.

Z sześcianu wyprowadzono wszystkich ludzi. Masywne metalowe drzwi zostały zamknięte. Na jednym z końców jaskini ze stropu zaczęła opuszczać się powoli gigantyczna bryła granitowego monolitu. Miała ona kształt walca o średnicy ośmiuset metrów. Opadał w dół tak lekko, jak dziecinny balonik, z którego uszło powietrze.

Statek flagowy *Maranatha* - co po aramejsku znaczyło „Przybądź, nasz Panie!” - wzniósł się jako pierwszy i przeleciał przez powstałe przejście. Następne podążyły jego śladem. Jako ostatni wystartował wielki statek w kształcie półkuli - *Zara*, czyli „Ziarno”. Gdy znalazł się na wysokości czterystu metrów nad powierzchnią, zatrzymał się. Po dziesięciu minutach otwór ponownie został zatkany. Wtedy z jednej z kul wieńczących sześcian wystrzelił pomarańczowy promień, zasklepiając z powrotem granitowy monolit.

Żaden satelita zwiadowczy z Ziemi nie obserwował ani nie przekazywał tego wydarzenia. Dwa, które jeszcze działały, zostały wyłączone przez Marsjan. Ponieważ po tej stronie Marsa panowała w tym czasie noc, miejsce startu zdąży ostygnąć, zanim znajdzie się w zasięgu czułych ziemskich instrumentów. Gdy *Zara* powróci, zdeintegruje cienką warstwę lawy i walec w stropie ponownie będzie można usunąć.

Statek flagowy, poruszający się z przyspieszeniem równym trzem piątym przyspieszenia ziemskiego, wzbil się w atmosferę Czerwonej Planety. Reszta podążyła za nim kolejno. *Zara* na końcu.

Hfathon, stojący obok trzech ludzi, którzy nie byli już Ziemianami, lecz naturalizowanymi Marsjanami, przemówił:

- Potoczna nazwa *Zary* brzmi *Władca Pogody*. Potrafi on czerpać energię słoneczną bezpośrednio z powierzchni gwiazdy i przekazywać ją w przekształconej formie na Ziemię. W ten sposób może wywołać suszę lub potop. Może rozgrzać region arktyczny lub ochłodzić tropikalny. Potrafi wpłynąć na temperaturę rozległych obszarów, podnosząc ją lub obniżając na jakiś czas o pięć do sześciu stopni. Gdy energia skupia się na małym obszarze, skutki dają się szybko zauważyć. *Zara* posiada też wiele innych zalet. Niech Król Niebios sprawi, żeby ziemianie nie musieli ich poznawać.

- Oby rzeczywiście tak się stało - rzekł Orme. Wyobraził sobie, co może się wydarzyć na Ziemi. Zrobiło mu się smutno. Czy jednak Mesjasz nie powiedział, że nie przynosi pokoju, ale miecz? Z drugiej strony jednak powiedział też, że przybył, aby ratować życie ludzkie, a nie szerzyć śmierć.

Będzie, co ma być, i bez względu na to, co stanie się po drodze, zamiary i cel były dobre. Była to świątynia wojny, nakazana przez Boga i rozpoczęta przez jego adoptowanego Syna. Zwycięstwo z pewnością przyniesie dobre - najlepsze z możliwych - skutki dla całej

ludzkości.

Dlaczego więc było mu tak ciężko na sercu i łzy nabiegły mu do oczu?

Bronski i Shirazi wyglądali na szczęśliwych. Nie mieli wątpliwości. Podobnie jak pozostali członkowie załogi *Maranathy* chodzili ciągle uśmiechnięci i śpiewali pieśni w języku *krsz* oraz hebrajskim. Były to zarówno wesołe piosenki ludowe, jak i modlitewne pieśni religijne.

Nie licząc chwil tuż po kolacji, Orme nie miał w zasadzie czasu na rozmyślanie o czymkolwiek. Uczestniczył w konferencjach z udziałem wysokich urzędników państwa oraz dowództwem floty. Niekiedy Jezus osobiście brał w nich udział. Orme miał zostać głównym zarządcą obszaru północnoamerykańskiego na Ziemi, Shirazi naczelnym konsultantem w sprawach stosunków z państwami muzułmańskimi, a Bronski szefem departamentu kierującego sprawami Europy Zachodniej i Izraela, a również departamentu zajmującego się niemuzułmańskimi krajami komunistycznymi.

Ponadto Orme brał krótkie lekcje języka hebrajskiego, aby móc dokładnie zrozumieć liturgię. W chwili gdy układał się do snu, z reguły odczuwał wielkie zmęczenie. Jego wizje senne były jednak aż nazbyt pełne życia. Dręczyły go tak przerażające koszmary, iż często budził się zlany potem. Zazwyczaj niewyraźna postać skryta w ciemności wskazywała na niego oskarżycielsko palcem, po czym zbliżała się lewitując, tak że niemal mógł rozpoznać jej twarz. Wtedy właśnie się budził. Niekiedy Avram lub Nadir wołali do niego ze swych koi, pytając, co się stało.

Pewnego razu, na dziennej wachcie, opowiedział im o wszystkim.

- Myślę, że twoje nawrócenie nie jest jeszcze kompletne, Richard - stwierdził Bronski. - Wciąż nie zaakceptowałeś całym sercem tego, co wyraziłeś na głos.

- Nie mów tak - odrzekł Orme. - Oczywiście, że wierzę, iż on jest Mesjaszem, prawdziwym Jezusem Chrystusem. W jaki sposób człowiek, który widział to, co ja, mógłby sądzić inaczej.

- Pozwól, że przypomnę ci przypowieść o Łazarzu i bogaczu, którą pewnego razu opowiedział Jezus. Pamiętasz? Bogacz ucztował, podczas gdy żebrak imieniem Łazarz leżał u jego drzwi. Był cały pokryty wrzodami, które lizały psy. Bogacz nie zadał sobie trudu, aby opatrzyć mu rany i nakarmić go. Nie zwrócił na niego uwagi. Potem obaj umarli i żebrak poszedł do nieba, a bogacz w ogień piekielny. Ten ostatni błagał Abrahama o wsparcie, lecz usłyszał, że jest niemożliwe wydostać go z piekła lub nawet przynieść mu wody, aby ochłodzić palący język. I wtedy bogacz poprosił, aby wysłano Łazarza, do jego pięciu braci, żeby ich ostrzegł, że mogą również trafić do piekła, jeśli nie zmienią swego postępowania. Jednakże Abraham powiedział: „Jeśli Mojżesza i Proroków nie słuchają, to choćby kto z umarłych powstał, nie uwierzą”. To odnosi się również do ciebie. Widziałeś znacznie więcej niż wskrzeszenie umarłego, a wciąż masz wątpliwości.

- A ty nie?

- Nie. Może powinieneś udać się do Jezusa i powiedzieć mu o tym, co cię dręczy. Jestem pewien, że on potrafi rozwiązać twoje wątpliwości.

Orme zastanowił się nad tym. Następnie, zebrawszy się na odwagę, przekazał za pośrednictwem Azzura ben Asa, głównego sekretarza Mesjasza, prośbę o audiencję. Azzur odpowiedział jednak, że w tej chwili Jezus nie może spotkać się z nikim.

- Przez najbliższe trzy dni będzie przebywać ze swym Ojcem.

Przez moment Orme nie rozumiał, o co chodzi. Po chwili powiedział:

- Aha, masz na myśli, że przebywa we wnętrzu reaktora?

- Można to i tak określić - odparł ben Asa.

Orme podziękował mu i włączył interkom. Oto była przyczyna jego niepokoju. Jak to możliwe, żeby jakikolwiek człowiek, nawet Jezus Chrystus, wchodził do reaktora atomowego i wychodził stamtąd bez szkody? I, co ważniejsze, w jakim celu miałyby to robić?

Znów przypomniał sobie to, co Jezus opowiedział mu o energetycznej istocie.

Ta historia, wraz z innymi, musiała być jedynie hipotezą, wymyśloną na poczekaniu, aby pokazać Orme'owi, jak absurdalne wytłumaczenia mogą płodzić niedowiarki. Jezus sprawiał wrażenie, jakby dobrze się tym bawił. Nie był on tą zawsze zachowującą powagę osobą, za którą mógł go wziąć czytelnik Ewangelii. Czy było jednak możliwe, że ta fantastyczna opowieść kryła w sobie prawdę? Czy bawił się po prostu z Orme'em w kotka i myszkę? A może sprawdzał tylko głębokość wiary swego ucznia?

Richard wrócił myślami do sprawy reaktora. Jezus udawał się tam, podobnie jak do tajemniczej kuli, która pełniła w marsjańskiej jaskini rolę słońca. Jeżeli był rzeczywiście tylko człowiekiem, jak mógł przeżyć w jego wnętrzu dłużej niż ułamek sekundy? Nie, to niemożliwe. Chociaż Marsjanie uważali go równocześnie za człowieka i za kogoś więcej. Potrafił czytać cuda. Można to było zobaczyć na własne oczy. Jego zdolność do życia we wnętrzu reaktora napędzała ich podziwem, traktowali to jednak jako rzecz naturalną. Nic nie mogło być nie-naturalne dla Syna Człowieczego, który był jednocześnie adoptowanym Synem Bożym. Cóż bardziej zgodnego z naturą niż to, że Jezus udawał się do miejsca, gdzie nie mógł wejść żaden inny człowiek, aby tam rozmawiać z Bogiem? Czy Jezus kiedykolwiek widział Boga? Jeśli wierzyć Marsjanom, to nie. Przytaczali oni cytat ze Starego Testamentu: „Nikt nigdy nie widział Boga”, to znaczy - nikt z żyjących.

Jednakże (do diabła, dlaczego mu to powiedział!) istniała ta opowieść o istocie energetycznej. Czy Jezus rzeczywiście przebywał w atomowej świątyni w towarzystwie Ducha Bożego? Czy też może regenerował siły przy pomocy owego straszliwego promieniowania?

Tego dnia Orme trzykrotnie modlił się wraz z innymi. Potem wrócił do swej koi, ale gdy tylko miarowy oddech obu towarzyszy upewnił go, że już śpią, wygramolił się z niej, padł na kolana i zaczął bardzo cichym głosem prosić o ukazanie mu światła.

- O Boże, pozwól mi poznać prawdę! Jestem w rozpacz, pogrążony w piekle niepewności. Oczyść mnie z tego. Niech moja dusza będzie mocna, niezachwiana, przepełniona prawdą. Błagam Cię, Ojcze. Amen.

Nie słyszał nic prócz oddechów Shiraziego i Bronskiego. Nie widział nic prócz ciemności. Wrócił do koi i leżał tam przez dłuższy czas, nim zapadł w sen.

Nagle, w półśnie, przypomniał sobie, że Jezus ostrzegał przed trzema rodzajami ludzi: tymi, którzy lubią popisywać się publicznie swoją pobożnością, stawiającymi złośliwe zarzuty i fałszywymi prorokami.

- Którym z nich jest on? - zapytał niski głos.

- Jaki on?

- Wiesz, o kogo mi chodzi.

- Ale ja... nie wiem - odrzekł Orme. Jęknął. Po chwili, jako że głos się nie odzywał, spytał: - Fałszywym prorokiem?

- Ty powiedziałaś.

Orme wynurzył się z głębi snu i pływając tuż pod powierzchnią jawy poczuł, że ktoś tkwi przy jego łóżku. Otworzył oczy. Obok stał mężczyzna, od którego biło jasne światło. Miał na sobie czarną szatę. Jego włosy i broda były rudawe. Miał bardzo pogodną twarz, choć jego oczy wskazywały, że wiele wycierpiał.

Orme nie próbował wstać. Leżał na plecach z głową zwróconą w stronę przybysza. Serce biło mu mocno. Zacisnął dłonie na prześcieradle. Ten człowiek wyglądał tak, jak Orme wyobrażał sobie Jezusa Chrystusa. Nawet w tej chwili przestrachu zdołał pomyśleć, że przypomina on konwencjonalne wizerunki Jezusa wiszącego na ścianach w domu jego rodziców.

Światlista postać podniosła rękę i uczyniła znak, jakby chciała go pobłogosławić. Następnie zaczęła stopniowo przesuwać się do tyłu. Światło przygasło. Po chwili wszystko zniknęło, rozwiało się.

Całe wydarzenie trwało może dziesięć sekund.

Orme pomyślał, iż ta postać nie była Jezusem, którego ujrzał po raz pierwszy, gdy tamten schodził ze słońca w marsjańskiej jaskini. To był człowiek, który od czasu do czasu przychodził do jego łóżka, prawdziwy Jezus Chrystus. Czuwał nad nim zawsze, a teraz, w chwili, gdy jego uczeń pogrążony był w rozpaczy, ukazał się mu. Orme ujrzał wreszcie światło. Światło bijące z ciemnej postaci. Słowa nie były potrzebne, wystarczyła sama obecność.

Przynajmniej powinna wystarczyć. W dawnych czasach ten, kto miał podobne widzenie, zaakceptowałby je bez zastrzeżeń. Postać byłaby tym, czym wydawała się być. Nie istniało inne wytłumaczenie. Orme jednak urodził się w innej epoce. Czyż owa roztaczająca blask postać nie mogła być po prostu jednym z tych przywidzeń, które przytrafiają się niekiedy ludziom znajdującym się na granicy snu i jawy? Orme nigdy przedtem nie doświadczył czegoś podobnego, czytał jednak o takich rzeczach. Znał człowieka, który czasami miewał wizje. Ów jego przyjaciel bał się ich. Wydawało mu się, że to, co widział, istniało naprawdę, a mógłby przysiąc, że był w owych chwilach całkowicie przytomny. Przyznawał jednak, iż mogło to być tylko złudzenie i że zjawiska te stanowiły prawdopodobnie projekcje jego podświadomości.

Orme, zastanowiwszy się, musiał dopuścić możliwość, że postać, którą widział, była tym samym. Ostatecznie jako inżynier, człowiek posiadający ściśle naukowe wykształcenie, potrafił wskazać najbardziej racjonalne wyjaśnienie. Użyje brzytwy Ockhama. Będzie ciął, nie zważając na ból.

Nie było jednak istotne, czy ukazał mu się prawdziwy Jezus. To, co się pojawiło, było tym, w co wierzył. „Ja jestem drogą”. Znalazł wreszcie drzwi, przez które mógł zajrzeć do najgłębszego zakamarka swojego umysłu. Albo, żeby być staromodnym - co wcale nie znaczy mniej ścisłym - do głębin swej duszy.

Spodziewał się, że to objawienie pozwoli mu wreszcie spokojnie zasnąć. Musiał jednak rozważyć jeszcze wiele kwestii. Gdy jego towarzysze spali, Orme zastanawiał się więc, co powinien i co może uczynić. Jak zwykle rozziew był wielki.

## 23.

W połowie drogi na Ziemię flota zaczęła zwalniać. Gdy jednak statki weszły na orbitę okołozemską, załogi nie znalazły się w stanie nieważkości. Generatory grawitonowe utrzymywały w każdym z nich pole równe marsjańskiemu.

Maranatha wszedł na orbitę stacjonarną tuż nad Jerozolimą. Dwa statki krążyły w przeciwnych kierunkach po orbicie prowadzącej nad biegunami, dwa nad równikami, szósty poruszał się po orbicie nachylonej pod kątem 45 stopni od równika, a siódmy, olbrzymi *Zara*, wędrował ponad planetą na wysokości dwustu tysięcy mil, zmieniając trasę co drugi dzień.

Nie zwracano żadnej uwagi na satelity łącznościowe i meteorologiczne ani na dwie kolonie kosmiczne. Jednakże „kosmiczne śmieci” - fragmenty satelitów oraz kompletne satelity, które zeszły ze swych orbit - zostały przez „*Zarę*” zniszczone. Miało to dwa skutki. Dawało pewność, że żadne będące dziełem rąk ludzkich obiekty nie spadną na powierzchnię i nikogo przez przypadek nie zabiją, a ponadto wywierało na mieszkańcach Ziemi olbrzymie wrażenie, ukazując im moc *Zary*.

Następnego dnia po tym wydarzeniu Jezus osobiście poprosił o pozwolenie na lądowanie *Maranathy* w pobliżu Jerozolimy. Odmówiono mu, choć bardzo uprzejmie i z wieloma wyjaśnieniami. Izraelski parlament - Kneset - wciąż debatował gorąco nad tym, czy Jezus powinien być przyjęty jako polityczna głowa państwa marsjańskiego, czy też jako Mesjasz. Ponieważ Jezus twierdził, że jest Mesjaszem, a polityczną głową państwa jest główny sędzia, Krsz imieniem Eliakiem ben Joktan, problem wydawał się być nie do rozstrzygnięcia. W

gruncie rzeczy Kneset starał się jak najdłużej odwlekać decyzję. Izrael uległ rozdarciu: brat przeciw bratu, ojciec przeciw synowi. Nieliczna superortodoksyjna grupka, tak reakcyjna, że wciąż odmawiała uznania państwa Izrael ze względu na jego niedostatecznie religijny charakter, wprost odrzuciła Jezusa jako Mesjasza. Wśród prawowiernych Żydów nastąpił podział. Jedni radowali się, ponieważ Mesjasz nareszcie przyszedł, inni twierdzili z furją, że nie jest on prawdziwym Żydem, a tym bardziej potomkiem Dawida, Pomazańcem. Sporą grupę tworzyli agnostycy, ateści oraz wyznawcy judaizmu reformowanego. Wielu niepraktykujących, którzy nadal uważali się za Żydów, dało się porwać fali. Stali się równie pobożni, co najwięksi z ortodoksów i domagali się głośno, żeby rząd pozwolił Jezusowi wylądować i zainicjować na Ziemi czasy mesjańskie.

Całe państwo zostało sparaliżowane. Interesy oraz codzienne świeckie obowiązki odłożono na bok, w takim stopniu jak tylko było to możliwe. Obywatele przyłgnęli do swych telewizorów lub spierali się z krewnymi, sąsiadami i nieznajomymi na ulicach. Powietrze drżało i płonęło od cytatów z Proroków i z Talmudu, używanych jako argumenty przez obie strony.

We wszystkich innych państwach zapanowało zamieszanie nie niniejsze niż w Izraelu. Pomimo wielkich wysiłków krajów komunistycznych, aby zataić treść wypowiedzi Jezusa, rzecz się nie powiodła. Za pośrednictwem nielegalnych kanałów oraz radia wieści dotarły do mas, choć często w zniekształconej formie. Demokracje socjalistyczne również podjęły próbę ocenzurowania części wiadomości, choć ze znacznie niniejszym zapalem. Istniały nawet grupy obywateli, które żądały, aby poddać wszystkie przekazy ścisłej cenzurze, a zwłaszcza usunąć z nich wszelkie treści religijne.

W Rzymie papież wystąpił w telewizji i potępił Mesjasza jako Antychrysta. Patriarcha greckiego Kościoła prawosławnego powtórzył to samo oskarżenie w godzinę później. Arcybiskup Canterbury oświadczył, że Kościół anglikański nie wypowie się na razie w sprawie autentyczności Mesjasza. Potrzebne są dokładniejsze badania jego wypowiedzi i porównanie ich z obowiązującą teologią. Była to po prostu gra na zwłokę. Bo przecież nawet laicy znający Biblię bardzo powierzchownie (czyli większość wiernych Kościoła) mogli bez trudu stwierdzić, że nie sposób pogodzić większości doktryn Kościoła anglikańskiego z tym, co twierdził Marsjanin.

Kościół baptystów, zarówno południowy jak i pozostałe, odrzuciły oficjalnie swego Jezusa. Jednakże wśród ich członków nastąpił podział i rychło pojawiło się wiele rozłamowych ruchów pod różnymi nazwami.

Oficjalni przywódcy hinduistów, muzułmanów i buddystów wyrazili publicznie swą pogardę dla Jezusa. Jednakże i wśród ich wiernych dochodziło do podziałów. Wszędzie padały ostre słowa, a często towarzyszyła im przemoc. Doszło do masowych demonstracji, zamieszek oraz rewolucji w Ugandzie.

Podczas trzeciego dnia pobytu floty na orbicie przejęto panowanie nad radiem i telewizją na całym świecie. Na wszystkich kanałach nadawana była transmisja z pokładu *Maranathy*. Nawet gdy niektóre rządy odcięły dopływ prądu, aby ich obywatele nie odbierali programu, aparaty nie przestawały funkcjonować. To doprowadziło władze do paniki. W jaki sposób Marsjanie potrafili tego dokonać? Jeśli umieli zrobić taką rzecz, co jeszcze leżało w zasięgu ich możliwości?

Wszystkie państwa złożyły, rzecz jasna, protest, lecz Jezus odpowiedział, że to konieczne i że robi się to dla dobra ludzi. Przez dwadzieścia cztery godziny *Maranatha* emitował ciąg programów. Zawierały one prezentację historii Krszów przed ich przybyciem na Ziemię, filmy pokazujące Ziemiaków z roku 50., odlot pojmanych Ziemiaków wraz z Krszami, nauki Macieja i efekt, jaki wywarły na przedstawicielach obu ras nawrócenia, pierwsze pojawienie się Jezusa i wiele fragmentów dotyczących życia na Marsie, a także roli, jaką odgrywał tam Jezus. Przekazano też, na wypadek, gdyby wcześniej uniemożliwiony był ich odbiór, programy, w których uczestniczyli marsonauci.

Liczne rządy wyraziły zdecydowany protest. Nie wysłano jednak w kierunku statków żadnych rakiet z głowicami atomowymi.

W ostatnim z programów, trwającym półtorej godziny, Jezus osobiście oznajmił, że Marsjanie potrafią wyleczyć każdą chorobę i nie dopuścić do jej nawrotu. Wszystkie przypadłości zostaną zlikwidowane raz na zawsze, wliczając w to choroby umysłowe o podłożu genetycznym i metabolicznym oraz niedomagania wieku starczego. Ponadto, jeśli tylko rządy na to pozwolą, w różnych miejscach wylądują dwieście małych maszyn, z których popłynie „manna”. Będzie to miękka biała substancja i przy tym całkiem smaczna. Manna popłynie z każdej z maszyn z prędkością trzystu decymetrów sześciennych na godzinę. Będzie ją można dostarczyć głodującym Ziemianinom, których przecież było niemało. I to na razie za darmo.

Usłyszawszy to, Orme przeżył wstrząs. Nie miał dotąd pojęcia o istnieniu czegoś podobnego. Gdy odzyskał częściowo równowagę, implikacje tego faktu stały się dla niego jasne. Jeśli rządy odmówią przekazywania żywności, będzie musiało dojść do poważnych zamieszek, których stłumienie będzie kosztowało życie wielu osób.

- Nie próbujcie tłumaczyć się brakiem środków transportu czy nadmiernymi kosztami! - oświadczył Jezus. - Ani też czerpać z manny zysków lub odmawiać jej tym, którzy są w niełasce u waszych rządów! Biada ludziom, którzy będą odpowiedzialni za podobną niegodziwość, i tym, którzy wykonują rozkazy swoich zwierzchników! Biada im wszystkim! Nie ujdą sprawiedliwości!

Posypały się dalsze protesty przeciwko ingerencji w wewnętrzne sprawy suwerennych państw. Pozostały bez odzewu.

Następnie Jezus wydał oświadczenie, które jego audytorium potraktowało jako zwieńczenie całości. Powiedział, że może zaoferować ludziom fizyczną nieśmiertelność i zrobi to. Będą musieli pełnić tylko jeden wymóg: uwierzyć w prawdziwą religię i w Jezusa jako Mesjasza.

- Biada jednak hipokrytom, którzy złożą wyznanie wiary jedynie po to, aby otrzymać ów dar życia! Zostaną wykryci i ciśnięci pomiędzy ciemności zewnętrzne!

Gdy groził, z jego twarzy zniknął wyraz łagodności. Gdy był w gniewie, z jego oczu bił blask zapowiadanego piekła.

- Powtarzam, biada wam, plemię żmijowe! Nie uda się wam mnie oszukać. Dowiem się prawdy! Ojciec ofiarował wam wszystkie wspaniałe dary życia, a wy je splugawiliście! Ojciec daje, ale nie czyni tego za darmo! Nic nie jest za darmo! Aby na to zasłużyć, musicie dać coś w zamian!

Orme, siedząc w swojej kabinie i oglądając telewizję, wyobraził sobie, jaki efekt wywrze obietnica fizycznej nieśmiertelności na mieszkańcach Ziemi. Rzecz jasna niektórzy słyszeli już o tym przedtem, ponieważ kilka rządów pozwoliło na przekazanie tej informacji w poprzednich programach. Większość ludzi żyła jednak w państwach, które ocenzurowały tę wiadomość.

Teraz widz na Ziemi mógł się spodziewać, że to już koniec programu. Co jeszcze można było zaoferować? I wtedy Jezus powiedział im o nadziejach na wskrzeszenie wszystkich zmarłych. Nie obiecał, że uda się to osiągnąć za sto czy dwieście lat, ale jego zapowiedź trzeba było potraktować jako pewnik.

To przesądza sprawę - pomyślał Orme. - Wszyscy zaczną się zapisywać. Przystaną na każde warunki w zamian za nieśmiertelność. Przynajmniej większość z nich. Nowa Era nadeszła - Królestwo Niebieskie, panowanie Mesjasza. Może upłynąć trochę czasu, zanim zostanie ustanowione, ale pierwsze kroki już poczyniono i nic tego procesu nie powstrzyma.

Czy nie rozumieją, że diabeł uczyniłby takie same obietnice? Tylko że... ten człowiek potrafił ich dotrzymać. Szatan jednak zapewne również by potrafił. Ponadto uważałby sam siebie za dobrego człowieka. Kto ze złych uważa się za złego?

Wszyscy sądzą, że są dobrzy. Niewątpliwie Hitler, Stalin, Mao, Napoleon, Aleksander

Wielki, Juliusz Cezar, Attyla i Nabuchodonozor też uważali, że są po stronie dobra.

Jedyna różnica pomiędzy nimi a Jezusem polega na tym, że Jezus potrafił czynić dobro. Jest to jednak zdradliwe dobro, które doprowadzi powoli i niezauważalnie ku złu.

Nic nie mogło go powstrzymać. Chyba że... Jak jednak on - sam jeden - mógł cokolwiek poradzić?

Następnego dnia *Zara* dokonał czynu, który w oczach większości mógł uchodzić jedynie za dobry. Na całej Ziemi rakiety i działa z głowicami atomowymi oraz wszystkie wyrzutownie wyposażone w pociski nuklearne zostały unieszkodliwione. Przybysze ponownie przejęły panowanie nad radiem i telewizją. Z *Maranathy* popłynęły wiadomości.

- Z pewnością - oznajmił Jezus - wywołała to wielką radość u wszystkich z wyjątkiem tych, którzy nienawidzą ludzi i kochają wojnę. Dokonałbym złego czynu, gdybym zniszczył rakiety tylko niektórych państw, a innym je pozostawił. Zajmuję jednak neutralne stanowisko. Nie opowiadam się po żadnej ze stron, twierdząc, że jedna jest dobra, a druga zła. Plemię zmijowe! Pomocie niegodziwy! Wszyscy jesteście winni! Żałujcie za grzechy i dziękujcie Panu z całego serca, ponieważ uznał za stosowne uchronić was przed wami samymi!

Znowu, rzecz jasna, rozległy się protesty, lecz pozostały one bez odpowiedzi.

Jezus ponownie zwrócił się o zezwolenie na lądowanie w pobliżu Jerozolimy i ponownie mu odmówiono. Kneset nie umiał podjąć decyzji. W całym państwie Izrael ogłoszono godzinę policyjną. Policjanci i żołnierze patrolowali ulice, aby dopilnować wykonania tego zarządzenia. Nie było to jedyne państwo, w którym wprowadzono środki nadzwyczajne.

Czwartego dnia niebo nad całym Bliskim Wschodem stało się czerwone jak krew. Następnie słońce przygasło i na kilka godzin zapanowała niemal całkowita ciemność. Również Księżyc przybrał kolor krwawoczerwony.

Bronski, który obserwował to na ekranie telewizora, oświadczył:

- To oczywiście *Zara*. Czy wyobrażasz sobie, jakiej to wymaga mocy? Z pewnością jest z nami Pan naszych ojców!

Orme nie odpowiedział. Zaczął zadawać sobie pytanie, czy przypadkiem się nie myli. Pomyślał jednak o świetlistej postaci pojawiającej się przy jego łóżku. To go umocniło.

Piątego dnia Jezus znowu poprosił o pozwolenie na lądowanie.

- O, wy ludzie małego rozumu i jeszcze mniejszej wiary! Dlaczego wasze serca są zatwardziałe? Cóż mogę uczynić, aby przekonać was, że naprawdę jestem Pomazańcem Niebios? Ten, kto wierzy we mnie, nie we mnie wierzy, lecz w Tego, który mnie posłał. Ten, kto widzi mnie, nie mnie widzi, lecz Jego. Przyniosłem światło, aby ci, co we mnie wierzą, nie musieli pozostawać w ciemności. Wy, Dzieci Ciemności, możecie się stać Synami i Córkami Światła. Musicie jednak ugiać swe sztywne karki i zmiękczyć zatwardziałe serca!

Wszystkie przemowy wygłaszane były w języku angielskim, bez akcentu hebrajskiego czy *krsz*, lecz z charakterystycznym dla Orme'a akcentem z Toronto, niewątpliwie przejętym z jego wypowiedzi nagranych podczas pobytu Ziemi na Marsie. Nawet ci, którzy nie mówili po angielsku na co dzień, mogli bez trudu zrozumieć Jezusa, a takich były miliony. Dla pozostałych zastosowano napisy lub ustne tłumaczenia w językach, które znali Bronski i Shirazi: hebrajskim, arabskim, hindustani, dialekcie mandaryńskim chińskiego, suahili, hiszpańskim, francuskim, niemieckim, włoskim, perskim, rosyjskim, polskim, greckim i portugalskim. Przyjęto wszakże założenia, że nawet w najbardziej odległych wioskach znajduje się przynajmniej jedna osoba zdolna przetłumaczyć swoim ziomkom angielski tekst.

Angielski wciąż funkcjonował jako język międzynarodowy, lecz Orme wiedział, że była to sytuacja przejściowa i że w przyszłości stanie się nim język *krsz*.

Następnie, po nieuniknionym okresie krwawych zamieszek pod przewodnictwem Krszów oraz marsjańskich ludzi jako starszych braci, Izrael - starszy brat narodów Ziemi - zacznie je instruować, zmieniać i kształtować na nowo. Prędzej czy później cała planeta stanie się podobna do Marsa, z tym, że nadal będą istniały różnice etniczne i rasowe. Choć Rosja



nadal będzie Rosją, Ameryka Północna Ameryką Północną, a Chiny Chinami, zniesione zostaną granice państwowe z ich urzędami i opłatami celnymi oraz zbrojnymi strażami. Kobieta będzie mogła chodzić ciemnymi ulicami bez obawy, że ją obrabują, pobijają lub zgwałcą.

Dzieci nie będą się bały rozmawiać z nieznajomymi. Działa i karabiny maszynowe zostaną przekute na lemiesz. Oceany, rzeki i strumienie ponownie staną się czyste. Po pewnym czasie zostanie ustanowione Królestwo Niebieskie, choć niektórzy osobnicy nadal zachowają przewrotną i złośliwą „naturę ludzką”. Choć system ten nie będzie utopią, to jednak zbliży się do niej na tyle, na ile natura ludzka na to pozwoli.

Ta wizja przyszłości była bardzo atrakcyjna. Dlaczego więc Orme czuł taki ciężar na sercu? Czy dlatego, że Królestwo miało być ustanowione na Ziemi siłą i choć cel był szczytny, zastosowane środki oznaczały krwawe walki oraz cierpienie wielu ludzi?

Mieszkańcy Ziemi znali walkę, udrękę i gwałtowną śmierć od czasów, gdy pierwszy człowiek spacerował po sawannie czy buszował po dżungli. Aż do tej chwili wydawało się, że nie ma sposobu, by z tym skończyć i gdyby nie Jezus i jego naród, kres tego wszystkiego byłby jeszcze daleki. Z pewnością w tym wypadku cel uświęca środki.

Jeśli jednak ten Jezus był Antychrystem, celem nie było to, co zań uchodziło.

Orme pomodlił się w milczeniu do prawdziwego Jezusa.

- Wspomóż mnie, Panie. Uwolnij mnie od słabości. Uczyni mnie silnym.

Po dwóch godzinach nadeszła wiadomość z Jerozolimy. Tłum wdarł się do Knesetu i zażądał, aby pozwolono Mesjaszowi na lądowanie. Pośród tłumu znajdowało się wielu policjantów i żołnierzy, którzy odrzucili broń i przyłączyli się do swych rodaków. Premier, połowa rządu oraz trzecia część parlamentu podały się do dymisji. Pomimo że taka procedura nie była legalna, pozostała część Knesetu wystosowała zaproszenie, zwracając się jednak równocześnie z prośbą o zwłokę. Wielu przywódców państw pragnęło wziąć udział w powitaniu, a podróż do Jerozolimy wymagała czasu. Ponadto nie było można zapewnić niezbędnych środków bezpieczeństwa wcześniej niż za dwadzieścia cztery godziny. Czy Mesjasz zechce się na to zgodzić?

Jezus odpowiedział łaskawie, że może poczekać jeszcze jeden dzień.

- Nie zapomnę jednak, że jest wśród was wielu takich, którzy zamknęli przede mną swe serca, jak również takich, którzy nie opowiedzieli się ani za mną, ani przeciwko mnie. Ktokolwiek nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Biada ludziom o zatwardziałym sercu oraz tym, którzy wahają się.

Tej nocy Orme znów szeptał modlitwy w nadziei, że Pan ukaże mu się raz jeszcze.

On jednak nie uczynił tego.

## 24.

*Maranatha* miał wylądować w południe. Jednakże wcześniej rano rabin Ram Weisinger, tymczasowy premier, połączył się ze statkiem. Pod czarnym kapeluszem jego twarz ociekała potem.

- Panie, błagam cię, abyś zczekał jeszcze dzień. Tłumy są tak potężne, że musimy sprowadzić więcej żołnierzy. Nie możemy zapewnić ci bezpieczeństwa. Wielu złych ludzi, muzułmanów, chrześcijan i Żydów, poprzysięgło, że cię zabije. W żaden sposób nie zdołamy wyłowić ich wszystkich, choć zaarrestowaliśmy wielu.

- Nie przejmujcie się nimi - odparł Jezus. - Mnie nie można zabić.

Weisinger otworzył szeroko oczy. Jego twarz przybrała niezwykle wyraz. Nie sprzeciwiał się jednak ani słowem.

O 10.00 trzech marsonautów odebrało od Hfathona instrukcje co do ich obowiązków po

wylądowaniu. Orme nie zadawał żadnych pytań, a gdy pozwolono mu odejść, udał się natychmiast do swej kabiny. Shirazi i Bronski nie poszli za nim.

O 11.30. miał się stawić w wielkiej sali na prawej burcie statku. Do 10.30 był zajęty. Dawało mu to mniej niż godzinę, aby mógł uczynić to, na co miał nadzieję się odważyć. Uklęknął i zaczął się modlić o przewodnictwo. Gdy wstał, serce nadal waliło mu jak młot i odczuwał skurcz żołądka.

Usiadł na krawędzi swej koi i położył na kolanach wielki egzemplarz Pisma Świętego w języku *krsz*. Używając go jako pulpitu, napisał szybko trzystronicowy list, nie robiąc żadnych poprawek. Podpisał wszystkie trzy strony, umieszczając na nich datę i odciski palców prawej dłoni. Gdy atrament wysechł, złożył list i schował do wewnętrznej kieszeni munduru.

O 10.45 wyszedł z kabiny. Zamiast skierować się w stronę głównej świetlicy poziomu środkowego, gdzie znaleźli się jego dwaj towarzysze oraz wielu mających wolny czas oficerów, udał się w stronę rufy. O godzinie 10.55 odnalazł swą ofiarę - szeregowca wychodzącego właśnie z pokoju, który dzielił z dziewięcioma innymi kompanami. Żołnierz szedł sam. W pokoju ani nigdzie w pobliżu nie było żywego ducha. Orme, choć przemoc, której użył w stosunku do tego człowieka, napełniała go niechęcią, uderzył go pięścią w skroń, a gdy tamten się cofnął, walnął go w brzuch i założył mu podwójnego nelsona. Wciągnąwszy nieprzytomnego do pokoju, zabrał mu jego pistolet laserowy.

Wyszedł z pokoju o 11.05. Żołnierz wciąż nie odzyskiwał przytomności. Leżał na podłodze pod swoją koją ze związanymi rękoma i nogami, z zakneblowanymi ustami. Sierżant zauważył jego nieobecność, ale wątpliwe, żeby kogoś po niego posłał. Zapisze sobie tylko nazwisko, aby go później ukarać. Lepiej jednak się upewnić, że nikt go nie będzie szukał. Odczytawszy z insygniów żołnierza nazwisko, stopień i jednostkę, w której służył, Orme porozumiał się przez interkom z jego sierżantem.

- Szeregowy Jochanan ben Obed został przydzielony do mnie - powiedział Orme. - Zdecydowano, że powinienem mieć ze sobą tłumacza języka hebrajskiego, wybrałem więc jego.

- Tak jest, przyjąłem - odrzekł sierżant.

Marsjańska armia nie różniła się od innych. I tu nie kwestionowano rozkazów przełożonych.

O 11.15 Orme wszedł do wyznaczonej sali. Jezus zamienił swoją błękitną szatę na szkarłatną. Orme pierwszy raz widział Mesjasza w tym kolorze, zastanowiło go więc, dlaczego się przebrał. Po chwili przypomniał sobie, że na krótko przed Ukrzyżowaniem ubrano Jezusa w szkarłatny płaszcz. Z pewnością wybrał ten kolor po oto, aby przypomnieć Ziemianom o tamtym zdarzeniu. Mógł również założyć koronę cierniową oraz wziąć w rękę trzcinę, którą rzymscy żołnierze najpierw mu dali, a potem zabrali, aby bić go nią po głowie. Byłoby to jednak nazbyt teatralne, nawet dla tego kochającego dramatyczne efekty człowieka.

Jezus, który rozmawiał właśnie z kilkoma oficerami, popatrzył dziwnie na Orme'a, gdy tamten wszedł. Murzyn zaczął się pocić jeszcze mocniej. Czy Jezus mógł wykryć nerwowość swego ucznia? Może potrafił odgadnąć wszystko? Powiedział kiedyś, że mógłby odczytywać myśli, lecz nigdy sobie na to nie pozwalał. Czy w tej chwili Jezus złamał tę zasadę, czytając z wyrazu twarzy Orme'a, mimo że ten starał się wyglądać naturalnie?

Jeśli tak, to wszystko było stracone. Ponieważ jednak Jezus nie powiedział nic ani jemu, ani oficerom, najwyraźniej niczego nie podejrzewał. Ostatecznie każdy tutaj - poza samym Mesjaszem - odczuwał nerwowość i zmęczenie ze względu na to, że wyłączono pole grawitacyjne odpowiadające marsjańskiemu i wszyscy teraz podlegali przyciąganiu ziemskiemu. Minie wiele czasu, zanim przyzwyczają się do swej nowej wagi, o trzy piąte większej niż na rodzimej planecie. Wkrótce zresztą znajdą się na pojazdach otoczonych polem równym siłą marsjańskiemu, a poza tym wszyscy, oprócz Pana, będą mieli na sobie pas podłączony do dającego się dowolnie nastawić generatora grawitacji. Gdy zmęczenie stanie się zbyt wielkie,

będą mogli posłużyć się nim.

„Tylko to jedno urządzenie było warte majątek” - pomyślał Orme, uśmiechając się chytrze. Nawet w takiej chwili myślał, jaką fortunę mógłby zbić na sprzedaży marsjańskich wyrobów.

O, Panie, wybacz mi.

Właz otworzył się szeroko. Jasne, ostre światło słońca, gorące powietrze i ryk tłumu wtargnęły do środka. Jezus wyszedł jako pierwszy i zatrzymał się na chwilę. Podążający za nim również przystanęli. Jezus uniósł w górę rękę i powiedział głośno:

- Niech Stwórca, nasz Ojciec, błogosławi was wszystkich, dzieci Ziemi i Marsa!

Oczekiwał go pułk żołnierzy, kilka oddziałów policji, warta honorowa, wiele ekip telewizyjnych i około pięciuset dygnitarzy. Wokół lotniska i wzdłuż prowadzącej do niego drogi tłumy pokrywały niskie wzgórza oraz dachy domów. Gdy wyszedł ze statku, przywitał go ryk tak głośny, że zebrani nie byli w stanie usłyszeć jego słów. Z pewnością jednak zarejestrowały je mikrofony ekip telewizyjnych.

Orme wyszedł na zewnątrz wraz z innymi. Przez chwilę panowało spore zamieszanie. Jezus musiał spotkać się z przybyłymi głowami państw i wymienić z nimi kilka słów. Wyciągnął do nich rękę, nie żeby ją uścisnęli, lecz ucałowali. Sheila Pal, prezydent Konfederacji Północnoamerykańskiej, nie zawahała się ani przez chwilę, choć musiała zdawać sobie sprawę, że rozwścieczy to miliony jej wyborców. Podobnie postąpił włoski ambasador, choć papież potępił Mesjasza, a rząd Italii był oficjalnie komunistyczny. Hołd złożony Jezusowi teoretycznie powinien obrazić większość obywateli tego kraju, która nadal była katolicka, jak i oficjalnie ateistycznych przedstawicieli władz. Jednak rząd oznajmił, że ambasador przybył tu jedynie przywitać głowę obcego państwa — to znaczy Marsa. Religia wyznawana przez Mesjasza nie miała nic wspólnego z protokołem dyplomatycznym.

Większość pozostałych państw komunistycznych, jak również wiele krajów demokracji socjalistycznych, przyjęła tę samą linię. Chiny oraz kraje Azji Południowo-Wschodniej nie przysłały swych przedstawicieli, lecz Indie, choć komunistyczne, były reprezentowane przez prezydenta i premiera. Ambasadorowi ZSRR w Izraelu dano najwyraźniej instrukcje, aby podążył za przykładem Włoch. Całowanie dłoni rzecz jasna nie wchodziło w rachubę, ponieważ żaden szanujący się marksista nie naśladowałby zwyczaju, który wiązał się z tym, co uważali za opium dla mas. Gdy jednak Anatolij Szewczenko wyciągnął rękę do Jezusa, nagle nie tylko ucałował jego dłoń, lecz również padł na kolana.

- Wybacz mi, Panie! — powiedział po angielsku. — Wątpiłem, ale teraz pojąłem, że naprawdę jesteś Mesjaszem i że Bóg istnieje! Wybacz mi moje grzechy, których jest wiele, i udziel mi azylu u swego boku!

- Zostało ci wybaczone - odrzekł Jezus. - Od tej chwili zawsze będziesz stał po mojej prawicy. Choć nie pochodzisz z rodu Abrahama, jesteś synem tych, z którymi Stwórca zawarł Przymierze w czasach Noego. Wstań. Odtąd padaj na kolana tylko wtedy, gdy będziesz się modlił do Ducha Bożego.

Orme był równie wstrząśnięty, jak inni, choć nie na tyle, aby nie mógł sobie wyobrazić skutków tego nieoczekiwanego nawrócenia po tamtej stronie Żelaznej Kurtyny. Zresztą i po tej stronie również. Tę scenę widział cały świat. Cóż to musiała być za sensacja!

Z pewnością ambasador, choć zapewne ateista i marksista od trzech pokoleń, miał niekiedy wątpliwości. Mógł nie uświadamiać ich sobie, podobnie jak święty Paweł w okresie, gdy prześladował chrześcijan. I tak samo jak Paweł został powalony bez ostrzeżenia. Paweł miał swą drogę do Damaszku, ambasador drogę do Jerozolimy.

Albo - i tu Orme przeklął siebie samego za nieustającą podejrzliwość - rząd rozkazał ambasadorowi, aby udawał, że się nawrócił. W ten sposób mógłby szpiegować Jezusa. Jednakże Sowietom musieli zdawać sobie sprawę z olbrzymiego wrażenia, jakie to publiczne odstępstwo wywrze na całym świecie. Czy zdecydowałiby się na to wyłącznie w tym celu,

aby umieścić przy Jezusie swojego agenta? To nie wydawało się prawdopodobne.

Orme był coraz bardziej rozdarty wewnątrz. Czuł się osłabiony fizycznie. Ten człowiek (czy istota?) przemawiał i zachowywał się, jakby jego autorytet pochodził od samego Boga. Jednakże Antychryst również pozornie byłby dobry, a nawet wydawałby się być samym Chrystusem. Tylko po owocach można poznać drzewo. Antychrysta należy sądzić po dalekosiężnych skutkach jego działań. Jak dotąd marsjański Jezus nie uczynił nic, czego nie mógłby zrobić Jezus prawdziwy.

We właściwym czasie owoc będzie gotowy do zerwania. Wtedy każdy człowiek o dobrym sercu będzie mógł dostrzec, kto jest kim i co jest czym.

Orme zastanawiał się, czy nie powinien zaczekać, odłożyć swoich planów aż do tego dnia. Nie dał temu tak zwanemu Mesjaszowi wystarczająco dużo czasu na ujawnienie zła ukrytego pod pozorem dobra. Powinno się pozwolić ziarnu wzrastać tak długo, aż chwasty można będzie odróżnić od zboża.

„O, Boże - pomyślał Orme. - Nie pozwól mi zboczyć w prawo ani w lewo. Spraw, abym kroczył prosto, drogą prowadzącą do Twego miłowanego miasta”.

Błądził chwilę wzrokiem dookoła i ujrawszy znajomą twarz, poczuł radość. Czy obecność tego człowieka może potraktować jako znak od Boga? To był Jack Tarlatti, popularny dziennikarz i telewizyjny producent filmów dokumentalnych.

Orme podszedł do niego świadom, że obserwuje go dwóch marsjańskich żołnierzy. Robili to jednak wyłącznie po to, aby zapewnić mu bezpieczeństwo. Złapał Tarlattiego za rękę, wołając:

- Jack, mój stary kumpel od kieliszka, moje błogosławieństwo i mój krzyż! Były chwile, że myślałem, iż nigdy cię już nie zobaczę! Jak się masz?

Tarlatti, wyczuwając ciasno złożony list w ręku Orme'a, przestał się uśmiechać.

- Weź go - powiedział Orme. - Schowaj do kieszeni, tak żeby nikt nie zobaczył. Przeczytaj, gdy wrócisz do hotelu. On wszystko tłumaczy. Zrób, o co cię proszę, Jack. To będzie największa sensacja w twoim życiu.

Tarlatti, próbując uśmiechnąć się równie szeroko jak przedtem, odpowiedział:

- Jasne. Jak sobie życzysz, Dick. Czy mógłbyś udzielić wywiadu już teraz?

Orme rozejrzał się wokoło. Azzur, sekretarz Jezusa, nakazywał mu gestem, aby natychmiast podszedł. Najwyraźniej potrzebowano go przy spotkaniu z dygnitarzami.

Klepnął Tarlattiego w ramię.

- Niestety, jestem teraz zbyt zajęty. Fajnie, że cię spotkałem, Jack. Muszę już lecieć.

Oddalił się w nadziei, że ciekawość nie weźmie góry w Tarlattim. Oby tylko nie przeczytał listu, zanim nie stanie się to, co musi się stać.

Po upływie czasu, którego Orme nie potrafił określić, dyplomatyczne ceremonie dobiegły końca. Z *Maranathy* wyłoniło się trzydzieści wielkich pojazdów w kształcie czółna. Wsiadli do nich Marsjanie oraz część najwyższych rangą gości spośród Ziemi. W pierwszym z pojazdów znajdowali się: pilot, Jezus, sowiecki ambasador, premier Izraela, trzech marsonautów, admirał floty, sekretarz Ugandy oraz Niemiec Zachodnich. Orme pomyślał, że trzech ostatnich dobrano w dziwny sposób, nie wątpił jednak, iż Jezus dobrze wie, co robi.

Procesję prowadzili policjanci na motocyklach oraz samochód pancerny. Za nimi jechał samochód z ekipami telewizyjnymi oraz trzy dalsze pełne agentów izraelskiej służby bezpieczeństwa.

Za nimi pojazd Jezusa, dwa następne samochody z tajnymi agentami, pojazdy Marsjan, samochody wiozące dostojników izraelskich oraz zagranicznych, a dalej kolejne grupy agentów, policjantów w mundurach oraz żołnierzy. Po obu stronach trasy stali żołnierze powstrzymujący tłum. Tumult i podniecenie zebranych sięgnęły zenitu. Było tak głośno, że Orme nie słyszał Bronskiego, gdy ten coś do niego krzyknął.

Plan przewidywał, że procesja najpierw skieruje się pod Ścianę Płaczu. Tam Jezus za-

mierzał pomodlić się przez kilka minut. Następnie miał udać się do Knesetu, wygłosić krótkie przemówienie przed kamerami telewizyjnymi, po czym pojechać do nowego hotelu „Króla Dawida”, który zarezerwowano wyłącznie dla Marsjan oraz kilkuset członków ochrony.

Orme pod wypchanym mundurem ścisnął kolbę lasera.

Gdy tylko znajdą się przy Ścianie Płaczu i Jezus wysiądzie, zrobi użytek z broni. Cały świat ujrzy, jak Richard Orme, dowódca marsonautów, świeżo nawrócony na wiarę Jezusa z Marsa, wyciąga laser i strzela do niego. Orme nie oczekiwał, że uda mu się przeżyć. Nie był także pewien, czy Jezusowi stanie się krzywda. Jeżeli rzeczywiście był istotą energetyczną, zdoła pochłoniąć wiązkę lasera. Jeżeli nie jest istotą, lecz Antychrystem - choć jedno drugiego nie wyklucza - też zapewne okaże się odporny. Człowieka, który mógł przebywać w reaktorze atomowym jak Szadrak, Mészak i Abed-Nego w piecu, nie tknie wtedy palący płomień lasera. Z drugiej strony, jeżeli to tylko człowiek, możliwe, że wcale nie wchodził do wnętrza reaktora, lecz jedynie udawał, że to czyni.

W każdym razie cały świat, Ziemia i Mars, ujrzą jak Richard Orme próbuje zabić Mesjasza. Możliwe nawet, że usłyszy słowa potępienia, jakie skieruje do przybysza. Choć nie było to zbyt prawdopodobne. Niemniej, Jack Tarlatti ogłosi jego list i wtedy wszyscy poznają prawdę. Czy zechcą w nią uwierzyć, Bóg jeden wie.

W każdym razie jednak on, Richard Orme, uczyni to, czego oczekiwał od niego Bóg. Zginie jako męczennik prawdziwej wiary. Świat ujrzy - choć może zrozumie dopiero później - że człowiek, który znał marsjańskiego Jezusa i rozmawiał z nim, nie wierzył, że był on prawdziwym Mesjaszem. Ponadto człowiek ów był Ziemianinem, a więc mieszkańcy Ziemi będą mogli uznać, że jeden z nich odkrył prawdę i postąpił tak, jak nakazywało mu sumienie.

A może jego czyn zostanie źle rozumiany? Może nazwą go Judaszem Iskariotą?

To nie miało znaczenia. Musiał zrobić to, co było słuszne. Gulthilo będzie głęboko zraniona i zawstydzona, gdy to ujrzy. Być może ona i ich dziecko zostaną okryte hańbą, choć nie byli niczemu winni. Napelniało go to smutkiem, lecz nie mogło wpłynąć na jego decyzję.

Wciąż pogrążony był w rozmyślaniach, gdy pojazd wjechał na szczyt wzgórza, z którego rozciągał się widok na Jerozolimę.

„Oto ona - pomyślał. - Jakże zmieniły się moje uczucia. Na Marsie z uniesieniem wyobrazałem sobie powrót Jezusa do miasta, które go ukrzyżowało. Wtedy jednak nie wiedziałem, że Jezus, którego przybito do krzyża, nie był tym samym, który po dwóch tysiącach lat dokona triumfalnego powrotu”.

Naraz, po jego prawej stronie powstało zamieszanie. Potężny ludzki wir wciągnął mężczyzn, kobiety i dzieci.

Żołnierze zatrzymali się, a procesja razem z nimi.

- Co się dzieje?! - zawołał Orme, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Nagle rozległy się strzały z pistoletu. Jeden z żołnierzy zachwiał się i upadł. Z tłumu wybiegł wysoki, chudy, brodaty mężczyzna o dzikim spojrzeniu. Uniósł trzymany w lewej ręce pistolet, kierując lufę w stronę Jezusa. Napastnika trafiły pociski wystrzelone przez co najmniej dwunastu żołnierzy. Inni musieli chybić, ponieważ czworo widzów padło na ziemię.

Ale ów człowiek miał jedynie za zadanie odwrócić uwagę. Po drugiej stronie ulicy z tłumu wystąpiła kobieta, która rzuciła w stronę kolumny pojazdów mały okrągły przedmiot. Granat!

Pocisk zatoczył łuk. Na końcu jego trajektorii znajdował się stojący na przedzie pojazdu, spowity w szkarłatny płaszcz - Jezus, najwyraźniej nieświadom obecności drugiego zamachowca.

Orme krzyknął, aby go ostrzec.

Nie miał czasu zastanawiać się nad ironią całej sytuacji. Próbował ostrzec człowieka, którego zamierzał zabić. Nie miał też czasu pomyśleć o tym, że gdy granat wybuchnie, on również zginie.

Zerwał się z siedzenia i skoczył do przodu, przechodząc z wyspy grawitacji marsjańskiej pod wpływ przyciągania ziemskiego.

W rezultacie odbił się tak gwałtownie, jakby miał skoczyć z miejsca na odległość sześciu metrów, lecz łuk, który zamierzył zatoczyć w powietrzu, załamał się gwałtownie, niemal pod kątem prostym. Mimo to Orme, wyciągając lewą rękę, zdołał nią dosięgnąć twardego metalowego przedmiotu. Upadł na ziemię, nakrywając granat własnym ciałem. Siłą napędu przesunął się jeszcze kawałek, szorując po jezdni twarzą i kolanami.

Nie było już czasu rozmyślać nad przewrotnością losu. Miał ponieść męczeńską śmierć nie za prawdziwego Jezusa, lecz za fałszywego.

## 25.

A jednak jego czas jeszcze się nie wypełnił.

- Dlaczego to zrobiłem? - mruknął.

Wokół panował hałas. Słońce świeciło mu prosto w oczy. Nagle pomiędzy nim a oślepiającym blaskiem pojawiła się czyjaś głowa. Ujrzał uśmiechniętą twarz Jezusa.

- Nie wybuchł? - zapytał Orme.

- Wybuchł - odpowiedział Jezus. - Zostałeś zabity. Rozerwało ci cały brzuch, urwało genitalia i nogi. Z rąk aż po łokcie pozostała krwawa miazga.

Nachylił się nad Orme'em i dotknął jego czoła. Otepienie, poczucie nierzeczywistości oraz osłabienie zniknęły prawie zupełnie.

- Dobrze. To powinno załatwić sprawę.

Orme usiadł. Jego ciało było nietknięte. Było również nagie.

W pobliżu leżały strzepy munduru. Obok pojazdu, z którego wyskoczył, zauważył swój laser. Gdzie się podziała krew? Czy Jezus sprawił, że wyparowała, podobnie jak krew barana zabitego na Marsie? No jasne!

Jednakże w odległości kilku metrów żołnierze chowali do plastikowych worków resztki ciała i kości. Pomyślał, że zaraz zwymiotuje, lecz Jezus dotknął go ponownie i nudności ustąpiły.

Bronski, Shirazi oraz rosyjski ambasador stali razem śmiertelnie bladzi, jakby to oni, a nie on, byli przed chwilą trupami.

Ekipy telewizyjne nie przerywały pracy. Niektóre kamery były skierowane na niego, inne na Jezusa lub na tłum.

„Wybuch granatu musiał mnie też ogłuszyć - pomyślał. - Jezus przywrócił mi zmysł słuchu”.

Nadszedł żołnierz, Krsz, niosąc wielki koc.

- Wstań człowieku i okryj swą nagość - rzekł Jezus.

Orme usłuchał go i owinał się kocem.

Jezus odwrócił się, podszedł do samochodu i podniósł laser. Wrócił do Orme'a i wręczył mu broń.

- Powinieneś być go nosić w kaburze, zamiast ukrywać pod mundurem. Nie wyciągnąłbyś go szybko w razie potrzeby.

Orme pokręcił głową.

- Nie mogę jednocześnie trzymać lasera i nieść koca. Poza tym...

Wyraz wielkich czarnych oczu oraz osobliwy uśmiezek Jezusa mówiły, że znał on całą prawdę. Znał ją!

- Stworzyłem twoje ciało z niczego i odtworzyłem je jak nowe - oznajmił Jezus. - Widział to cały świat. Czy na planecie pozostaną jeszcze niedowiarki? Tak jest, pozostaną i

będą niczym zbłąkane owce. Wszelako miliony tych, którzy przed chwilą jeszcze nie wierzyli, uwierzą. Pozostali nadal są jak zbłąkane owce.

- Panie - zapytał Orme - czy wybaczyłeś mi?

Jezus pokazał palcem mężczyznę i kobietę. On był tym, który strzelał do Jezusa i prawdopodobnie go trafił, ona zaś rzuciła granat. Nie byli ranni, lecz dziury w ich ubraniach wskazywały, któredy weszły kule. Choć otaczali ich policjanci nie założono im kajdanek.

- Im także przebaczyłem - rzekł Jezus. - Wskresilem ich z martwych, żeby cały świat dowiedział się, iż potrafię być miłosierny. Teraz zostaną zapewne jednymi z moich najbardziej oddanych uczniów. A jeśli nie, dadzą przynajmniej świadectwo.

Jezus przysunął usta do ucha Orme'a.

- Nie wąż już więcej. Jeśli znowu zwątpisz, zdradzisz się z tym przede mną, zanim zdołasz mnie zdradzić. Nie przypuszczam jednak, abyś zwątpił ponownie. Następnym razem nie okazałbym już miłosierdzia. Nie należy drażnić Najświętszego. Ani Syna Człowieczego. Powiedz mi jednak, czy wiesz, dlaczego w ostatniej chwili, gdy sądziłeś, że nadchodzi kres, zdecydowałeś się poświęcić swe życie, aby uratować mnie, który tego nie potrzebuje?

- Nie wiem - odparł Orme. - Być może dlatego, iż gdzieś w głębi mojego umysłu kołatało się, że nawet jeśli naprawdę jesteś tą istotą energetyczną, a nie prawdziwym Jezusem, nie ma to znaczenia. Ojciec używa różnych narzędzi, aby wykonać swą pracę, i niekiedy robi to w pokrewny sposób. Jeśli wybrał na Mesjasza nieludzkie stworzenie z odległej planety, podobnie jak przyjął Krszów w poczet Ludu Przymierza, to... Jednak, Panie, czy naprawdę jesteś...?!

Jezus uniósł dłoń, dając znak, że Orme powinien zamilknąć.

- Prawdziwym Mesjaszem jest ten, kogo Ojciec wybrał na Mesjasza. Pójdźmy teraz do świętego Miasta.

- Ale, Panie, dałem pewnemu człowiekowi list, w którym opisałem, co zamierzam uczynić. Jeśli zostanie opublikowany, może narobić wielkich szkód.

Jezus ucałował Orme'a w usta i powiedział:

- Niech go sobie publikują. Świat widział, co uczyniłeś. Jutro wypoczniemy i uczynimy następny krok na drodze, jaką wskazał nam Ojciec. Trzeba jeszcze przezwyciężyć wiele zła. Dni będą mroczne, a nocę jeszcze ciemniejsze. Na końcu drogi jest jednak jasność, ku której zdążają wszystkie Dzieci Światła.